Nicolas BARREAU

Sekretne składniki miłości

Szczęście to czerwony płaszcz z podartą podszewką.
Julian Barnes

Rozdział l

W listopadzie zeszłego roku pewna książka uratowała mi życie. Wiem, to brzmi teraz wielce nieprawdopodobnie. Niektórzy mogą uznać, że przesadzam, kiedy tak mówię, albo melodramatyzuję. A mimo to tak właśnie było.

Nikt wtedy nie celował co prawda w moje serce i kula nie utkwiłaby cudownym zrządzeniem losu wśród stron grubego, oprawionego w skórę wydania wierszy Baudelaire'a, jak to czasami widzi się w filmach. Aż tak podniecającego życia nie wiodę.

Nie, moje głupie serce zostało już wcześniej zranione. W dniu, który wydawał się taki sam jak każdy inny.

Pamiętam jeszcze bardzo dokładnie. Ostatni goście w restauracji - grupa dość głośnych Amerykanów, dyskretna japońska para i kilkoro dyskutujących Francuzów - jak zwykle się zasiedzieli, a Amerykanie wśród wielu „ochów" i „achów" oblizywali sobie usta po gateau au chocolat.

Suzette po zaserwowaniu deseru spytała jak zwykle, czy naprawdę będzie mi jeszcze potrzebna, po czym szczęśliwa umknęła. A Jacquie był jak zwykle w złym humorze. Tym razem denerwował się przyzwyczajeniami żywieniowymi turystów i wywracał oczami, z trzaskiem wkładając wypucowane do czysta talerze do zmywarki.

- Ah, les Américains! Nie rozumieją nic z francuskiej cuisine, rien du tout! Zawsze zjadają dekorację. Dlaczego muszę gotować dla barbarzyńców, to zawsze wprawia mnie w zły humor i mam ochotę rzucić wszystko w cholerę!

Rozwiązał fartuch i wychodząc, bąknął do mnie bonne nuit, zanim wsiadł na swój stary rower i zniknął w zimnej nocy. Jacquie jest wspaniałym kucharzem i bardzo go lubię, mimo że obnosi się ze swoją ponurością jak z garnkiem bouillabaisse. Był szefem kuchni w Temps des Cerises już wtedy, gdy ta mała restauracja z obrusami w czerwono - białą

kratkę, położona nieco na uboczu ruchliwego bulwaru Saint - Germain przy rue Princesse, należała jeszcze do mojego ojca. Mój ojciec uwielbiał chanson o „czasie wiśni", który jest taki piękny i tak szybko przemija, tę jednocześnie afirmującą życie i lekko nostalgiczną pieśń o zakochanych, którzy się odnajdują i znów tracą. I mimo że francuska lewica wybrała ją sobie na nieoficjalny hymn, obrazujący przełom i postęp, to myślę, że prawdziwy powód, dla którego tato nazwał tak swoją restaurację, nie wynikał z chęci uczczenia Komuny Paryskiej, tylko bardzo osobistych wspomnień.

Jest to miejsce, w którym dorastałam, i kiedy po szkole siedziałam z zeszytami w kuchni, otoczona pobrzękiwaniem garnków i patelni oraz tysiącem kuszących zapachów, mogłam być pewna, że Jacquie zawsze ma dla mnie jakiś smakołyk.

Jacquie, który właściwie nazywa się Jacques Auguste Berton, pochodzi z Normandii, gdzie patrzy się aż po horyzont, gdzie powietrze smakuje solą, a bezkresne morze, nad którym wiatr i chmury prowadzą swoją niestrudzoną grę, nie zasłania oczom widoku. Więcej niż raz dziennie zapewnia mnie, że uwielbia patrzeć w dal, w dal! Czasami Paryż jest dla niego za ciasny i za głośny, tęskni za wybrzeżem.

- Jak ktoś, kto raz poczuł zapach Côte Fleurie, może czuć się dobrze wśród paryskich spalin, powiedz mi.

Wymachując nożem do mięsa, popatrzył na mnie swoimi wielkimi, brązowymi oczami z wyrzutem, zanim niecierpliwym ruchem odgarnął z czoła ciemne włosy, w których - spostrzegłam to z pewnym wzruszeniem - pojawiało się coraz więcej srebrzystych nitek.

Przecież zaledwie przed kilkoma laty ten krępy mężczyzna o dużych dłoniach pokazał czternastolatce z ciemnoblond warkoczami, jak przygotowywać doskonały crème brûlée.

Była to pierwsza potrawa, którą zaimponowałam swoim przyjaciółkom.

Jacquie nie jest naturalnie jakimś tam kucharzem. W młodości pracował w słynnej Ferme Saint - Siméon w Honfleur, miasteczku nad Atlantykiem z wyjątkowym światłem - mekką malarzy i artystów.

- Była jednak trochę bardziej stylowa, moja droga Aurelie.

Mimo że Jacquie tyle narzeka, uśmiecham się w duchu, ponieważ wiem, że nie zostawiłby mnie na lodzie. Tak też było w zeszłym listopadzie, w którym niebo nad Paryżem było białe jak mleko, a ludzie śpieszyli ulicami otuleni w grube wełniane szale. Ten listopad był o wiele zimniejszy od wszystkich innych, które przeżyłam w Paryżu. A może tylko tak mi się wydawało?

Kilka tygodni wcześniej zmarł mój ojciec. Ot tak, bez ostrzeżenia, pewnego dnia jego serce postanowiło, że przestanie bić. Znalazł go Jacquie, kiedy po południu otwierał restaurację.

Tato leżał pogodnie na podłodze - w otoczeniu świeżych warzyw, udźców jagnięcych, przegrzebków i ziół, które kupił rano na targu.

Zostawił mi restaurację, przepis na swoje słynne menu d'amour, którym podobno przed wieloma laty zdobył miłość mojej mamy (zmarła, kiedy byłam bardzo mała, dlatego nigdy się nie dowiem, czy przypadkiem tego nie zmyślił), i kilka mądrych zdań na temat życia. Miał sześćdziesiąt osiem lat, uważałam, że to o wiele za wcześnie. Tyle że ludzie, których się kocha, zawsze umierają za wcześnie, nieprawdaż, obojętnie, jaki wiek osiągają.

- Lata nic nie znaczą. Tylko to, co się w nich dzieje - powiedział kiedyś mój tato, kładąc róże na grobie mojej mamy.

I kiedy jesienią lekko zrezygnowana, ale mimo to zdecydowana ruszyłam w jego ślady, przeświadczenie, że byłam teraz niemal sama na tym świecie, ogarnęło mnie całkowicie.

Bogu dzięki, miałam Claude'a. Pracował jako scenograf w teatrze, a ogromne biurko, stojące pod oknem w jego małym dwupoziomowym mieszkanku w dzielnicy Bastylii, uginało się zawsze pod rysunkami i modelami z kartonu. Kiedy miał większe zlecenie, znikał na kilka dni. „W przyszłym tygodniu mnie nie ma", mówił wtedy, a ja musiałam się najpierw przyzwyczaić, że naprawdę nie odbiera telefonu i nie otwiera drzwi, chociaż dzwoniłam, jakby się paliło. Wkrótce potem znów się pojawiał, jakby nic się nie stało. Jaśniał na niebie niczym tęcza, niepojęty i przepiękny, całował mnie beztrosko w usta, nazywał „moja mała", a słońce w jego złocistych lokach bawiło się w chowanego.

Następnie brał mnie za rękę, ciągnął za sobą i z błyszczącymi oczyma pokazywał swoje projekty.

Nie można było nic powiedzieć.

Kiedy znałam Claude zaledwie kilka miesięcy, popełniłam raz błąd i niepytana wyraziłam swoje zdanie. Z przekrzywioną głową zastanawiałam się głośno, co jeszcze można by poprawić. Claude popatrzył na mnie skonsternowany, jego oczy w kolorze morskiego błękitu kipiały. Jednym gwałtownym ruchem zgarnął wszystko ze stołu. Farby, pisaki, kartki, słoiczki, pędzle i kawałki kartonu pofrunęły w powietrze jak konfetti, a filigranowy, dokładnie wypracowany model scenografii do Snu nocy letniej Szekspira rozpadł się na tysiąc kawałków.

Od tamtej pory krytyczne uwagi zachowywałam dla siebie.

Claude był bardzo impulsywny, bardzo zmienny w nastrojach, bardzo czuły i bardzo wyjątkowy. Wszystko w nim było „bardzo", zdawał się nie mieć wyważonego środka.

Byliśmy wtedy prawie od dwóch lat razem i nigdy nie przyszłoby mi do głowy zakwestionować swój stosunek do tego skomplikowanego i niezwykle upartego człowieka. Gdyby przyjrzeć się dokładniej, każdy z nas ma przecież swoje uciążliwości, drażliwości i bziki. Są rzeczy, które robimy, albo takie, których nie zrobilibyśmy nigdy, no chyba że w bardzo określonych warunkach. Rzeczy, z których inni się śmieją, nad którymi kręcą głową, dziwią się.

Osobliwe rzeczy, które należą tylko do nas.

Ja na przykład zbieram myśli. W sypialni mam ścianę z kolorowymi karteczkami pełnymi myśli, które zapisałam, aby nie zagubiły mi się w swojej ulotności. Myśli o podsłuchanych rozmowach w kawiarni, o rytuałach i dlaczego są one takie ważne, myśli o pocałunkach w parku nocą, o sercu i pokojach hotelowych, o dłoniach, ogrodowych ławkach, zdjęciach, o tajemnicach i momentach ich wyjawiania, o świetle między drzewami i o czasie, kiedy się zatrzymuje.

Te krótkie notatki są przyczepione do jasnej tapety niczym tropikalne motyle, uchwycone momenty, które właściwie nie służą innemu celowi niż temu, aby pozostawać blisko mnie, a gdy otwieram drzwi balkonowe i po pokoju przechodzi lekki przeciąg, drżą, jakby chciały odfrunąć.

- Co to jest? - Claude z niedowierzaniem uniósł brwi, kiedy po raz pierwszy zobaczył mój zbiór „motyli". Stanął przed ścianą i z zainteresowaniem przeczytał kilka notatek. - Chcesz napisać książkę?

Zaczerwieniłam się i potrząsnęłam głową.

- Na litość boską, nie! Robię to... - Sama musiałam się przez chwilę zastanowić, nie znalazłam jednak żadnego

przekonującego wytłumaczenia. - Wiesz, robię to ot tak, po prostu. Bez powodu. Tak jak wiele innych ludzi robi zdjęcia.

- Czy to możliwe, że jesteś lekko szalona, ma petite? - spytał Claude, wsuwając mi przy tym dłoń pod spódnicę.

- Ale to nic, zupełnie nic, ja też jestem trochę zwariowany... - Przejechał wargami po mojej szyi i zrobiło mi się gorąco. - ...na twoim punkcie.

Kilka minut później leżeliśmy na łóżku, moje włosy znajdowały się w cudownym nieładzie, słońce wpadało przez zaciągnięte do połowy firanki i malowało na drewnianej podłodze małe, drżące kółka. Później mogłabym przytwierdzić do ściany kolejną karteczkę O miłości po południu. Nie zrobiłam tego.

Claude był głodny, usmażyłam nam omlet, a on powiedział, że dziewczyna, która potrafi robić takie omlety, może sobie pozwolić na każdego bzika. Muszę zatem jeszcze coś dodać:

Zawsze, kiedy jestem nieszczęśliwa albo niespokojna, wychodzę i kupuję kwiaty. Oczywiście lubię kwiaty również wtedy, kiedy jestem szczęśliwa, ale w te dni, gdy wszystko układa się źle, kwiaty są dla mnie jak początek nowego porządku, coś, co zawsze jest doskonałe, niezależnie od tego, co się dzieje.

Wstawiam kilka niebieskich dzwonków do wazonu i czuję się lepiej. Sadzę kwiaty na swoim starym kamiennym balkonie wychodzącym na podwórze i natychmiast mam wrażenie, że robię coś całkiem sensownego. Zatracam się w rozwijaniu roślin z gazetowego papieru, ostrożnym wyjmowaniu ich z plastikowych pojemniczków i sadzeniu w donicach. Kiedy zagłębiam palce w wilgotnej ziemi i grzebię w niej, wszystko staje się proste, przeciwstawiam swoim zmartwieniom prawdziwe kaskady róż, hortensji i glicynii.

Nie lubię zmian w życiu. Wybieram zawsze te same trasy w drodze do pracy, mam pewną ławkę w ogrodzie Tuileries, którą potajemnie uważam za swoją.

I nigdy nie odwracam się na ciemnych schodach, ponieważ mam nieokreślone uczucie, że czai się za mną coś, co mnie schwyci, jeżeli spojrzę za siebie.

O tych schodach zresztą nikomu nie opowiadałam, nawet Claude'owi. Myślę, że on też nie o wszystkim mi wtedy mówił.

W ciągu dnia chadzaliśmy oboje własnymi drogami. Nie zawsze wiedziałam, co Claude porabiał wieczorami, kiedy pracowałam w restauracji. Może nie chciałam wiedzieć. Niemniej jednak nocą, gdy nad Paryżem zapadała samotność i zamykano bary, a na ulicę wytaczały się ostatnie hulaki, leżałam w jego ramionach i czułam się bezpiecznie.

Kiedy tego dnia gasiłam światła w restauracji i przygotowywałam sobie pudełeczko makaroników malinowych na drogę, nie podejrzewałam jeszcze, że moje mieszkanie będzie tak samo puste jak restauracja. Jak już wspomniałam, był to dzień jak każdy inny.

Tyle że Claude wypisał się z mojego życia trzema zdaniami.

Zbudziłam się następnego ranka i wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Niestety, nie należę do ludzi, którzy przytomnieją w mgnieniu oka, dlatego początkowo było to bardziej dziwne, nieokreślone uczucie niż konkretna myśl, która stopniowo wnikała w moją świadomość. Leżałam na miękkich, pachnących lawendą poduszkach, z zewnątrz docierały przytłumione odgłosy podwórza. Płaczące dziecko, uspokajający głos matki, ciężkie kroki, oddalające się powoli, brama podwórza, która zatrzaskując się, skrzypiała. Zmrużyłam oczy i przewróciłam się na bok. W półśnie

wyciągnęłam rękę, szukając po omacku czegoś, czego tam już nie było.

- Claude? - wymamrotałam.

I wtedy pojawiła się ta myśl. Claude mnie porzucił!

To, co jeszcze wczoraj w nocy jawiło się nierealne i po wielu kieliszkach czerwonego wina było tak nierealne, że mogłoby mi się przyśnić, z nastaniem tego szarego listopadowego ranka stało się nieodwołalne. Leżałam nieruchomo i nasłuchiwałam, ale w mieszkaniu panowała cisza. Z kuchni nie dochodził żaden odgłos. Nie było nikogo, kto pobrzękiwałby granatowymi filiżankami i klął pod nosem, ponieważ mleko wykipiało. Nie było zapachu kawy, który przepędzał senność. Cichego brzęczenia elektrycznej golarki. Żadnego słowa.

Odwróciłam głowę i popatrzyłam w stronę drzwi balkonowych. Lekkie, białe zasłony nie były zaciągnięte, zimny ranek napierał na szyby. Otuliłam się ciaśniej kołdrą i pomyślałam o tym, jak wczoraj, niczego nie przeczuwając, weszłam z pudełkiem makaroników do pustego, ciemnego mieszkania.

Tylko w kuchni świeciło się światło i przez chwilę, niczego nie rozumiejąc, wpatrywałam się w samotną martwą naturę, która ukazała mi się w świetle wiszącej lampy z czarnego metalu.

Odręcznie napisany, otwarty list, który leżał na starym stole kuchennym, na nim słoiczek morelowej marmolady, którą rano Claude posmarował swojego croissanta. Misa z owocami. Do połowy wypalona świeca. Dwie serwetki z materiału, niedbale zwinięte i wciśnięte w srebrne serwetniki.

Claude nigdy do mnie nie pisał, nawet kartki. Miał maniakalny stosunek do swojego telefonu komórkowego i kiedy zmieniał plany, dzwonił do mnie lub zostawiał mi wiadomość na poczcie głosowej.

- Claude? - zawołałam z nadzieją na jakąś odpowiedź, ale już pochwyciła mnie zimna dłoń strachu.

Opuściłam ramiona, makaroniki wyślizgnęły się z pudełka i w zwolnionym tempie posypały się na podłogę. Lekko zakręciło mi się w głowie. Usiadłam na jednym z czterech drewnianych krzeseł i niesamowicie ostrożnie przyciągnęłam do siebie kartkę, jakby to mogło cokolwiek zmienić.

Wciąż czytałam tych kilka słów, które Claude przelał na papier swoim dużym, strzelistym pismem, a na koniec miałam wrażenie, że słyszę jego ochrypły głos, tuż przy moim uchu, niczym nocny szept:

Aurelie,

poznałem kobietę mojego życia. Przepraszam, że stało się to akurat teraz, ale kiedyś i tak by do tego doszło. Uważaj na siebie, Claude

Najpierw siedziałam nieruchomo. Tylko serce biło jak oszalałe. A więc to tak czuje się człowiek, kiedy grunt usuwa mu się spod nóg. Jeszcze przed południem Claude pożegnał się ze mną w korytarzu pocałunkiem. Wydał mi się on szczególnie czuły. Nie wiedziałam, że był to judaszowy pocałunek. Kłamstwo! Jakie to żałosne, wykradać się w ten sposób!

W napadzie bezsilnej wściekłości zgniotłam papier i cisnęłam go w kąt. Kilka sekund później klęczałam przed nim, zanosząc się głośnym szlochem, i prostowałam kartkę. Wypiłam kieliszek czerwonego wina, a potem jeszcze jeden. Wyjęłam telefon z kieszeni i zaczęłam wydzwaniać do Claude'a. Zostawiałam mu rozpaczliwe prośby oraz dzikie wyzwiska. Miotałam się po mieszkaniu, znów pociągnęłam łyk wina dla dodania sobie odwagi i wykrzyczałam do słuchawki, że natychmiast ma oddzwonić. Myślę, że spróbowałam około dwudziestu pięciu razy, zanim z mglistą przenikliwością, jaką niekiedy obdarowuje człowieka alkohol,

doszłam do przekonania, że moje próby pozostaną daremne. Claude był oddalony ode mnie o lata świetlne i moje słowa nie mogły go już dosięgnąć.

Bolała mnie głowa. Wstałam i zaczęłam wędrować po mieszkaniu jak lunatyczka w swojej krótkiej nocnej koszuli - właściwie była to o wiele za duża góra od pidżamy Claude'a w biało - niebieskie pasy, którą włożyłam na siebie w nocy.

Drzwi do łazienki były otwarte. Omiotłam jej wnętrze wzrokiem, aby się upewnić. Golarka zniknęła, podobnie jak szczoteczka do zębów i perfumy Aramis.

W salonie brakowało czerwonego kaszmirowego koca, który podarowałam Claude'owi na urodziny, a na oparciu krzesła nie wisiał jego ciemny sweter, jak zwykle rzucony niedbale. Zniknął płaszcz przeciwdeszczowy z wieszaka po lewej stronie od drzwi wejściowych. Otworzyłam szafę w przedpokoju. Kilka pustych wieszaków uderzyło o siebie, wydając cichy brzęk. Wciągnęłam głęboko powietrze. Wszystko uprzątnięte. Pomyślał nawet o skarpetach z najniższej szuflady. Musiał bardzo skrupulatnie zaplanować swoje odejście, zastanawiałam się, jak to możliwe, że niczego nie zauważyłam, naprawdę niczego. Tego, że zamierzał mnie zostawić. Tego, że się zakochał. Tego, że całował już inną kobietę, podczas gdy całował mnie.

W lustrze oprawionym w złote ramy, które wisiało w przedpokoju nad komodą, odbijała się moja blada zapłakana twarz niczym biały księżyc otoczony drżącymi falami w kolorze ciemnoblond. Moje długie włosy z przedziałkiem pośrodku były zmierzwione jak po dzikiej nocy miłosnej, tyle że nie było żadnych namiętnych objęć i szeptanych obietnic. „Masz włosy jak księżniczka z bajki", powiedział kiedyś Claude. „Jesteś moją Tytanią".

Roześmiałam się gorzko, podeszłam bliżej do lustra i przyjrzałam się sobie bezlitosnym wzrokiem zrozpaczonej

kobiety. Uznałam, że w tej kondycji i z głębokimi cieniami pod oczami przypominałam raczej wariatkę z Chaillot. Na prawo ode mnie było zatknięte za ramę lustra moje zdjęcie z Claude'em, które tak bardzo lubiłam. Zostało zrobione w pewien ciepły letni wieczór, kiedy spacerowaliśmy po Pont des Arts. Zrobił je nam tęgi Afrykańczyk, który rozłożył na moście torby ze swoimi towarami na sprzedaż. Pamiętam jeszcze, że miał niewiarygodnie duże dłonie - mój aparat między jego palcami sprawiał wrażenie zabawki - i musieliśmy chwilę poczekać, zanim nacisnął spust migawki.

Na zdjęciu śmialiśmy się oboje, przytulając do siebie głowy, na tle granatowego nieba, delikatnie spowijającego zarys Paryża.

Czy fotografie kłamią, czy mówią prawdę? W bólu człowiek robi się filozoficzny.

Wyjęłam zdjęcie zza ramy, położyłam je na ciemnym drewnie i oparłam się obiema rękami na komodzie. Que ca dure!, zawołał za nami ze śmiechem czarny mężczyzna niskim głosem i gardłowym „r". Que ca dure!, niech tak zostanie!

Zauważyłam, że oczy znów wypełniły mi się łzami. Spływały mi po policzkach i niczym wielkie krople spadały na Claude'a i na mnie, na nasze uśmiechy i na cały ten kram w stylu Paryż - dla - zakochanych, aż wreszcie wszystko rozmazało się nie do poznania.

Otworzyłam szufladę i wepchnęłam zdjęcie między szaliki i rękawiczki.

- Tak - powiedziałam, a potem powtórzyłam: - Tak.

Następnie zasunęłam szufladę i pomyślałam, jak łatwo zniknąć z życia innego człowieka. Claude'owi wystarczyło kilka godzin. I wyglądało na to, że pasiasta góra męskiej pidżamy, zapomniana pod moją poduszką raczej nieumyślnie, była jedyną rzeczą, jaka mi po nim została.

Szczęście i nieszczęście często idą w parze. Inaczej formułując, można by również powiedzieć, że szczęście czasami chadza dziwnymi drogami.

Gdyby Claude mnie wtedy nie zostawił, w ten ponury listopadowy poniedziałek spotkałabym się prawdopodobnie z Bernadette. Nie błądziłabym po ulicach Paryża jako najsamotniejszy człowiek świata, wraz z zapadnięciem zmroku nie przystanęłabym na dłuższą chwilę na moście Louisa Philippe'a i pogrążona w rozczulaniu się nad sobą nie wpatrywałabym się w wodę, nie uciekłabym przed tym zatroskanym młodym policjantem do księgarenki na wyspie Ile Saint - Louis i nigdy nie znalazłabym tej książki, która miała przemienić moje życie w tak cudowną przygodę. Ale po kolei.

To było bardzo bezwzględne ze strony Claude'a, że zostawił mnie w niedzielę. W poniedziałki nie otwierałam Temps des Cerises. To mój wolny dzień, w który zawsze staram się robić coś przyjemnego. Chodzę na wystawy. Spędzam wiele godzin w Bon Marché, moim ulubionym domu towarowym. Albo spotykam się z Bernadette.

To moja najlepsza przyjaciółka. Poznałyśmy się przed ośmiu laty podczas podróży pociągiem, kiedy jej córeczka Marie podbiegła do mnie i potykając się, wylała kubek kakao na moją kremową sukienkę z włóczki. Plamy nigdy do końca nie zeszły, ale pod koniec tej zabawnej podróży z Awignonu do Paryża i po wspólnej, niezbyt udanej próbie wyczyszczenia sukienki chusteczkami higienicznymi i wodą w huśtającej toalecie, byłyśmy prawie przyjaciółkami.

Bernadette jest wszystkim tym, czym ja nie jestem. Trudno wywrzeć na niej wrażenie, ma niewzruszenie dobry nastrój i jest bardzo zaradna. Z imponującym opanowaniem przyjmuje to, co przynosi jej los, i próbuje obrócić to na swoją korzyść. Jest osobą, która coś, co ja czasami uważam za

okropnie zagmatwane, kilkoma zdaniami porządkuje i upraszcza.

- O rany, Aurelie - mówi wtedy i patrzy na mnie rozbawiona swoimi ciemnoniebieskimi oczami. - Ty to masz myśli! Przecież to zupełnie proste...

Bernadette mieszka na Ile Saint - Louis i jest nauczycielką w Ecole Primaire, mogłaby jednak być bez przeszkód doradczynią dla skomplikowanie myślących osób.

Kiedy patrzę w jej jasną piękną twarz, często sobie myślę, że to jedna z niewielu kobiet, którym naprawdę ładnie w koku. A gdy rozpuści swoje jasne, sięgające do ramion włosy, mężczyźni oglądają się za nią.

Ma głośny, zaraźliwy śmiech. I zawsze mówi to, co myśli.

I to był też powód, dla którego nie chciałam się z nią spotkać tego poniedziałkowego poranka. Bernadette od początku nie cierpiała Claude'a.

- To dziwak - stwierdziła, gdy opowiedziałam jej o Claudzie przy lampce wina. - Znam takie typki. Egocentryczni, nigdy nie patrzą człowiekowi w oczy.

- Mnie on patrzy w oczy - odparłam, wybuchając śmiechem.

- Z kimś takim nie będziesz szczęśliwa - upierała się.

Uznałam to wtedy za zbyt pochopną opinię, jednak teraz, wsypując kawę do szklanego dzbanka i zalewając ją wrzącą wodą, musiałam przyznać sama przed sobą, że Bernadette miała rację.

Wysłałam jej SMS - a, odwołując dzisiejsze spotkanie pod błahym pretekstem. Następnie wypiłam kawę, włożyłam płaszcz, szal oraz rękawiczki i wyszłam w zimny paryski poranek.

Czasami człowiek wychodzi, aby dokądś dojść. A czasami wychodzi ot tak, po prostu, żeby iść coraz dalej i dalej, aż

mgły się rozproszą, rozpacz ustąpi albo domyśli jakąś myśl do końca.

Tego ranka nie miałam celu, w mojej głowie panowała dziwna pustka, a serce było tak ciężkie, że czułam jego ciężar i mimowolnie przycisnęłam dłoń do szorstkiego materiału. Na ulicach pojawiało się jeszcze niewiele osób, obcasy moich kozaków stukały zagubione na starym bruku, gdy zmierzałam do kamiennego łuku bramy łączącej rue de L'Ancienne Comédie z bulwarem Saint - Germain. Byłam taka zadowolona, kiedy przed czterema laty znalazłam mieszkanie przy tej ulicy. Lubię tę małą żywą dzielnicę, rozciągającą się na tyłach wielkiego bulwaru aż do Sekwany, pełną krętych ulic i uliczek, ze stoiskami, na których sprzedawane są warzywa, ostrygi i kwiaty, z kafejkami i sklepikami. Mieszkam na trzecim piętrze starego budynku z wydeptanymi kamiennymi schodami, bez windy, i kiedy wyglądam przez okno, sięgam wzrokiem aż do Procope, restauracji, która znajduje się tam już od wieków i która była ponoć pierwszą kawiarnią w Paryżu. Spotykali się w niej literaci i filozofowie. Wolter, Rousseau, Balzak, Hugo i Anatole France. Duchowe towarzystwo tak wielkich nazwisk do dziś wywołuje przyjemny dreszczyk u większości gości, którzy siedzą pod wielkimi kandelabrami na krzesłach i narożnikach obitych czerwoną skórą i jedzą.

- Masz szczęście - stwierdziła Bernadette, kiedy pokazałam jej swoje mieszkanie, i dla uczczenia tego dnia jadłyśmy wieczorem w Procope rzeczywiście przepyszną coq au vin. - Kiedy człowiek pomyśli, kto przez te wszystkie lata tu przesiadywał, a ty naprawdę mieszkasz zaledwie kilka kroków stąd... super!

Rozglądała się zachwycona, podczas gdy ja nabijałam na widelec kawałek kury w winie, przyglądając się jej w zadumie i myśląc, czy przypadkiem nie jestem kulturalną ignorantką.

Szczerze muszę wyznać, że znacznie bardziej zachwycało mnie to, iż wtedy w Procope można było zjeść pierwsze w Paryżu lody, niż ci wszyscy brodaci faceci, którzy tutaj przelewali na papier swoje mądre myśli. Tego jednak moja przyjaciółka mogłaby nie zrozumieć.

Mieszkanie Bernadette jest pełne książek. Stoją na regałach, które sięgają znacznie wyżej niż framugi drzwi, leżą na stołach, biurkach, ławach i stolikach nocnych, nawet w łazience odkryłam, ku swemu zdziwieniu, kilka książek na stoliczku obok toalety.

- Życia bez książek nie umiałabym sobie nawet wyobrazić - powiedziała kiedyś Bernadette, a ja, lekko zawstydzona, pokiwałam głową.

Zasadniczo też czytam. Przeważnie jednak coś staje mi na przeszkodzie. I jeżeli mam wybór, ostatecznie wolę wybrać się na długi spacer lub upiec tartę z morelami, a cudowny zapach tej mieszaniny mąki, masła, wanilii, jajek, owoców i śmietany, który unosi się później w mieszkaniu, uskrzydla moją fantazję i skłania mnie do marzeń.

Prawdopodobnie jest to wina metalowego szyldu, ozdobionego drewnianą łyżką i dwoma różami, który do dzisiaj wisi w kuchni Temps des Cerises.

Kiedy w podstawówce uczyłam się czytać i łączyłam litery w większe, mające sens całości, stanęłam przed nim w swoim granatowym szkolnym fartuszku i odszyfrowałam wypisane na nim słowa: „Ściśle rzecz biorąc, tylko jeden rodzaj książek pomnożył szczęście naszej ziemi: książki kucharskie".

Sentencja ta była autorstwa Josepha Conrada. Pamiętam, że jeszcze przez pewien czas było dla mnie oczywiste, iż ten człowiek to słynny niemiecki kucharz. Tym bardziej się zdumiałam, gdy później przez przypadek trafiłam na jego

powieść Jądro ciemności, którą kupiłam sobie ze względu na stare przywiązanie, jednak jej nie przeczytałam.

Tytuł był tak samo ponury jak mój nastrój tego dnia. Może byłby to odpowiedni moment na sięgnięcie po tę książkę, zastanawiałam się, przepełniona goryczą. Nie czytam jednak książek, kiedy jestem nieszczęśliwa - sadzę kwiaty.

Tak przynajmniej myślałam w tym momencie, nie wiedząc, że jeszcze tej samej nocy w pożądliwym pośpiechu będę przewracać kartki powieści, która, że tak powiem, przecięła mi drogę. Przypadek? Do dzisiaj nie wierzę, że to był przypadek.

Pozdrowiłam Philippe'a, jednego z kelnerów Procope, który przyjaźnie pomachał mi przez szybę, minęłam obojętnie błyszczącą ekspozycję sklepiku jubilerskiego Harem i skręciłam na bulwar Saint - Germain. Zaczęło padać, samochody mijały mnie, rozpryskując wodę. Owinęłam się ciaśniej szalem i nieugięcie maszerowałam wzdłuż bulwaru.

Dlaczego straszne albo deprymujące rzeczy zawsze muszą się wydarzać w listopadzie? Listopad był dla mnie najgorszym z możliwych okresów na bycie nieszczęśliwą. Wybór kwiatów, jakie można było teraz sadzić, był bardzo ograniczony.

Kopnęłam pustą puszkę po coli, która z hałasem potoczyła się po chodniku i wreszcie zatrzymała się w rynsztoku.

Un caillou bien rond qui coule, l'instant d'après il est coulé... Było tak jak w tej niewiarygodnie smutnej piosence Anne Sylvestre, La Chanson de Toute Seule, o krze - mykach, które najpierw się toczą, a chwilę później kończą w Sekwanie. Wszyscy mnie opuścili. Tato umarł, Claude odszedł, byłam tak bardzo sama jak jeszcze nigdy w życiu. Rozległ się dzwonek mojej komórki.

- Halo? - powiedziałam, omal się nie krztusząc. Poczułam przypływ adrenaliny na samą myśl, że to mógłby być Claude.

- Co się dzieje, skarbie? - Bernadette jak zwykle od razu przeszła do rzeczy.

Obok mnie z piskiem opon zahamował taksówkarz i zaczął trąbić jak szalony, ponieważ jakiś rowerzysta wymusił na nim pierwszeństwo. Brzmiało to apokaliptycznie.

- O Boże, a to co? - wykrzyknęła Bernadette do słuchawki, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. - Wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

- Gdzieś na bulwarze Saint - Germain - odparłam żałośnie.

Przystanęłam na chwilę pod markizą sklepu, w którego oknie wystawowym pyszniły się kolorowe parasole z rączkami w kształcie kaczej głowy. Deszcz spływał z moich mokrych włosów. Dosłownie tonęłam w ogromnej fali rozczulenia nad sobą.

- Gdzieś na bulwarze Saint - Germain? Co, na litość boską, robisz gdzieś na bulwarze Saint - Germain?! Napisałaś mi przecież, że coś ci wypadło!

- Claude odszedł - powiedziałam, pociągając nosem do słuchawki.

- Jak to: odszedł?! - W głosie Bernadette natychmiast pojawiła się odrobina niecierpliwości, jak zawsze, kiedy chodziło o Claude'a. - Czy ten idiota znów gdzieś się zaszył i nie daje znaku życia?

Niestety, opowiedziałam jej o skłonnościach Claude'a do znikania, a ona wcale nie uważała tego za zabawne.

- Odszedł na zawsze - powiedziałam z płaczem. - Zostawił mnie. Jestem taka nieszczęśliwa.

- O mój Boże - odezwała się Bernadette, a jej głos był jak objęcie. - O mój Boże! Moje biedna, biedna Aurelie. Co się stało?

- On... ma... inną... - szlochałam dalej. - Wczoraj, kiedy wróciłam do domu, nie było już jego rzeczy, leżała tylko kartka... kartka...

- Nie zdobył się nawet na to, żeby powiedzieć ci to osobiście? A to dupek! - Weszła mi w słowo i rozzłoszczona wciągnęła powietrze. - Zawsze ci powtarzałam, że Claude jest dupkiem. Zawsze i zawsze! Kartka! To naprawdę poziom... nie, to poniżej wszelkiego poziomu!

- Proszę, Bernadette...

- Co? Jeszcze bronisz tego idioty? Niemo pokręciłam głową.

- Posłuchaj mnie teraz, kochanie - powiedziała, a ja zacisnęłam powieki.

Kiedy Bernadette rozpoczynała zdanie od „Posłuchaj mnie teraz", najczęściej była to przygrywka do zasadniczego wyrażenia opinii, która najczęściej była słuszna, jednak nie zawsze łatwo było ją znieść.

- Zapomnij o tym głupku najszybciej, jak tylko się da! Oczywiście teraz jest źle...

- Bardzo źle - przerwałam jej i chlipnęłam.

- No dobrze, bardzo źle, ale ten facet naprawdę był okropnie wkurzający i w głębi duszy sama o tym wiesz. Spróbuj się teraz uspokoić. Wszystko się ułoży, a ja obiecuję ci uroczyście, że już niedługo poznasz miłego faceta, który doceni tak cudowną kobietę jak ty.

- Ach, Bernadette - westchnęłam.

Łatwo jej było mówić. Była zamężna z naprawdę miłym facetem, który znosił jej bezkompromisową prawdomówność z niewiarygodną wyrozumiałością.

- Posłuchaj - powiedziała znów. - Natychmiast bierz taksówkę i wracaj do domu. Kiedy tylko się tutaj ogarnę, zaraz do ciebie przyjadę. To wszystko nie jest takie straszne, naprawdę! Nie ma powodu do dramatyzowania.

Przełknęłam ślinę. To oczywiście miło ze strony Bernadette, że chciała do mnie przyjechać i mnie pocieszyć. Miałam jednak złe przeczucie, że jej pojęcie o pocieszaniu odbiegało od mojego. Nie byłam przekonana, czy mam ochotę wysłuchiwać przez cały wieczór wyjaśnień, dlaczego Claude to najbardziej stuknięty facet wszech czasów. Bądź co bądź, byłam z nim do wczoraj i nie wadziłaby mi choć odrobina więcej współczucia.

I wtedy dobra Bernadette przeholowała,

- Powiem ci coś, Aurelie - odezwała się nauczycielskim tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Jestem zadowolona, ba, jestem wręcz bardzo zadowolona, że Claude cię zostawił. To prawdziwe szczęście, jeśli mam być szczera! Sama nigdy byś się nie wycofała. Wiem, że teraz niechętnie tego słuchasz, mimo to ci powiem: fakt, że ten idiota zniknął wreszcie z twojego życia, jest dla mnie powodem do świętowania.

- To masz fajnie - odparłam ostrzej, niż właściwie zamierzałam, i poczułam, jak podświadome przekonanie, że przyjaciółka miała jednak trochę racji, nagle wzbudziło moją wielką wściekłość.

- Wiesz co, Bernadette? Zacznij więc świętować, najlepiej od zaraz, i jeżeli będziesz w stanie znieść to w swojej wielkiej euforii, to pozwól mi się posmucić jeszcze przez kilka dni, dobrze? Zostaw mnie po prostu w spokoju!

Rozłączyłam się, wciągnęłam głęboko powietrze i całkowicie wyłączyłam komórkę.

Świetnie, teraz pokłóciłam się jeszcze z Bernadette. Deszcz z markizy spływał na bruk. Wstrząsana dreszczami wcisnęłam się w kąt, rozważając, czy rzeczywiście nie byłoby najlepiej wrócić do domu. Jednak na samą myśl, że miałabym wejść do pustego mieszkania, poczułam strach.

Nie miałam nawet kotka, który czekałby na mnie i tulił się, mrucząc, podczas gdy moje palce gładziłyby jego futerko.

„Spójrz, Claude, czy nie są śliczne?", zawołałam, kiedy madame Clément, sąsiadka, pokazała nam pręgowane kociaki, które niezdarnie potykały się o siebie w koszyku.

Claude miał alergię na kocią sierść i nie lubił zwierząt.

- Nie lubię zwierząt. Tylko ryby - stwierdził po kilku tygodniach znajomości.

I właściwie już wtedy powinnam była to wiedzieć. Szanse na szczęście z człowiekiem, który lubił tylko ryby, były dla mnie, Aurelie Bredin, dość małe.

Zdecydowanym ruchem pchnęłam drzwi do sklepiku z parasolami, kupiłam taki błękitny w białe grochy i z rączką w kształcie głowy kaczki, która miała kolor karmelowego cukierka.

Był to najdłuższy spacer w moim życiu. Po chwili zniknęły butiki i restauracje umiejscowione po obu stronach bulwaru, ich miejsce zajęły sklepy z meblami i specjalistycznym wyposażeniem łazienek, później i one się skończyły. Kontynuowałam swoją samotną wędrówkę w deszczu, mijając kamienne fasady dużych budynków w kolorze piasku, które zapewniały oczom niewiele rozrywki i traktowały moje nieuporządkowane myśli oraz uczucia ze stoickim spokojem.

Na końcu bulwaru, który styka się z Quai d'Orsay, skręciłam w prawo i przecięłam Sekwanę, podążając w kierunku Place de la Concorde. Pośrodku niego sterczał obelisk, niczym ciemny palec wskazujący, i naraz wydało mi się, że w swojej egipskiej wyniosłości nie ma nic wspólnego z małymi blaszanymi samochodami, które gorączkowo krążyły wokół niego.

Kiedy człowiek jest nieszczęśliwy, to albo niczego nie widzi i świat zatapia się w błahości, albo widzi rzeczy aż nadto wyraźnie i wszystko zyskuje znaczenie. Nawet takie rzeczy jak sygnalizacja świetlna, która przeskakuje z

czerwonej na zieloną, mogą decydować, czy pójdzie w prawo czy w lewo.

Tak więc kilka minut później spacerowałam po ogrodzie Tuileries. Drobna, smutna postać pod parasolem w grochy, która lekkim posuwistym krokiem przemierzała opustoszały park, opuściła go, kierując się do Luwru, z nastaniem zmierzchu podążała prawym brzegiem Sekwany, mijając Ile de la Cité, Notre Dame, światła miasta, które stopniowo rozbłyskiwały, aż wreszcie przystanęła na małym pont Louis - Philippe, prowadzącym na Ile Saint - Louis.

Granatowe niebo rozpościerało się nad Paryżem niczym kawałek aksamitu. Było tuż przed szóstą, deszcz powoli ustawał, a ja, lekko wyczerpana, oparłam się o kamienną balustradę starego mostu i wpatrywałam zamyślona w Sekwanę. Latarnie odbijały się drżąc i połyskując w ciemnej tafli wody - czarująco i krucho, jak wszystko, co piękne.

Po ośmiu godzinach, tysiącach kroków i kolejnym tysiącu myśli doszłam do tego cichego miejsca. Tyle czasu potrzeba było, abym pojęła, że bezgraniczny smutek, który niczym ołów leżał mi na sercu, nie został wywołany jedynie tym, że Claude mnie porzucił. Miałam trzydzieści dwa lata i nie pierwszy raz rozpadała się moja miłość. Odchodziłam, byłam porzucana, znałam o wiele sympatyczniejszych mężczyzn niż Claude fanatyk.

Było to raczej uczucie, że wszystko się rozchodziło, zmieniało, że ludzie, którzy trzymali moją dłoń, nagle zniknęli na zawsze, że utraciłam przyczepność, a między tym ogromnym wszechświatem i mną nie było już nic poza błękitnym jak niebo parasolem w białe kropki.

I to akurat nie poprawiało sytuacji. Stałam samotnie na moście, minęło mnie kilka samochodów. Włosy zawiewało mi na twarz, kurczowo trzymałam parasol z rączką w kształcie kaczej głowy, jakby jeszcze i on mógł odlecieć.

- Pomocy! - szepnęłam, zataczając się lekko na kamienny murek.

- Mademoiselle? Oh, mon Dieu, mademoiselle, nie! Proszę poczekać, arrêtez! - Usłyszałam za sobą pośpieszne kroki i się przestraszyłam.

Parasol wyślizgnął mi się z dłoni, zrobił półobrót, odbił się od balustrady i spadł, wirując jak w tańcu, zanim z donośnym pluskiem wylądował na brzuchu w wodzie.

Odwróciłam się skonsternowana i popatrzyłam prosto w ciemne oczy młodego policjanta, który przyglądał mi się z troską.

- Wszystko w porządku? - spytał podekscytowany. Najwyraźniej uważał mnie za samobójczynię. Skinęłam głową.

- Tak, naturalnie, wszystko w najlepszym porządku. Zmusiłam się do lekkiego uśmiechu, a on uniósł brwi, jakby wcale mi nie wierzył.

- Nie wierzę pani, mademoiselle - powiedział. - Obserwowałem panią przez dłuższą chwilę i mogę zapewnić, że kobieta, u której jest wszystko w najlepszym porządku, wygląda zupełnie inaczej niż pani.

Milczałam skonsternowana, patrząc na parasol w białe grochy, który dostojnie odpływał z nurtem rzeki. Policjant poszedł w ślad za moim wzrokiem.

- Zawsze to samo - stwierdził po chwili. - Te mosty. Niedawno niżej wyłowiliśmy dziewczynę z lodowatej wody. W ostatniej chwili. Jeżeli ktoś długo stoi na moście, to można być pewnym, że albo jest strasznie zakochany, albo o krok od rzucenia się do rzeki.

Pokręcił głową.

- Nigdy nie zrozumiem, dlaczego zakochanych i samobójców tak bardzo pociągają mosty.

Zakończył dygresję i popatrzył na mnie nieufnie.

- Wygląda pani na dość zdezorientowaną, mademoiselle. Nie chciała pani chyba popełnić jakiegoś głupstwa, prawda? Taka piękna kobieta jak pani. Na moście.

- Ależ nie! - zapewniłam. - Poza tym zupełnie normalni ludzie też czasami przystają dłużej na mostach, po prostu dlatego, że miło jest popatrzeć z nich na rzekę.

- Pani jednak ma bardzo smutne oczy. - Nie ustępował. - I to naprawdę wyglądało tak, jakby chciała się pani rzucić.

- Co za bzdura! - wykrzyknęłam. - Tylko lekko zakręciło mi się w głowie - dodałam pośpiesznie, mimowolnie kładąc dłoń na brzuchu.

- Oh, pardon! Excusez - moi, mademoiselle... madame! - W geście zakłopotania rozłożył ręce. - Nie podejrzewałem... vous - êtes... enceinte? Powinna pani w takim razie bardziej na siebie uważać, jeśli mogę tak to ująć. Odprowadzę panią do domu, dobrze?

Pokręciłam głową i omal nie wybuchnęłam śmiechem. Nie, w ciąży nie byłam na pewno.

Przekrzywił głowę i uśmiechnął się rycersko.

- Jest pani pewna, madame? Należy się pani ochrona francuskiej policji. Nie chciałbym, żeby się pani przewróciła. - Popatrzył zapobiegliwie na mój płaski brzuch. - Kiedy poród?

- Proszę posłuchać, monsieur - odezwałam się mocnym głosem. - Nie jestem w ciąży i z dużym prawdopodobieństwem w najbliższej przyszłości nie będę. Zakręciło mi się lekko w głowie, to wszystko.

I nie było w tym nic dziwnego, bądź co bądź przez cały dzień wypiłam tylko jedną kawę.

- Och! Madame... to znaczy mademoiselle! - Wyraźnie zakłopotany cofnął się o krok. - Stokrotnie przepraszam, nie chciałem być niedyskretny.

- W porządku - westchnęłam, czekając, aż sobie pójdzie.

Jednak mężczyzna w granatowym mundurze nie ruszał się z miejsca. Był to prototyp paryskiego policjanta, jakich często widywałam na Ile de la Cite, gdzie znajduje się siedziba prefektury policji: wysoki, szczupły, przystojny, zawsze gotowy do małego flirtu. Ten tutaj najwyraźniej postanowił zostać moim osobistym aniołem stróżem.

- A więc...

Oparłam się plecami o barierkę, próbując pożegnać go uśmiechem. Minął nas starszy mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym, zerkając z zainteresowaniem.

Policjant przyłożył dwa palce do czapki.

- Cóż, skoro nic więcej nie mogę dla pani zrobić...

- Nie, naprawdę nic.

- Proszę na siebie uważać.

- Będę.

Zacisnęłam usta i kilkakrotnie kiwnęłam głową. Był to drugi mężczyzna w ciągu dwudziestu czterech godzin, który mi powiedział, że mam na siebie uważać. Uniosłam dłoń, odwróciłam się do niego tyłem i oparłam się łokciami o barierkę. Z uwagą studiowałam katedrę Notre Dame, która niczym średniowieczny statek kosmiczny wyłaniała się z ciemności na końcu Ile de la Cite.

Za mną rozległo się kaszlnięcie. Napięłam plecy, zanim powoli odwróciłam się ponownie w stronę ulicy.

- Tak? - rzuciłam.

- I co teraz? - spytał i uśmiechnął się niczym George Clooney w reklamie nespresso. - Mademoiselle czy madame?

Och. Mój. Boże. Chciałam być nieszczęśliwa w spokoju, tymczasem policjant najwyraźniej ze mną flirtował.

- Mademoiselle, oczywiście - odparłam i postanowiłam salwować się ucieczką.

Dobiegły mnie dzwony katedry. Ruszyłam szybkim krokiem po moście i weszłam na Ile Saint - Louis.

Niektórzy mawiają, że ta wysepka na Sekwanie, położona tuż za o wiele większą Ile de la Cité i na którą dostać można się wyłącznie mostami, jest sercem Paryża. To stare serce bije bardzo, bardzo powoli. Rzadko tu przychodziłam i za każdym razem na nowo zaskakiwał mnie spokój panujący w tej dzielnicy.

Gdy skręciłam w rue Saint - Louis, główną ulicę, wzdłuż której mieściło się kilka sklepików, widziałam kątem oka, że wysoka, szczupła postać w mundurze podąża za mną w stosownej odległości. Anioł stróż nie odpuszczał. Co właściwie myślał sobie ten facet? Że spróbuję na następnym moście?

Przyśpieszyłam kroku, niemal biegłam, a następnie z rozmachem szarpnęłam drzwi najbliższego sklepu, w którym jeszcze paliło się światło. Była to nieduża księgarnia i kiedy potykając się, przekroczyłam jej próg, nie przyszło mi nawet na myśl, że ten krok na zawsze zmieni moje życie.

W pierwszej chwili pomyślałam, że w środku nie ma żywej duszy. W rzeczywistości jednak księgarnia była totalnie zapchana książkami; regałami i stołami, tak że nie dostrzegłam jej właściciela, który z pochyloną głową stał na końcu pomieszczenia za staromodnym stolikiem kasowym, całkowicie zawalonym tomami w najróżniejszym formacie. Był pogrążony w oglądaniu jakiejś książki z ilustracjami, ostrożnie przewracał jej strony. Wyglądał tak niesamowicie z pofalowanymi, srebrzystosiwymi włosami i okularami do czytania w kształcie półksiężyców, że nie odważyłam się mu przeszkodzić. Zatrzymałam się w tym kokonie z ciepła i żółtawego światła, serce zaczęło mi bić spokojniej. Ostrożnie zaryzykowałam spojrzenie na zewnątrz. Przed wystawą, na której widniał napis z wyblakłych, złotych liter: Librairie Capricorne Pascal Fermier, dostrzegłam swojego anioła stróża, który tam stał i przy okazji oglądał witrynę.

Mimowolnie westchnęłam, a stary księgarz podniósł wzrok znad książki i popatrzył na mnie zdziwiony, zanim podsunął w górę swoje okulary.

- Ach... bonsoir, mademoiselle, nie słyszałem, że pani weszła - odezwał się uprzejmie, a jego dobroduszna twarz o mądrych oczach wydała mi się podobna do zdjęcia Marca Chagalla w swoim atelier. Tyle że ten człowiek nie trzymał w dłoni pędzla.

- Bonsoir, monsieur - odpowiedziałam dość zakłopotana. - Proszę mi wybaczyć, nie chciałam pana przestraszyć.

- Ależ nie - odparł i uniósł dłonie. - Myślałem tylko, że już zamknąłem. - Popatrzył w stronę drzwi, gdzie w zamku tkwił pęk kluczy, i pokręcił głową. - Powoli robię się zapominalski.

- A więc ma pan właściwie już zamknięte? - spytałam, robiąc krok do przodu z nadzieją, że uciążliwy anioł stróż odfrunął już sprzed wystawy.

- Proszę się spokojnie rozejrzeć, mademoiselle. Czasu jeszcze starczy. - Uśmiechnął się. - Szuka pani czegoś konkretnego?

Szukam człowieka, który pokocha mnie naprawdę, odpowiedziałam w duchu. Uciekam przed policjantem, który myśli, że chcę się rzucić z mostu, a zachowuję się tak, jakbym chciała kupić książkę. Mam trzydzieści dwa lata i straciłam parasol. Pragnę, aby wreszcie wydarzyło się coś pięknego.

Donośnie zaburczało mi w brzuchu.

- Nie..., nie, niczego konkretnego - odparłam szybko. - Czegoś... miłego. - Zaczerwieniłam się. Teraz przypuszczalnie uzna mnie za ignorantkę, której zdolność wysławiania się sprowadza się do nic nieznaczącego słowa „miły". Miałam nadzieję, że to, co powiedziałam, zagłuszyło przynajmniej burczenie żołądka.

- Ma pani ochotę na ciastko? - spytał monsieur Chagall.

Podsunął mi pod nos srebrną paterę z maślanymi ciasteczkami i po krótkim momencie wahania sięgnęłam po nie z wdzięcznością. Słodkie ciastka miały w sobie coś pocieszającego i natychmiast uspokoiły mój żołądek.

- Ach, wie pan, właściwie nie miałam dzisiaj okazji, żeby coś zjeść - wyjaśniłam, przeżuwając.

Jak na ironię należę do tych mało opanowanych ludzi, którzy zawsze muszą się ze wszystkiego tłumaczyć.

- To się zdarza - odparł monsieur Chagall, nie komentując mojego zakłopotania. - Tam naprzeciwko - wskazał na stół z powieściami - znajdzie pani być może to, czego szuka.

I rzeczywiście tak się stało. Kwadrans później wyszłam z librairie Capricorne z pomarańczową papierową torbą z nadrukiem małego białego jednorożca.

- Dobry wybór - skwitował monsieur Chagall, pakując książkę autorstwa młodego Anglika, która nosiła piękny tytuł Sekretne składniki miłości.

- Spodoba się pani.

Skinęłam głową i zaczerwieniona zaczęłam szukać pieniędzy. Ledwie zdołałam ukryć zaskoczenie, które monsieur Chagall być może uznał za napad nadmiernej radości czytelniczej, kiedy zamykał za mną drzwi księgarni.

Odetchnęłam głęboko i popatrzyłam w dół pustej ulicy. Mój nowy policyjny przyjaciel zrezygnował ze śledzenia. Najwyraźniej prawdopodobieństwo, że ktoś kupuje sobie książkę przed rzuceniem się z mostu do Sekwany, wydawało się, statystycznie rzecz biorąc, bardzo małe.

Jednak nie to było powodem mojego zaskoczenia, które wkrótce przerodziło się w ekscytację. To ona przyśpieszyła moje kroki i kazała mi wsiąść z bijącym sercem do taksówki.

W książce, którą w jej ślicznej pomarańczowej powłoczce przyciskałam do piersi niczym cenny skarb, zaraz na pierwszej

stronie widniało pewne zdanie. Wprawiło mnie ono w konsternację, zaciekawiło, ba, zelektryzowało:

Historia, którą chciałbym opowiedzieć, zaczyna się od uśmiechu. Kończy się w małej restauracji o obiecującej nazwie Le Temps des Cerises, położonej w Saint - Germain - des - Pres, tam, gdzie bije serce Paryża.

Miała to być druga, prawie nieprzespna noc. Tym razem jednak to nie niewierny kochanek skradł mi spokój, tylko - kto by się tego spodziewał po kobiecie ani trochę niebędącej czytelniczką pasjonatką - książka! Zauroczyła mnie od pierwszych zdań. Czasem była smutna, a potem znów tak komiczna, że śmiałam się w głos. Jednocześnie była przepiękna i zagadkowa, ponieważ nawet wtedy, gdy ktoś czyta dużo powieści, to rzadko możne natrafić na historię miłosną, w której jego własna restauracyjka odgrywa główną rolę, a bohaterka zostaje opisana w taki sposób, że człowiek myśli, iż widzi swoje odbicie w lustrze - w takim dniu, kiedy jest bardzo, bardzo szczęśliwy i wszystko się udaje!

Gdy wróciłam do domu, rozwiesiłam mokre rzeczy na kaloryferach i wskoczyłam w świeżą, miękką pidżamę. Przygotowałam sobie termos herbaty, kilka kanapek i odsłuchałam automatyczną sekretarkę. Bernadette trzykrotnie próbowała mnie złapać, przepraszając za deptanie moich uczuć z empatią słonia.

Nie powstrzymałam uśmiechu, słysząc jej słowa: „Słuchaj, Aurelie, jeżeli chcesz się smucić z powodu tego idioty, to się smuć, ale proszę, nie gniewaj się już na mnie i zadzwoń, dobrze? Tak bardzo o tobie myślę!".

Mój gniew dawno już minął. Postawiłam tacę z herbatą, kanapkami i swoją ulubioną filiżanką na ratanowym stoliku obok szafranowej sofy, pomyślałam przez chwilę, a następnie wysłałam przyjaciółce następujący SMS: „Kochana Bernadette, jest tak źle, kiedy masz rację. Zajrzysz do mnie w

środę rano? Cieszę się na spotkanie, a teraz idę spać. Bises, Aurelie!".

Z tym spaniem oczywiście kłamałam, poza tym wszystko się zgadzało. Wzięłam z komody w przedpokoju papierową torbę z librairie Capricorne i ostrożnie postawiłam ją obok tacy. Odniosłam niezwykłe wrażenie, zupełnie jakbym już wtedy czuła, że stanie się ona moją osobistą torbą z niespodzianką.

Przez chwilę poskramiałam jeszcze swoją ciekawość. Najpierw małymi łykami napiłam się herbaty, później zjadłam kanapki, wreszcie wstałam ponownie i przyniosłam z sypialni wełniany koc.

Było tak, jakbym moment, zanim rozpocznie się to, co właściwe, chciała jeszcze trochę odwlec.

I wtedy wreszcie wyjęłam książkę i zaczęłam ją czytać.

Gdybym teraz twierdziła, że następne godziny minęły mi w mgnieniu oka, byłaby to tylko połowiczna prawda. W rzeczywistości ta historia tak mnie pochłonęła, że nie potrafiłabym nawet powiedzieć, czy minęła godzina, trzy czy sześć. Tej nocy straciłam wszelkie poczucie czasu - wkroczyłam do powieści niczym bohaterowie Orfeusza, tego starego czarno - białego filmu Jeana Cocteau, który jako dziecko oglądałam kiedyś z tatą. Tyle że nie wchodziłam przez lustro, chwilę wcześniej dotknięte wierzchem dłoni, lecz przez okładkę książki.

Czas rozciągał się, kurczył, a potem zniknął zupełnie.

Kroczyłam u boku młodego Anglika, który trafił do Paryża przez zamiłowanie do nart swojego kolegi frankofila (skomplikowane złamanie nogi w Verbier). Pracuje dla producenta samochodów marki Austin i teraz, w miejsce unieruchomionego na kilka miesięcy szefa marketingu, ma umocnić we Francji pozycję mini coopera. Problem polega na tym, że jego znajomość francuskiego jest tak szczątkowa jak

jego doświadczenia z Francuzami, i ma nadzieję, kompletnie nie doceniając francuskiego ducha narodowe go, że każdy w Paryżu (a przynajmniej ludzie z paryskiej filli) włada językiem imperium brytyjskiego i będzie z nim współpracował.

Jest nie tylko przerażony ryzykownym stylem jazdy paryskich kierowców, którzy tłoczą się na dwupasmowych drogach, jakby były drogami sześciopasmowymi, nie interesują się w najmniejszym stopniu tym, co dzieje się za nimi, a złotą zasadę nauki jazdy „lusterko wewnętrzne, lusterko zewnętrzne, ruszać" skracają od razu do „ruszać", lecz również tym, że Francuz jako taki zasadniczo nie naprawia wgnieceń i zarysowań, a hasła reklamowe typu Mini - it's like falling in love nie robią na nim wrażenia, ponieważ woli kochać się z kobietami niż z samochodami.

Zaprasza śliczne Francuzki na kolacje i biorą go diabli, ponieważ te z okrzykiem: Ah, comme j'ai faim!, zamawiają wprawdzie kompletne (i drogie) menu, później jednak podziobią widelcem trzy razy w salade au chèvre, zjedzą cztery kęsy boeuf bourguignon i dwie łyżeczki crème brûlée, zanim z gracją złożą sztućce na prawie nietkniętych daniach.

O staniu w kolejce żaden Francuz jeszcze nie słyszał, a o pogodzie też nikt tutaj nie rozmawia. Bo i po co? Są ciekawsze tematy. I niemal żadnego tabu. Ludzie chcą wiedzieć, dlaczego w połowie trzydziestki nie ma jeszcze dzieci („Naprawdę żadnych? Nawet jednego? Zero?"), co sądzi o polityce Amerykanów w Afganistanie lub o pracy nieletnich w Indiach, czy obiekty sztuki z konopi i styropianu autorstwa Vladimira Wroschta w galerii La Borg nie są très hexagonale (nie zna ani artysty, ani galerii, ani znaczenia słowa „hexagonal"), czy jest zadowolony ze swojego życia erotycznego i co myśli o farbowaniu włosów łonowych przez kobiety.

Innymi słowy: nasz bohater mdleje raz za razem.

Jest angielskim dżentelmenem, który właściwie niechętnie się odzywa. I nagle musi o wszystkim dyskutować. I to we wszystkich możliwych miejscach. W firmie, w kawiarni, w windzie (cztery piętra wystarczą na ożywioną dyskusję o podpaleniach samochodów w Banlieue, na przedmieściach Paryża), w męskiej toalecie (czy globalizacja jest dobra, czy zła?) i oczywiście w taksówce, ponieważ francuscy taksówkarze w odróżnieniu od kolegów z Londynu mają na każdy temat swoje zdanie (które też ogłaszają), a gościowi nie wolno siedzieć w milczeniu za dzielącą go od kierowcy szybą i pogrążać się w myślach. Powinien coś powiedzieć!

Anglik znosi to wszystko z brytyjskim humorem. I kiedy po pokonaniu pewnych meandrów zakochuje się po uszy w Sophie, czarującej i nieco kapryśnej dziewczynie, brytyjska powściągliwość zderza się z francuską zawiłością, wywołując początkowo wiele nieporozumień i komplikacji. Aż wreszcie wszystko kończy się cudownym entente cordiale. Aczkolwiek nie w mini cooperze, tylko we francuskiej restauracyjce o nazwie Le Temps des Cerises. Z obrusami w czerwono - białą kratkę. Przy rue Princesse.

W mojej restauracji! Co do tego nie ma wątpliwości.

Zamknęłam książkę. Była szósta rano, a ja znów odzyskałam wiarę w to, że miłość jest możliwa. Przeczytałam 320 stron i nie byłam ani trochę zmęczona. Ta powieść była wyjątkowo pobudzającą wyprawą do innego świata - a mimo to świat ten wydawał mi się tak dobrze znany.

Skoro jakiś Anglik tak dokładnie opisuje restaurację, której, w przeciwieństwie do na przykład La Coupole lub brasserie Lipp, nie znajdzie się w każdym przewodniku, to musiał w niej już kiedyś być.

A skoro bohaterka jego powieści wygląda tak, jak się samemu wygląda - włącznie z tą delikatną, ciemnozieloną

jedwabną sukienką, którą ma się w szafie, i tym sznurem pereł z przywieszką w postaci dużego owalnego kamienia szlachetnego, którą dostało się na osiemnaste urodziny, to albo jest to niesamowity przypadek - albo ten mężczyzna musiał już kiedyś widzieć tę kobietę.

Fakt jednak, że ta kobieta w jednym z najnieszczęśliwszych dni swojego życia wyszukała w księgarni akurat tę książkę spośród setek innych, nie jest już przypadkiem. To przemówiło do mnie przeznaczenie. Co chce mi powiedzieć?

W zamyśleniu odwróciłam książkę i spojrzałam na sprawiającego sympatyczne wrażenie krótkowłosego blondyna z niebieskimi oczami. Siedział na ławce w jakimś angielskim parku, niedbale zarzuciwszy ramiona na oparcie, i uśmiechał się do mnie.

Zamknęłam na chwilę oczy, usiłując sobie przypomnieć, czy już kiedyś nie widziałam tej twarzy, tego młodzieńczego, rozbrajającego uśmiechu. I mimo intensywnych poszukiwań w zakamarkach swojego umysłu, nigdzie ich nie znalazłam.

Także nazwisko autora nic mi nie mówiło: Robert Miller.

Nie znałam żadnego Roberta Millera, właściwie nie znałam żadnego Anglika - nie licząc angielskich turystów, którzy od czasu do czasu zaglądali do mojej restauracji, i tego ucznia z wymiany międzyszkolnej, który przyjechał z Walii, i ze swoimi rudymi włosami oraz mnóstwem piegów wyglądał jak przyjaciel delfina Flippera.

Uważnie przestudiowałam krótką biografię autora.

Robert Miller pracował jako inżynier w dużej angielskiej firmie samochodowej, zanim zadebiutował powieścią „Sekretne składniki miłości". Uwielbia stare samochody, Paryż i francuskie jedzenie, mieszka ze swoim yorkshire terierem Rockym w wiejskim domku nieopodal Londynu.

- Kim jesteś, Robercie Millerze? - odezwałam się półgłosem, a moje spojrzenie wróciło do mężczyzny na parkowej ławce. - Kim jesteś? I skąd mnie znasz?

Nagle w mojej głowie wykiełkował pewien pomysł i z każdą chwilą podobał mi się coraz bardziej.

Chciałam poznać tego autora - nie tylko dlatego że w najczarniejszych chwilach przywrócił mi apetyt na życie, lecz również w jakiś tajemniczy sposób wydawał się ze mną związany. Napiszę do niego. Podziękuję mu. A potem zaproszę go na czarujący wieczór do swojej restauracji i dowiem się, o co chodzi z tą powieścią.

Usiadłam i wycelowałam palcem w pierś Roberta Millera, który być może w tej samej chwili gdzieś w Cotswolds wyprowadzał na spacer swojego psa.

- Mr Miller, zobaczymy się!

Mr Miller uśmiechnął się do mnie, a ja o dziwo ani przez moment nie zwątpiłam, że uda mi się odnaleźć swojego nowego (i jedynego!) ulubionego pisarza.

Skąd mogłam wiedzieć, że akurat ten autor jak ognia unikał bycia na świeczniku.

Rozdział 2

- Co to ma znaczyć, że ten autor jak ognia unika bycia na świeczniku?

Monsieur Monsignac zerwał się na równe nogi. Jego pokaźny brzuch zatrząsł się z podniecenia, a na dźwięk coraz donośniejszego głosu uczestnicy zebrania redaktorów skurczyli się na swoich krzesłach.

- Sprzedaliśmy prawie pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy tej głupiej książki. Ten Miller jest o krok od znalezienia się na liście. „Le Figaro" chce napisać o nim duży artykuł - ogłosił Monsignac.

Uspokoił się na chwilę, entuzjastycznie uniósł wzrok w górę i prawą dłonią wypisał w powietrzu zamaszysty nagłówek.

- Tytuł: Anglik w Paryżu. Zaskakujący sukces Editions Opale.

Następnie tak gwałtownie opuścił rękę, uderzając nią w stół, że madame Petit, protokolantka, upuściła ze strachu cienkopis.

- A pan tu siedzi i z pełną powagą próbuje mi wmówić, że ten mężczyzna nie jest w stanie ruszyć swojej cholernej angielskiej dupy na jeden dzień do Paryża? Proszę mi powiedzieć, że to nieprawda, André, proszę to powiedzieć! - perorował.

Widziałem czerwoną twarz, jego jasne oczy ciskały błyskawice. Nie było wątpliwości, że Jean - Paul Monsignac, wydawca i właściciel Editions Opale, w najbliższych sekundach dostanie zawału serca.

I to ja ponosiłem za to winę.

- Monsieur Monsignac, proszę się uspokoić. - Rozmasowałem dłonie. - Proszę mi wierzyć, robię, co mogę. Ale monsieur Miller jest Anglikiem. My home is my castle, rozumie pan. Żyje samotnie w swoim wiejskim domku,

zazwyczaj majsterkując przy samochodach, nie jest przyzwyczajony do kontaktów z prasą i zwyczajnie nie lubi znajdować się w centrum zainteresowania. Uważam, że to... to właśnie czyni go tak sympatycznym...

Zauważyłem, że nadaję, jakbym walczył o życie. Dlaczego nie powiedziałem po prostu, że Robert Miller wyjechał na rok w podróż dookoła świata, nie zabierając ze sobą IPhone'a?

- Trutu, tutu. Niech pan przestanie pleść bzdury, André! I postara się o to, aby ten Anglik wsiadł w pociąg, przemknął pod kanałem, odpowiedział tu na kilka pytań i podpisał kilka książek. Chyba można tego oczekiwać. Bądź co bądź, ten człowiek był - sięgnął po książkę, zerknął na okładkę, a następnie rzucił ją ponownie na stół - mechanikiem samochodowym, nie, wręcz inżynierem, zanim napisał powieść. A więc miewał też kontakty z ludzką rasą. Czy może jest autystyczny?

Gabrielle Mercier, jedna z dwóch redaktorek, zachichotała, zasłaniając usta dłonią. Miałem ochotę udusić tę głupią gęś.

- Oczywiście nie jest autystyczny - pośpieszyłem z odpowiedzią. - Jest tylko trochę, cóż, trochę nieśmiałym odludkiem.

- Taki jest każdy inteligentny człowiek. Im bardziej poznaję ludzi, tym bardziej kocham zwierzęta. Kto to powiedział? No? Ktoś wie? - Monsieur Monsignac rozejrzał się wyczekująco.

Nawet teraz nie potrafił sobie odmówić udowodnienia wyższości swojego wykształcenia. Uczęszczał do Ecole Normale Supérieure, elitarnej paryskiej szkoły, i w naszym wydawnictwie nie było dnia bez cytatu z jakiegoś znaczącego filozofa czy pisarza.

O dziwo, pamięć monsieur Monsignaca funkcjonowała bardzo wybiórczo. Podczas gdy bez trudu zachowywał w niej nazwiska wielkich literatów, myślicieli oraz laureatów Nagrody Goncourtów i wszystkim nam działał na nerwy sentencjami i cytatami, z literaturą trywialną miał wyraźne problemy. Albo natychmiast zapominał nazwisko autora, nazywając go później „tym człowiekiem" lub „tym Anglikiem", lub „tym - autorem - od - kodu - da - Vinci", albo rozpływał się w niedorzecznych przekręceniach jak Lars Stiegsson (Stieg Larsson), Nicolai Bark (Nicholas Sparks) czy Steffen Lark (Stephen Clarke).

- Nie cenię nad wyraz wysoko amerykańskich autorów, ale właściwie dlaczego nie mamy w programie żadnego Steffena Larka? - rzucił donośnym głosem podczas zebrania przed dwoma laty. - Amerykanin w Paryżu, wydaje się, że i dziś sprawdza się to znakomicie!

To ja troszczyłem się o anglojęzyczne książki i ja ostrożnie zwróciłem mu uwagę na to, że w przypadku Steffena Larka chodzi o Anglika, który w rzeczywistości nazywa się Stephen Clarke i z dużym powodzeniem pisuje żartobliwe książki o Francji.

- Żartobliwe książki o Paryżu. Autorstwa Anglika. No, no - stwierdził monsieur Monsignac i pokiwał swoją wielką głową. - Niech pan przestanie mnie pouczać, André, i przyniesie mi lepiej takiego Clarke'a, w końcu za co panu płacę? Jest pan moją świnią do wyszukiwania trufli czy nie?

Kilka miesięcy później wyjąłem z torby manuskrypt niejakiego Roberta Millera. Pod względem zabawności i pomysłowości ani trochę nie ustępował swojemu popularnemu wzorcowi. Przewidywania się sprawdziły, książka sprzedawała się nad wyraz dobrze, i za to musiałem teraz odpokutować. Jak to się ładnie mówi? Pycha przed upadkiem

chodzi. A z Robertem Millerem znajdowałem się, że tak powiem, w trakcie niekontrolowanego upadku.

Fakt, że Jean - Paul Monsignac zapamiętał wreszcie nazwisko swojego nowego autora bestsellera („Jakże się nazywa ten Anglik - Meller?"), zawdzięczałem wyłącznie temu, że miał słynnego imiennika („Nie, monsieur Monsignac, nie Meller

- Miller!"), który otrzymał już wyższe święcenia („Miller? Czy jest może spokrewniony z Henrym Millerem?").

Podczas gdy uczestnicy zebrania zastanawiali się jeszcze, czy cytat pochodził z Hobbesa, czy nie, przyszło mi nagle na myśli, że Monsignac ze wszystkimi swoimi okropnymi cechami był najlepszym i najbardziej ludzkim wydawcą, którego poznałem w ciągu piętnastoletniej pracy wydawniczej. Okłamywanie go przychodziło mi z trudem, wyglądało jednak na to, że nie miałem wyboru.

- A gdybyśmy po prostu wysłali Millerowi pytania z „Le Figaro" pocztą, a potem przekazali prasie jego odpowiedzi? Tak jak zrobiliśmy wtedy z tym koreańskim wydawnictwem? Przecież sprawdziło się to bardzo dobrze.

Była to moja ostatnia żałosna próba zapobiegnięcia nieszczęściu. I naturalnie ani trochę go nie przekonała.

- Nie, nie, nie, to mi się nie podoba! - Monsignac uniósł ręce w obronnym geście.

- Wykluczone, cała spontaniczność zostanie zatracona - wtrąciła się również Michelle i popatrzyła z dezaprobatą zza swoich czarnych oprawek Chanel.

Michelle już od tygodni suszyła mi głowę, że powinniśmy wreszcie coś zrobić z „tym sympatycznym Anglikiem".

Dotąd udawałem głuchego. Teraz jednak miała po swojej stronie jedną z najważniejszych gazet i - co gorsza - również mojego szefa.

Michelle zajmuje się u nas PR - em, zawsze ubiera się na czarno lub na biało i nienawidzę jej za apodyktyczne uwagi.

Siedziała w nienagannej białej bluzce pod czarnym kostiumem i wygłaszała zdania typu „To absolutnie niemożliwe", kiedy przychodziło się do niej z pomysłem, który sam pomysłodawca uważał za znakomity, ponieważ gdzieś w głębi duszy wierzył w człowieka potrafiącego, ot tak, zachwycić się książką.

- Żaden kronikarz wydarzeń kulturalnych na tym świecie nie traktuje poważnie powieści historycznych, André, niech pan o tym zapomni! - Albo mawiała: - Prezentacja książki z nieznaną autorką, która w dodatku pisze opowiadania? Ależ André! Pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje! Czy została przynajmniej nominowana do Prix Maison de la Presse? Nie? - Wtedy wzdychała, przewracała niebieskimi oczami i niecierpliwie kręciła młynka srebrnym długopisem, który zawsze trzymała w dłoni. - Naprawdę nie ma pan bladego pojęcia, jak dziś wygląda PR, prawda? Potrzebujemy nazwisk, nazwisk, nazwisk. Niech pan poszuka przynajmniej prominentnego autora wstępu.

I zanim człowiek zdąży coś odpowiedzieć, znów dzwoni jej telefon, a ona wita serdecznym głosem jednego z tych ubranych w skórzane kurtki dziennikarzy telewizyjnych czy prasowych, którzy nie traktują „poważnie" powieści historycznych i teraz czują się jeszcze lepsi, ponieważ żartuje z nimi długonoga piękność o gładkich czarnych włosach.

To wszystko przemknęło mi przez głowę, kiedy Michelle Auteuil siedziała przede mną i patrzyła, czekając na reakcję.

Odchrząknąłem.

- Spontaniczność - powtórzyłem, aby zyskać na czasie. - To właśnie jest problem.

Rozejrzałem się znacząco wokoło. Twarz Michelle nawet nie drgnęła. Zdecydowanie nie należała do kobiet, które pod wpływem retorycznych manewrów okazują swoje uczucia.

- W rozmowie ten Miller wcale nie jest taki zabawny i błyskotliwy, jak można by sobie pomyśleć - kontynuowałem. - Nie jest też, jak nawiasem mówiąc większość pisarzy, zbyt spontaniczny. Ostatecznie przecież nie należy do tych... - nie mogłem sobie odmówić przytyku i spojrzałem na Michelle - ...telewizyjnych showmanów, którzy nawijają dniem i nocą, ale do swoich książek potrzebują autora widma.

Błękitne oczy Michelle zwęziły się.

- To mnie nie interesuje! - krzyknął Jean - Paul Monsignac, a jego cierpliwość ewidentnie się wyczerpała.

Pomachał w powietrzu książką Millera. Uznałem za całkiem prawdopodobne, że w następnej chwili rzuci nią we mnie.

- Niech pan nie będzie taki dziecinny, André. Proszę ściągnąć mi tego Anglika do Paryża! Chcę mieć piękny wywiad w „Le Figaro", z dużą liczbą zdjęć i basta! - zażądał.

Żołądek ścisnął mi się boleśnie.

- A jeśli się nie zgodzi?

Monsignac zmrużył oczy i milczał przez kilka sekund. Następnie odezwał się z uprzejmością kata:

- Wtedy postara się pan, żeby się zgodził. Przygnębiony skinąłem głową.

- Ostatecznie jest pan jedynym, który zna tego Millera, nieprawdaż?

Znów skinąłem głową.

- Jeżeli jednak nie potrafi pan sprowadzić go tutaj, to ja też mogę pogadać z tym Anglikiem. Albo może... madame Auteuil?

Tym razem nie przytaknąłem.

- Nie, nie, to byłoby... niedobrze, to byłoby bardzo niedobrze - odparłem szybko, czując, jak zatrzaskuje się nade mną pułapka. - Miller naprawdę jest trochę drażliwy, wie pan, no więc nie całkiem niemiły, ale raczej w typie Patricka Suskinda, niełatwy, ale... ale jakoś to załatwimy. Jeszcze dziś skontaktuję się z jego agentem.

Położyłem dłoń na brodzie i ścisnąłem palcami szczękę, w nadziei, że nie było po mnie widać paniki.

- Bon - oświadczył Monsignac i rozparł się w swoim fotelu. - Patrick Suskind, to mi się podoba! - Zaśmiał się przyjaźnie. - Cóż, wprawdzie nie pisze tak inteligentnie jak Suskind, ale za to lepiej wygląda, prawda, madame Auteuil?

Michelle uśmiechnęła się złośliwie.

- W rzeczy samej! O wiele lepiej. Nareszcie autor, którego bez obaw można zaprezentować w prasie. Powtarzam to już od tygodni. I gdyby szanowny kolega przemógł się jednak i podzielił z nami swoim cudownym autorem, to szczęściu już nic nie stałoby na przeszkodzie.

Otworzyła swój gruby, czarny organizer.

- Co pan sądzi o wspólnym obiedzie z dziennikarzami w brasserie Lutetia?

Monsignac skrzywił się, ale milczał. Myślę, że poza mną nikt nie wiedział o tym, jak nisko w jego rankingu stała Lutetia z powodu niechlubnej przeszłości. „Ta stara nazistowska stodoła", powiedział do mnie, gdy kiedyś zostaliśmy zaproszeni do starego Grand Hotelu na przyjęcie wydawnicze. „Wie pan, że Hitler miał tu swoją kwaterę główną?".

- Później będziemy towarzyszyć naszemu autorowi na zakupach w Paryżu przystrojonym na Boże Narodzenie - kontynuowała Michelle. - To zgrabne posunięcie i wreszcie będzie można zrobić kilka rozsądnych zdjęć. - Z ożywieniem machała srebrnym długopisem, kartkując swój kalendarz. -

Czy powinniśmy skupić się na początku grudnia? Książce przyniosłoby to dodatkową reklamę, w sam raz na świąteczny ruch w sklepach...

Resztę wtorkowej konferencji pamiętałem jak przez mgłę. Pozostały mi zaledwie trzy tygodnie i nie miałem planu. Z oddali dobiegał mnie głos Jeana - Paula Monsignaca. Krytykował bez ogródek, śmiał się w głos, flirtował troszkę z mademoiselle Mirabeau, nową śliczną asystentką redakcji. Zagrzewał do działania swój mały oddział i nie bez powodu konferencje w Editions Opale były bardzo popularne i atrakcyjne.

Tego popołudnia jednak miałem tylko jedną myśl. Zadzwonić do Adama Goldberga! Był jedyną osobą, która mogła mi pomóc.

Starałem się kierować wzrok w stronę, skąd słyszałem głosy, i modliłem się, aby konferencja jak najszybciej dobiegła końca. Omawiano kalendarz imprez i sprzedaż w październiku. Zostały przedstawione projekty książkowe, które spotkały się z odmową („Kto chciałby coś takiego czytać?"), niezrozumieniem („A co inni o tym sądzą?") lub aprobatą („Wspaniałe! Zrobimy z tego drugą Gavaldę!") wydawcy. Później, kiedy popołudnie miało się już ku końcowi, rozgorzała gwałtowna dyskusja, czy za powieść kryminalną dotąd kompletnie nieznanego włoskiego lodziarza, zachwalanego przez przedsiębiorczą amerykańską agentkę jako „męska Donna Leon", należałoby zaoferować sumę gwarancyjną, za którą zwykły śmiertelnik mógłby sobie kupić mały palazzo. Monsignac zakończył spór, każąc madame Mercier podać sobie manuskrypt i wepchnął go do swojej starej, brązowej, skórzanej teczki.

- Dość dyskusji, porozmawiamy jutro, niech no rzucę na to okiem.

Mógłby to być znak do powstania, gdyby w tej chwili nie odezwała się mademoiselle Mirabeau. Nieśmiało i tak rozwlekle, że wszyscy inni zaczęli ziewać, opowiadała o nadesłanym niedawno manuskrypcie, w którym od trzeciego zdania było już wiadomo, że nigdy nie ujrzy świata w formie książki. Monsignac uniósł dłoń, aby uciszyć niepokój, jaki nagle zapanował w pomieszczeniu. Mademoiselle Mirabeau była tak podekscytowana, że nie zauważyła jego ostrzegawczych spojrzeń kierowanych do nas.

- Świetnie to pani zrobiła, drogie dziecko - odezwał się, kiedy wreszcie odłożyła ostatnią stronę z notatkami.

Mademoiselle Mirabeau, która w naszej redakcji pracowała zaledwie od kilku tygodni, poczerwieniała.

- Przypuszczalnie jednak to i tak nie będzie możliwe - szepnęła.

Monsignac pokiwał głową z poważną miną.

- Obawiam się, że ma pani rację, drogie dziecko - powiedział cierpliwie. - Proszę nie brać sobie tego do serca. Tak wiele z tego, co dostaje się do czytania, to bzdury. Czyta pani początek: bzdury. Zagląda pani do środka: bzdury. Koniec: bzdury. Kiedy coś takiego trafia na biurko, można oszczędzić sobie trudu i... - lekko podniósł głos - nie ma sensu tracić na to zbyt wielu słów. - Roześmiał się.

Mademoiselle Mirabeau poważnie pokiwała głową, inni powściągnęli uśmiechy. Właściciel Editions Opale był w swoim żywiole i huśtał się w fotelu.

- Zdradzę pani tajemnicę, mademoiselle Mirabeau - oznajmił i każdy z nas wiedział, co teraz nastąpi, ponieważ wszyscy już to kiedyś słyszeliśmy. - Dobra książka jest dobra na każdej stronie - powiedział i tymi podniosłymi słowami zakończył konferencję.

Chwyciłem swoje manuskrypty, pobiegłem na koniec ciasnego korytarza i wpadłem do swojego małego biura.

Z trudem łapiąc oddech, opadłem na krzesło przy biurku i drżącym palcem wystukałem numer do Londynu.

Odczekałem kilka sygnałów, ale nikt nie odebrał.

- Adam, odbierz, do cholery - zakląłem cicho, a potem włączyła się automatyczna sekretarka.

- Literary Agency Adam Goldberg. Zostałeś połączony z naszą automatyczną sekretarką. Niestety, dzwonisz poza godzinami pracy. Zostaw wiadomość po sygnale.

Wciągnąłem głęboko powietrze.

- Adam - powiedziałem i nawet w moich uszach zabrzmiało to jak wołanie o pomoc. - Tu André. Proszę, oddzwoń jak najszybciej. Mamy problem!

Rozdział 3

Kiedy zadzwonił telefon, byłam akurat w ogrodzie czarującego angielskiego domku i zatopiona w myślach zrywałam zwiędłe liście z krzaka pachnących róż, które pięły się po murze z cegieł.

Ptaszki ćwierkały, ranek był przepełniony niemal nierzeczywistym spokojem, a słońce świeciło mi w twarz łagodnym i ciepłym blaskiem. Perfekcyjny początek perfekcyjnego dnia, pomyślałam, postanawiając udać, że nie słyszę telefonu. Zanurzyłam twarz w wyjątkowo okazałym różowym kwiecie i dzwonek zamilkł.

Następnie usłyszałam cichy trzask i za mną rozległ się głos, który dobrze znałam, ale który nie bardzo tutaj pasował.

- Aurelie...? Aurelie, śpisz jeszcze? Dlaczego nie odbierasz telefonu? Hm... dziwne... Może stoisz akurat pod prysznicem...? Posłuchaj, chciałam ci tylko powiedzieć, że przyjdę pół godziny później, przyniosę croissanty i bułeczki z czekoladą, które zawsze tak chętnie jesz. Aurelie? Haaaalooo! Haaalo, haaalo! Odbierz wreszcie, proszę!

Z westchnieniem otworzyłam oczy i boso poczłapałam do przedpokoju, gdzie na bazie stał telefon.

- Cześć, Bernadette - powiedziałam zaspana.

Angielski ogród różany zbladł.

- Obudziłam cię? Przecież już wpół do dziesiątej. Bernadette należy do osób, które lubią wcześnie wstawać i wpół do dziesiątej to dla nich prawie południe.

- Hm... hm... - Ziewnęłam, wróciłam do sypialni, zacisnęłam słuchawkę między ramieniem a głową i sięgnęłam stopą po przydeptane baleriny, które leżały pod łóżkiem.

Minusem prowadzenia małej restauracji jest to, że człowiek właściwie nigdy nie ma wolnych wieczorów. Nieprześcignioną zaletą natomiast, że rano można rozpocząć dzień bez pośpiechu.

- Śniło mi się właśnie coś pięknego - powiedziałam, rozsuwając zasłony.

Spojrzałam w niebo - ani śladu słońca! - i zatraciłam się w myślach o letnim wiejskim domku.

- Lepiej się czujesz? Zaraz u ciebie będę! Uśmiechnęłam się.

- Tak, o wiele lepiej - wyjaśniłam, stwierdzając ze zdziwieniem, że naprawdę tak było.

Minęły ledwie trzy dni, odkąd Claude mnie opuścił, a już wczoraj, kiedy lekko niewyspana, ale ani trochę nie nieszczęśliwa robiłam zakupy na hali targowej i wieczorem w restauracji witałam gości, polecając im loup de mer, który Jacquie potrafił świetnie przyrządzić, prawie o nim nie myślałam. Za to coraz więcej o Robercie Millerze i jego powieści. I o swoim pomyśle, aby do niego napisać.

Tylko raz, kiedy Jacquie po ojcowsku objął mnie ramieniem, mówiąc: „Ma pauvre petite, jak on mógł ci to zrobić, łajdak. Ah, les hommes sont des cochons, chodź, proszę, zjedz talerz zupy rybnej", poczułam lekkie ukłucie w sercu. W każdym razie nie musiałam już płakać. A po powrocie do domu ulokowałam się przy stole kuchennym z kieliszkiem czerwonego wina i ponownie przekartkowałam książkę. Potem długo siedziałam przed białą kartką z piórem w dłoni.

Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz pisałam list, a teraz miałam napisać go do mężczyzny, którego wcale nie znałam. Życie było dziwne.

- Wiesz co, Bernadette - powiedziałam, przechodząc do kuchni, aby nakryć do stołu. - Wydarzyło się coś dziwnego. Myślę, że mam dla ciebie niespodziankę.

Godzinę później przyjaciółka siedziała przede mną i wpatrywała się we mnie zdziwiona.

- Przeczytałaś książkę?

Przyszła z bukiecikiem kwiatów i wielką torebką pełną croissantów i pains au chocolat, aby mnie pocieszyć, a zamiast kupki nieszczęścia ze złamanym sercem, zapłakującej chusteczkę za chusteczką, zastała Aurelie, opowiadającą jej z błyszczącymi oczami pełną przygód historię o parasolu w grochy, policjancie na moście, który ją śledził, o zaczarowanej księgarni, gdzie siedział Marc Chagall i częstował ją ciastkami, i o tej cudownej książce, po którą sięgnęła. Jak to się wszystko ułożyło, jakie zrządzenie losu! I że całą noc czytała książkę, która zlepiła jej złamane serce i rozbudziła ciekawość. O śnie i o tym, że napisała do autora list. Czy to wszystko nie jest niezwykle zdumiewające?

Może za szybko mówiłam albo zbyt zagmatwanie, w każdym razie Bernadette nie zrozumiała tego, co najistotniejsze.

- A więc kupiłaś sobie poradnik dla złamanych serc i po lekturze poczułaś się lepiej - podsumowała mój osobisty cud prostymi słowami. - To wspaniale! Nigdy bym wprawdzie nie pomyślała, że jesteś typem poradnikowym, najważniejsze jednak, że ci to pomogło.

Pokręciłam głową.

- Nie, nie, nie, nie zrozumiałaś, Bernadette. Nie była to żadna z tych książek psychologicznych. To powieść i ja w niej występuję!

Bernadette skinęła głową.

- Chcesz powiedzieć, że bohaterka myśli podobnie jak ty i że to tak bardzo ci się spodobało. - Uśmiechnęła się i teatralnie rozpostarła ramiona. - Witamy w świecie książek, droga Aurelie. Muszę przyznać, że twój entuzjazm daje mi nadzieję. Może jeszcze będzie z ciebie całkiem niezła czytelniczka!

Jęknęłam.

- Bernadette, posłuchaj mnie wreszcie. Tak, nie czytam zbyt wielu książek, i nie, nie szaleję z radości tylko dlatego, że przeczytałam teraz jakąś powieść. Ta książka podobała mi się, nawet bardzo. To jedno. A inna sprawa jest taka, że występuje w niej dziewczyna, młoda kobieta, która wygląda jak ja. Nazywa się wprawdzie Sophie, ale ma falujące, długie blond włosy, jest średniego wzrostu, szczupła i nosi moją sukienkę. A na koniec siedzi w mojej restauracji, która nazywa się Le Temps des Cerises i znajduje się przy rue Princesse.

Bernadette nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Następnie powiedziała:

- A czy ta kobieta z powieści również jest związana z zakręconym, totalnie stukniętym facetem o imieniu Claude, który przez cały czas zdradza ją z inną?

- Nie, nie jest. Nie jest z żadnym facetem, ale zakochuje się później w Angliku, który zwyczaje i obyczaje Francuzów uważa za dość dziwne. - Rzuciłam w nią kawałkiem rogalika. - Poza tym Claude nie zdradzał mnie przez cały czas.

- Kto wie? Ale nie mówmy o nim. Chcę natychmiast zobaczyć tę cudowną książkę!

Bernadette najwyraźniej zapałała entuzjazmem, ale być może było też tak, że za cudowne uważała wszystko, co oddalało mnie od Claude'a i przywracało mi spokój ducha. Podniosłam się i podałam jej książkę, która leżała na kredensie.

- Proszę - powiedziałam.

Rzuciła okiem na tytuł.

- Sekretne składniki miłości - przeczytała na głos.

- Ładny tytuł.

Zaczęła kartkować z zainteresowaniem.

- Widzisz... tutaj - powiedziałam gorliwie. - I tutaj... Przeczytaj to!

Bernadette przebiegła wzrokiem tekst, a ja czekałam w napięciu.

- Taaak - odezwała się wreszcie. - To rzeczywiście jest trochę dziwne. Ale, mon Dieu, takie osobliwe przypadki istnieją. Kto wie, może autor zna twoją restaurację albo o niej słyszał. Zachwycał się nią na przykład jeden z jego przyjaciół, który tam jadł przy okazji podróży służbowej do Paryża. Coś w tym stylu. I, proszę, nie zrozum mnie teraz źle, jesteś osobą wyjątkową, Aurelie, ale na pewno nie jesteś jedyną kobietą z długimi ciemnoblond włosami...

- A sukienka? Co z sukienką? - nie odpuszczałam.

- Tak, sukienka... - Bernadette zastanawiała się przez chwilę. - Co mam powiedzieć, to sukienka, którą kiedyś gdzieś kupiłaś. Zakładam, że nie jest to model, który wyłącznie dla ciebie zaprojektował Karl Lagerfeld, prawda? Innymi słowy: również inne kobiety mogą mieć takie sukienki. Albo wisiała na wystawie sklepowej na manekinie. Jest tyle możliwości...

Wydałam z siebie odgłos niezadowolenia.

- Rozumiem jednak, że to wszystko musi ci się wydawać niezwykle zdumiewające. W pierwszej chwili czułabym się tak samo.

- Nie wierzę, że to wszystko mogłoby być przypadkiem

- stwierdziłam. - Po prostu w to nie wierzę.

- Moja droga Aurelie, wszystko jest przypadkiem albo zrządzeniem losu, można powiedzieć. Myślę, że istnieje bardzo proste wytłumaczenie tych dziwnych zbiegów okoliczności, ale to tylko moje zdanie. W każdym razie znalazłaś tę książkę w odpowiednim momencie i zwyczajnie jestem szczęśliwa, że skierowała twoje myśli na inne tory.

Pokiwałam głową i poczułam się lekko rozczarowana. Spodziewałam się bardziej entuzjastycznej reakcji.

- Musisz jednak przyznać, że coś takiego nie zdarza się często - powiedziałam. - A może już kiedyś ci się przytrafiło?

- Przyznaję - wyjaśniła z uśmiechem. - I nigdy nie przytrafiło mi się nic podobnego.

- Mimo że czytasz o wiele więcej ode mnie - uzupełniłam.

- Tak, mimo że czytam o wiele więcej - powtórzyła. - Właściwie to szkoda.

Zerknęła badawczo na książkę i odwróciła ją.

- Robert Miller - powiedziała. - Nigdy nie słyszałam. W każdym razie ten Robert Miller jest cholernie przystojny.

Pokiwałam głową.

- A jego książka uratowała mi życie. Można tak powiedzieć - dodałam szybko.

Bernadette podniosła wzrok.

- Napisałaś mu to?

- Nie, oczywiście, że nie - odparłam. - Niebezpośrednio. Podziękowałam mu i zaprosiłam na kolację do swojej restauracji, którą, powtarzając za tobą, albo już zna, albo o niej słyszał.

O zdjęciu nawet nie wspomniałam. - O la la - powiedziała Bernadette. - Ale chciałabyś wiedzieć, co?

- Tak - przyznałam. - Poza tym czytelnicy czasami piszą do autorów, kiedy podobają im się książki. To nie jest takie nadzwyczajne.

- Przeczytasz mi ten list? - spytała.

- Absolutnie - pokręciłam głową. - Tajemnica korespondencji. Poza tym już go zakleiłam.

- I wysłałaś?

- Nie.

Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nie pomyślałam o adresie.

- Co właściwie trzeba zrobić, chcąc napisać do autora?

- zapytałam.

- Cóż, mogłabyś przesłać list do wydawnictwa, a oni przekażą go dalej zainteresowanemu. - Bernadette wzięła książkę do ręki. - Zobaczmy - powiedziała, szukając stopki.

- Ach, tu jest: Copyright Editions Opale, rue de l'Université, Paryż.

Odłożyła ją z powrotem na kuchenny stół.

- To całkiem niedaleko stąd - stwierdziła, popijając łyk kawy. - Mogłabyś zajrzeć do nich osobiście i oddać list.

- Mrugnęła do mnie. - Szybciej do nich dotrze.

- Głupia jesteś, Bernadette - powiedziałam. - Ale wiesz co? Właśnie tak zrobię.

Tym sposobem wczesnym wieczorem wybrałam okrężną drogę przez rue de l'Université, aby wrzucić do skrzynki Editions Opale podłużną kopertę bąbelkową. Było na niej napisane: „Do pisarza Roberta Millera/Editions Opale". Najpierw napisałam tylko „Editions Opale - do rąk Pana Roberta Millera", ale „Do pisarza" brzmiało uroczyściej, tak mi się przynajmniej wydawało. I przyznaję, poczułam się dość uroczyście, gdy usłyszałam lekki szelest listu lądującego po drugiej stronie dużych drzwi wejściowych.

Kiedy człowiek wysyła list, zawsze coś zapoczątkowuje. Rozpoczyna dialog. Chciałby się podzielić wszystkimi swoimi nowościami, przeżyciami i nastrojami albo czegoś się dowiedzieć. List zawsze ma nadawcę i adresata. Z reguły wymaga odpowiedzi, chyba że pisze się list pożegnalny - lecz nawet wtedy to, co się pisze, odnosi się do żywej osoby i wyzwala, inaczej niż wpis do pamiętnika, jakąś reakcję.

Nie umiałabym dokładnie ująć w słowa, czego właściwie się spodziewałam po wysłaniu tego listu. W każdym razie było to coś więcej niż tylko postawienie kropki za moimi podziękowaniami za książkę.

Oczekiwałam odpowiedzi - na list i moje pytania - a perspektywa poznania autora, który kończy swoją opowieść w

Temps des Cerises, była ekscytująca. Jednak nie tak ekscytująca jak to, co potem naprawdę się wydarzyło.

Rozdział 4

Adam Goldberg jakby zapadł się pod ziemię. Nie odpowiadał, a ja z każdą mijającą godziną coraz bardziej się denerwowałem. Od zeszłego wieczoru raz po raz próbowałem go złapać. To, że teoretycznie można do kogoś dzwonić na cztery różne numery, a kiedy przychodzi co do czego, ten ktoś i tak jest nieosiągalny, napawało mnie nienawiścią do epoki cyfrowej.

W jego londyńskiej agencji niezmordowanie włączała się taśma z komunikatem, który znałem już na pamięć. Nikt nie odbierał również komórki służbowej Adama, ale mogłem chociaż pozostawić wiadomość. Poza tym właściciel był dodatkowo powiadamiany SMS - em o moim telefonie, jakież to kojące! Telefon stacjonarny dzwonił przez długie minuty, zanim odezwała się automatyczna sekretarka, na której wysoki głosik sześcioletniego Toma, syna Adama, paplał:

- Hi, the Goldbergs are not at home. But don't you worry - we'll be back soon and then we can taaaaaalk...

Rozlegał się chichot, trzask, a później uwaga, że w nagłych wypadkach głowę rodziny Goldbergów można złapać pod prywatną komórką:

- In urgent cases you can reach Adam Goldberg on his mobile...

Znów trzask, a potem szept:

- What's your mobile number, Daddy?

Następnie dziecięcy głosik na pełny regulator podawał numer, którego dotąd nie znałem. Kiedy jednak wybierałem ten numer, uprzejmy automatyczny głos informował, że jego użytkownik „czasowo jest niedostępny". Tym razem nie mogłem nawet pozostawić wiadomości, tylko usłyszałem, że mam spróbować później.

- This number is temporarily not available, please try again later - brzmiała lapidarna informacja, a ja zazgrzytałem zębami.

Znalazłszy się w wydawnictwie, napisałem z samego rana mejl do Literary Agency, w nadziei, że Adam, gdziekolwiek akurat przebywa, będzie sprawdzał pocztę.

Drogi Adamie, próbuję Cię złapać wszystkimi drogami. Gdzie się podziewasz? Wielkie problemy!!! Proszę, oddzwoń JAK NAJSZYBCIEJ, najlepiej na komórkę. Chodzi o naszego autora Roberta Millera, który ma przyjechać do Paryża. Pozdrawiam, Twój André.

Minutę później przyszła odpowiedź. Odetchnąłem z ulgą, dopóki nie otworzyłem dwujęzycznej wiadomości:

Sorry, I'm out of the office. In urgent cases you can reach me on my mobile number.

Niestety, nie ma mnie w biurze. W nagłych przypadkach proszę dzwonić na mój telefon komórkowy.

Co mam powiedzieć? Znów wybierałem numer, który był temporarily not available. I tak koło się zamykało.

Próbowałem pracować. Przeglądałem manuskrypty, odpowiadałem na mejle, napisałem kilka tekstów na skrzydełka okładek, wypiłem espresso, czując, jakby było już sto pięćdziesiąte, i zerkałem na telefon. Często dzwonił tęgo ranka, ale po drugiej stronie łączy nie rozlegał się głos mojego przyjaciela i partnera w interesach, Adama Goldberga.

Najpierw zadzwoniła Hélène Bonvin, francuska autorka, która była bardzo miła i jednocześnie zabierała mnóstwo czasu. Albo znajdowała się w ferworze pisania i wtedy opowiadała mi o każdym, choćby najdrobniejszym pomyśle, jaki przeniosła na papier - i gdyby mogła decydować, to najchętniej przeczytałaby mi przez telefon cały manuskrypt. Albo znajdowała się w kryzysie twórczym i wtedy musiałem

zbierać wszystkie siły, aby ją przekonać, iż jest wspaniałą pisarką.

Tym razem był to kryzys.

- Jestem kompletnie pusta, zupełnie nic nie przychodzi mi już do głowy - skarżyła się do słuchawki.

- Ach, Hélène, powtarza to pani za każdym razem, a w rezultacie z tej niemocy powstaje świetna powieść.

- Tym razem tak nie będzie - wyjaśniła ponurym głosem. - Historia się nie klei od początku do końca. Wie pan co, André? Wczoraj przez cały dzień siedziałam przed tą głupią maszyną, a wieczorem skasowałam wszystko, co napisałam, ponieważ to było okropne. Płytkie, ubogie i pełne ogólników. Żaden człowiek nie chce czegoś takiego czytać! - , Ależ Hélène, to na pewno nieprawda. Pisze pani tak cudownie. Proszę poczytać entuzjastyczne recenzje czytelników na Amazonie. Poza tym to zupełnie normalne, że od czasu do czasu jest się w gorszej kondycji. Może powinna pani zrobić sobie dzień przerwy od pisania. Wtedy pomysły same przyjdą do głowy, zobaczy pani.

- Nie. Mam bardzo dziwne przeczucie. Nic z tego już nie będzie. Najlepiej zapomnijmy o tej powieści... a ja...

- Co za głupoty pani opowiada! - przerwałem jej.

- Chce pani dać za wygraną na ostatnich metrach? Książka jest prawie gotowa.

- Możliwe, ale nie jest dobra - odparła przekornie.

- Musiałabym ją zupełnie przerobić. W gruncie rzeczy mogę wszystko skasować.

Westchnąłem. To była zawsze ta sama Helene Bonvin. Podczas gdy większość autorów, z którymi pracowałem, strachliwie krążyła wokół pierwszych stron i potrzebowała niewiarygodnie dużo czasu, aby się przez nie przebić i wreszcie naprawdę zacząć pisać, ta kobieta dostawała ataków paniki zawsze wtedy, kiedy trzy czwarte manuskryptu było

gotowe. Wtedy nagle nic jej się nie podobało, wszystko było wielką bzdurą, najgorszą, jaką kiedykolwiek napisała.

- Helene, proszę mnie teraz posłuchać: niczego pani nie skasuje! Proszę wysłać mi to, co pani już napisała. Natychmiast to przejrzę. A później o tym porozmawiamy, dobrze? Założę się, że to będzie fantastyczne, jak zawsze.

Przemawiałem do niej jeszcze przez dziesięć minut, zanim wyczerpany odłożyłem słuchawkę. Wstałem i przeszedłem do sekretariatu, gdzie madame Petit gawędziła właśnie z mademoiselle Mirabeau.

- Dzwonił może Adam Goldberg? - spytałem, a madame Petit, która swoje barokowe kształty odziała tego ranka w kwiaciastą sukienkę, uśmiechnęła się do mnie znad filiżanki kawy.

- Nie, monsieur Chabanais - odpowiedziała uprzejmie. - Natychmiast bym pana o tym poinformowała. Tylko ten tłumacz, monsieur Favre, miał kilka pytań, ale zadzwoni później jeszcze raz. I... aha, dzwoniła pańska matka i prosiła, aby pan koniecznie oddzwonił.

- Na litość boską!

Uniosłem ręce w obronnym geście. Kiedy moja matka prosiła, bym koniecznie oddzwonił, kosztowało mnie to co najmniej godzinę. Ale nigdy nie było konieczne.

W przeciwieństwie do mnie miała dużo czasu i uwielbiała wydzwaniać za mną do wydawnictwa, ponieważ tam zawsze ktoś odbierał. Jeśli byłem nieuchwytny, gawędziła z madame Petit, którą uważała za „całkiem czarującą". Kiedyś dałem maman numer do wydawnictwa - na wszelki wypadek. Niestety, jej wyobrażenia o wszelkim wypadku bardzo różniły się od moich. Poza tym wiedziona trafnym przeczuciem dzwoniła zawsze wtedy, kiedy właśnie się przygotowywałem do wyjścia na jakieś spotkanie albo redagowałem w pośpiechu jakiś manuskrypt, który do popołudnia miał trafić do składu.

- Wyobraź sobie, że stary Orban spadł z drabiny podczas rwania wiśni i wylądował w szpitalu... Złamanie szyjki kości udowej! Co na to powiesz? Tak się zastanawiam... czy w jego wieku musi jeszcze łazić po drzewach?

- Maman, proszę! Teraz nie mam czasu!

- Mon Dieu, André, zawsze jesteś taki nerwowy - powiedziała i nie dało się nie słyszeć wyrzutu w jej głosie.

- Myślałam, że cię to zainteresuje: bądź co bądź jako dziecko często bywałeś u Orbanów...

Te rozmowy z reguły kończyły się niepomyślnie. Albo siedziałem akurat przy biurku i znosiłem rozmowę bez protestu, usiłując dalej pracować i powtarzając tak często w nieodpowiednich momentach „Aha" lub „Ojej", że w końcu matka wykrzykiwała oburzona: „André, czy ty mnie w ogóle słuchasz?". Albo przerywałem jej, zanim zdążyła rozkręcić się na dobre, mówiąc: „Teraz nie mogę!", a potem musiałem wysłuchiwać, jaki to jestem znerwicowany i przypuszczalnie nierozsądnie się odżywiam.

Aby zapobiec obrażeniu się maman na tysiąc lat, musiałem zwykle obiecywać, że wieczorem zadzwonię do niej „w spokoju" z domu.

Dlatego dla wszystkich zainteresowanych było lepiej, jeżeli w biurze w ogóle nie mogła się do mnie dostać.

- Gdyby dzwoniła moja mama, proszę jej powiedzieć, że jestem na konferencji i odezwę się do niej wieczorem - nakazywałem raz za razem madame Petit, jednak sekretarka wyraźnie trzymała stronę maman.

- Ależ André, to przecież pańska matka! - powtarzała, kiedy znów zignorowała moje zalecenia. I jeżeli chciała mnie zdenerwować, dodawała jeszcze: - Ja również uważam, że pan czasami jest dość rozdrażniony.

- Proszę posłuchać, madame Petit - powiedziałem teraz, rzucając jej groźne spojrzenie. - Jestem pod silną presją,

dlatego pod żadnym, ale to żadnym pozorem proszę nie łączyć mnie z matką. Jak również z nikim, kto kradłby mój czas. No chyba że byłby to Adam Goldberg lub ktoś z jego agencji. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno!

Śliczna mademoiselle Mirabeau zrobiła wielkie oczy. Kiedy w pierwszych tygodniach wziąłem ją pod swoje skrzydła i cierpliwie wyjaśniałem jej zasady pracy w redakcji, uśmiechała się do mnie z podziwem i wreszcie powiedziała, że jestem taki sam jak ten miły angielski wydawca z ekranizacji thrillera Johna le Carré Wydział Rosja - ten z brązowymi oczami i brodą, tylko oczywiście młodszy.

Pochlebiało mi to. Cóż, który mężczyzna nie chciałby być Seanem Connerym w roli brytyjskiego dżentelmena wydawcy (w młodszym wydaniu) - był nie tylko oczytany, lecz również dostatecznie inteligentny, aby wykiwać wszystkie służby specjalne. Dostrzegłem jej zaskoczone spojrzenie i mimowolnie pogładziłem się po swojej krótkiej brązowej brodzie. Prawdopodobnie uważała mnie teraz za gbura.

- Jak pan sobie życzy, monsieur Chabanais - odparła kąśliwie madame Petit.

Kiedy wychodziłem, usłyszałem, jak mówi do mademoiselle Mirabeau:

- Pewnie wstał dzisiaj lewą nogą. A przy tym jego matka jest tak czarującą starszą panią...

Zatrzasnąłem drzwi swojego biura i klapnąłem na fotel. Markotnie wpatrywałem się w monitor komputera, studiując twarz, która odbijała się w granatowej powierzchni.

Nie, ze starym dobrym Seanem nie łączyło mnie dzisiaj nic, kompletnie nic. Poza tym że wciąż czekałem na telefon agenta, który nie miał wprawdzie tajnych dokumentów, ale dzielił ze mną wspólną tajemnicę.

Adam Goldberg był agentem Roberta Millera. Elokwentny i bystry Anglik od lat prowadził małą agencję literacką w

Londynie i odnosił spore sukcesy. Już po pierwszej rozmowie przypadł mi do gustu. Od tamtej pory mieliśmy na koncie tyle targów książki i przynajmniej tyle samo zabawnych wieczorów w londyńskich klubach i frankfurckich barach, że zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi. On również zaproponował mi manuskrypt Roberta Millera i sprzedał go za raczej skromną opłatę gwarancyjną.

Tak przynajmniej brzmiała wersja oficjalna.

- Dobra robota, André! - wykrzyknął monsieur Monsignac, kiedy usłyszał, że umowa została podpisana, a mnie lekko zemdliło.

- Nie panikuj - powiedział Adam i uśmiechnął się.

- Chcieliście Stephena Clarke'a, no to teraz macie. Gwarancja zwróci się wam bez trudu. A ty jeszcze zaoszczędzisz na tłumaczeniu. Lepiej przecież się nie da.

Wszystko potoczyło się jednak za dobrze i wymagania rosły. Kto mógł przypuszczać, że książeczka o Paryżu autorstwa Roberta Millera będzie się tak świetnie sprzedawać?

Ciężko opadłem z powrotem na fotel, przypominając sobie, jak wtedy, na targach książki we Frankfurcie, siedziałem z Adamem w Jimmy's Bar i opowiadałem, jakiej powieści poszukuje nasze wydawnictwo.

Uskrzydlony kilkoma zimnymi napojami alkoholowymi nakreśliłem mu z grubsza ewentualną akcję, prosząc, aby rozejrzał się za książką w tym rodzaju.

- Sorry, ale teraz nie mam niczego takiego w ofercie - odparł Adam, a potem dodał bez zastanowienia: - Fabuła jednak mi się podoba. Moje gratulacje. Dlaczego sam nie napiszesz tej książki? Editions Opale kupi ją ode mnie z pocałowaniem ręki.

I od tego wszystko się zaczęło.

Początkowo wzbraniałem się ze śmiechem.

- Co za pomysł! Nie potrafiłbym. Redaguję powieści, nie piszę ich!

- Bullshit - rzucił Adam. - Pracowałeś już z tyloma autorami, naprawdę wiesz, jak to się robi. Masz oryginalne pomysły, dobre wyczucie przy budowaniu napięcia dramatycznego, nikt nie pisuje tak zabawnych mejli jak ty, a takiego Stephena Clarke'a to przecież pijany wysikasz na śniegu.

Trzy godziny i kilka szklanek mojito później czułem się prawie jak Hemingway.

- Ale nie mogę przecież pisać tej książki pod własnym nazwiskiem - zaoponowałem. - Pracuję w tym wydawnictwie.

- Wcale nie musisz, hombre! Kto dziś jeszcze publikuje pod prawdziwym nazwiskiem, to naprawdę bardzo old school. Sam reprezentuję kilku autorów, którzy mają nawet dwa lub trzy nazwiska i pisują dla zupełnie różnych wydawnictw. John le Carré na przykład nazywa się w rzeczywistości David Cornwell. Znajdziemy ci jakiś fajny pseudonim - stwierdził Adam. - Co powiesz na Andrew Ballantine.

- Andrew Ballantine? - skrzywiłem się. - Ballantine to przecież nazwa wydawnictwa i jeszcze Andrew. Mam na imię André i to ja kupuję tę książkę, mogą pojawić się podejrzenia...

- OK, OK, czekaj, mam; Robert Miller! No, co powiesz? Jest tak zwyczajne, że brzmi wiarygodnie.

- A jeśli sprawa się wyda?

- Nie wyda się. Napiszesz swoją książeczkę. Zaproponuję ją waszemu wydawnictwu względnie tobie. Wszystkie umowy będą przechodzić przeze mnie. Zarobicie na niej okrągłą sumkę, coś takiego sprzedaje się zawsze. Dostaniesz swój udział. Stary Monsignac wreszcie będzie miał powieść a la Stephen Clarke. A na koniec wszyscy będą zadowoleni. I tyle.

Adam stuknął swoim mojito w moją szklankę.

- Za Roberta Millera! I jego powieść. A może się nie odważysz? No risk, no fun. Wyluzuj, to będzie wielka zabawa!

Zaśmiał się jak mały chłopiec.

Patrzyłem na Adama, który siedział przede mną w doskonałym humorze. Nagle wszystko wydało mi się takie proste. I na samą myśl o swojej niesatysfakcjonującej pensji i nieustannym debecie na koncie pomysł zarobienia dodatkowych pieniędzy wydał mi się bardzo nęcący. Mimo że to piękny zawód - jako redaktor, a w moim przypadku nawet szef redakcji, nie zarabiało się kroci, nawet w przybliżeniu. Wielu redaktorów, których znałem, pracowało w wolnym czasie jako tłumacze lub wydawało jakieś bożonarodzeniowe antologie, aby podreperować swoje raczej skromne budżety. Branża literacka to nie branża samochodowa. Za to ludzie mieli ciekawsze twarze.

Za każdym razem zwracałem na to uwagę, kiedy na targach książki jechałem ruchomymi schodami, mijając całe falangi dyskutujących, rozmyślających lub śmiejących się uczestników tej imprezy. Nad targami unosił się zachęcający szum i drżenie, hale wręcz wibrowały od milionów myśli i historii. Przypominało to żywotną, inteligentną, wesołą, próżną, błyskotliwą, egzaltowaną, czujną, rozgadaną i intelektualnie niesamowicie lotną rodzinę. I przynależność do niej była przywilejem.

Oczywiście oprócz wielkich i godnych osobowości wydawniczych, podziwianych lub nienawidzonych, byli tam też przebiegli menedżerowie, którzy twierdzili, iż zasadniczo jest im obojętne, czy handlują puszkami coli czy książkami. Ostatecznie zawsze chodzi przecież o profesjonalny marketing i, no cóż, troszkę oczywiście również o treść - nazywają ją content. Jednak nawet ci faceci prędzej czy później ulegali czarowi produktu, z którym mieli do czynienia na co dzień, i

w rezultacie zupełnie czymś innym było trzymanie w ręku gotowej książki niż puszki coli.

Nigdzie indziej nie spotykało się tylu imponujących, mądrych, intrygujących, sprytnych, zaciekawionych i szybkich ludzi naraz. Każdy wszystko wiedział, a zdaniem: „Znacie najnowszą plotkę?", rozpoczynało się wyjawianie, oczywiście absolutnie poufnie, wszystkich tajemnic branży.

Znacie najnowszą plotkę? Marianne Dauphin ma ponoć romans z szefem marketingu Garamonda i jest w ciąży. Znacie najnowszą plotkę? Wydawnictwo Borani splajtowało, jeszcze w tym roku zostanie sprzedane koncernowi perfumeryjnemu. Znacie najnowszą plotkę? Redaktorzy z Editions Opale sami już piszą swoje książki, a ten Robert Miller to w rzeczywistości Francuz, ha, ha, ha!

Zauważyłem, że pomieszczenie zaczęło się kręcić wokół mnie. Wtedy wolno było jeszcze palić i Jimmy's Bar o trzeciej nad ranem stanowił jedyny w swoim rodzaju konglomerat dymu, drinków i głosów.

- Ale dlaczego to musi być angielskie nazwisko, to wszystko jest dla mnie zbyt skomplikowane - odezwałem się niemrawo.

- Ach, Andy, come on! Na tym właśnie polega cały dowcip! Paryżanin piszący o Paryżu nikogo nie zainteresuje. Nie, nie, to musi być prawdziwy angielski autor, odpowiadający wszelkim stereotypom. Brytyjski humor, ekstrawaganckie hobby, najlepiej przystojny kawaler z pieskiem. Widzę go już oczyma wyobraźni. - Pokiwał głową. - Robert Miller pasuje perfekcyjnie, wierz mi.

- Bardzo sprytnie - powiedziałem, nie kryjąc wrażenia, i wrzuciłem sobie do ust garść prażonych solonych migdałów.

Adam strzepnął popiół ze swojej cygaretki i wygodnie rozparł się w skórzanym fotelu.

- It's not clever, it's brillant! - zacytował swojego ulubionego bohatera, Kinga Rollo, który w kreskówce pod tym samym tytułem powtarzał to zdanie co dziesięć minut.

Reszta była historią. Pisałem książkę, szło mi lepiej, niż myślałem. Adam przygotował umowy i załatwił nawet podobiznę autora - zdjęcie swojego o dwa lata starszego brata, dobrodusznego dentysty z Devonshire, który przeczytał maksymalnie pięć książek w życiu i teraz został bardziej lub mniej - w zasadzie raczej mniej niż bardziej - poinformowany o tym, iż jest autorem powieści. Skomentował to, według relacji Adama, jednym zdaniem: How very funny.

Czy ten pogodny facet nadal będzie uważał to za zabawne, kiedy przyjedzie do Paryża, aby porozmawiać z dziennikarzami na temat swojej książki i odbyć spotkanie z czytelnikami, było dla mnie raczej wątpliwe. Czy w ogóle zna miasto, do którego, zgodnie z jego życiorysem, ma słabość? A może jeszcze nigdy nie wygrzebał się ze swojego zaspanego Devonshire? Czy jest w stanie mówić i czytać przed publicznością? Może ma jakąś wadę wymowy albo nie zostanie figurantem dla zasady. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że niczego nie wiedziałem o bracie Adama, poza tym, że był zodiakalną Wagą z ascendentem w Wadze (dlatego zdaniem Adama był wcieleniem stateczności) i pełnokrwistym dentystą (cokolwiek to znaczyło). Nie znałem nawet jego imienia. To znaczy znałem, oczywiście: Robert Miller.

- Do jasnej cholery! - Roześmiałem się rozpaczliwie, przeklinając wieczór, w który zrodził się ten cały szalony plan. - It's not clever, it's brillant! - małpowałem swojego przyjaciela.

Tak, w rzeczy samej, był to najbardziej wariacki pomysł, na jaki sprytny Adam wpadł w swoim życiu, a teraz wszystko groziło wymknięciem się spod kontroli. I masą czekających mnie z tego powodu nieprzyjemności.

- Co ja teraz zrobię, co ja zrobię? - mamrotałem, wpatrując się jak zahipnotyzowany w wygaszacz ekranu, który właśnie się włączył i przeskakiwał z jednej karaibskiej plaży na drugą. Ile bym teraz dał za to, aby znaleźć się daleko stąd, leżeć na jednym z tych białych leżaków pod palmami, z mojito w dłoni, i po prostu gapić się godzinami w czyste błękitne niebo.

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

- Co znowu - zawołałem grubiańsko i usiadłem.

Do pokoju weszła ostrożnie mademoiselle Mirabeau. Trzymała przed sobą stos papierów i popatrzyła na mnie, jakbym był kanibalem, który pożera na śniadanie blondyneczki.

- Przepraszam, monsieur Chabanais, nie chciałam panu przeszkadzać.

O rany, musiałem wziąć się w garść!

- Nie, nie, wcale pani nie przeszkadza... proszę wejść! - Usiłowałem się uśmiechnąć. - O co chodzi?

Podeszła bliżej i położyła stos na moim biurku.

- To jest to włoskie tłumaczenie, które dał mi pan do redakcji w zeszłym tygodniu. Już skończyłam.

- Znakomicie, znakomicie, później je przejrzę. Sięgnąłem po kartki i przełożyłem je na bok.

- Tłumaczenie było bardzo dobre. Niewiele miałam z nim pracy.

Mademoiselle Mirabeau założyła ręce na plecach i stała jak wrośnięta.

- Miło mi to słyszeć - powiedziałem. - Czasem ma się po prostu szczęście.

- Spróbowałam już nawet napisać teksty na obwolutę. Leżą na wierzchu.

- Wspaniale, mademoiselle Mirabeau. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Delikatny róż spowił jej drobną twarz w kształcie serca. Następnie powiedziała nagle:

- Bardzo mi przykro, że ma pan takie kłopoty, monsieur Chabanais.

Mój Boże, naprawdę była słodka! Odchrząknąłem.

- Nie jest tak źle - odparłem w nadziei, że zabrzmiało to tak, jakbym nad wszystkim panował.

- Wydaje się, że z tym Millerem wcale nie jest tak łatwo, ale pan na pewno go przekona. - Uśmiechnęła się zachęcająco i ruszyła do drzwi.

- Bez wątpienia - zapewniłem i na jedną szczęśliwą chwilę zapomniałem, że moim problemem nie był Robert Miller, tylko to, że on w ogóle nie istniał.

Było tak, jak się spodziewałem. Telefon zadzwonił akurat wtedy, kiedy odwinąłem z papieru bagietkę z szynką i ugryzłem ją. Złapałem słuchawkę, próbując wcisnąć niepogryziony kęs w policzek.

- Ehe... tak? - powiedziałem.

- Dzwoni jakaś kobieta. Mówi, że chodzi o Roberta Millera. Mam przełączyć czy nie?

To była madame Petit, wciąż jeszcze obrażona, co nie ulegało wątpliwości.

- Tak, tak, oczywiście - wykrztusiłem, próbując przełknąć kawałek bagietki. - To asystentka Goldberga, proszę przełączyć, jak najbardziej!

Czasami madame Petit nie umiała zliczyć do trzech. Na łączach rozległ się trzask, następnie usłyszałem kobiecy głos, który z napięciem spytał:

- Czy rozmawiam z monsieur André Chabanais'm?

- Przy telefonie - odparłem, uwolniony od resztek bagietki. Pomyślałem, że asystentki Adama zawsze miały przyjemne głosy. - To miło, że pani mogła tak szybko

oddzwonić. Muszę koniecznie porozmawiać z Adamem. Gdzież on się podziewa?

Długa pauza po drugiej stronie lekko mnie zirytowała. Nagle poczułem lodowaty chłód i przypomniałem sobie tę okropną historię, kiedy to jesienią amerykański agent w drodze na targi książki dostał wylewu na klatce schodowej w swoim domu.

- Z Adamem wszystko w porządku, prawda?

- Ehe... No więc... Niestety, nic na ten temat nie wiem. - W głosie słychać było bezradność. - Dzwonię właściwie z powodu Roberta Millera.

Najwyraźniej czytała mój mejl do Adama. Umówiliśmy się wtedy, że nikomu nie zdradzimy naszej małej tajemnicy, i miałem nadzieję, że dotrzymał słowa.

- I właśnie dlatego muszę koniecznie porozmawiać z Adamem - odparłem ostrożnie. - Robert Miller ma bowiem przyjechać do Paryża, jak pani prawdopodobnie już wie.

- Ach! - Teraz dla odmiany w głosie pobrzmiewała radość. - To cudownie! Nie, nic o tym nie wiedziałam. Mówi pan... że dostał pan mój list? Mam nadzieję, że nic się nie stało, iż wrzuciłam go ot tak, po prostu. Byłby pan tak miły i przekazał go Robertowi Millerowi? To dla mnie bardzo ważne, no wie pan!

Powoli zaczynałem się czuć jak Alicja w Krainie Czarów podczas spotkania z Białym Królikiem.

- Jaki list? Nie dostałem żadnego listu - wyjaśniłem skonsternowany. - Proszę mi powiedzieć, czy dzwoni pani z agencji Goldberg International?

- Och nie. Mówi Aurelie Bredin. Nie z agencji. Myślę, że połączono nas przez pomyłkę. Chciałam rozmawiać z redaktorem odpowiedzialnym za Roberta Millera - odparł głos z uprzejmą stanowczością.

- Przy telefonie.

Stopniowo ogarniało mnie wrażenie, że rozmowa zaczyna się powtarzać. Nie znałem żadnej Aurelie Bredin.

- Zatem, madame Bredin, co mogę dla pani zrobić?

- Wczoraj wieczorem zostawiłam u państwa list do Roberta Millera i chciałam się tylko upewnić, czy dotarł i będzie przekazany dalej.

Nareszcie zaskoczyłem. Ależ ci dziennikarze szybcy. - Ach, już wiem... Jest pani z „Le Figaro", prawda? - zaśmiałem się nieszczerze.

W słuchawce rozległo się westchnienie.

- Aurelie Bredin, już mówiłam. - I co?

- List - powtórzył głos niecierpliwie. - Chciałabym, aby przekazał pan mój list monsieur Robertowi Millerowi.

- O jakim liście pani mówi? Żadnego nie dostałem.

- To niemożliwe. Przecież wczoraj przyniosłam go osobiście. Biała koperta. Zaadresowana do pisarza Roberta Millera. Musiał pan go dostać! - Głos nie odpuszczał i teraz to ja stopniowo traciłem cierpliwość.

- Proszę posłuchać, madame, jeżeli mówię, że nie ma tu żadnego listu, to może mi pani wierzyć, że naprawdę tak jest. Może jeszcze przyjdzie, wtedy chętnie przekażemy go dalej. Czy możemy się tak umówić?

Moja propozycja nie wywołała wielkiego entuzjazmu.

- Czy byłoby możliwe, abym dostała adres Roberta Millera? A może adres mejlowy, pod którym można go zastać?

- Przykro mi, ale z zasady nie podajemy adresów naszych autorów. Oni też mają prawo do sfery prywatnej.

Mój Boże, co ta kobieta sobie wyobrażała?

- A nie mógłby pan zrobić wyjątku? To naprawdę ważne.

- Co pani chce przez to powiedzieć? Jakie ma pani powiązania z Robertem Millerem? - spytałem nieufnie.

W rzeczy samej postawienie tego pytania wydało mi się dziwne, jednak odpowiedź, jaką na nie otrzymałem, była jeszcze dziwniejsza:

- Cóż, gdybym to ja wiedziała... Wie pan, przeczytałam jego książkę... Jest naprawdę wspaniała... Tak, chętnie zadałabym kilka pytań autorowi... i podziękowała... on, że tak powiem, uratował mi życie...

Wpatrywałem się z niedowierzaniem w słuchawkę. Jasne, ta kobieta miała nierówno pod sufitem. Była to przypuszczalnie jedna z tych odjechanych czytelniczek, które bezlitośnie dobierają się autorom do skóry i w swoim przesadnym entuzjazmie wypisują takie rzeczy, jak: „Chciałabym cię koniecznie poznać!", „Myślisz tak samo jak ja!" albo „Zrób mi dziecko!".

Dobrze, przyznaję, że takie zdania w listach czytelników do Roberta Millera - a więc do mnie - jeszcze nie padły, ale znalazło się kilka pełnych nieskrywanego zachwytu liścików, które „przekazałem dalej". Innymi słowy, przeczytałem je, a ponieważ z czystej próżności nie byłem w stanie ich wyrzucić, wcisnąłem je w końcu w najgłębszy kąt swojej stalowej szafki.

- Cóż - powiedziałem. - To mnie cieszy niewymownie. Mimo to jednak nie mogę pani dać adresu Millera. Niestety, musi się pani zadowolić moją skromną osobą. Inaczej się nie da.

- Ale pan powiedział, że wcale nie dostał mojego listu. Jak więc może go pan przekazać dalej? - spytał głos przesiąknięty mieszanką krnąbrności i bojaźni.

Chętnie bym nim potrząsnął, ale głosy w telefonie mają tę wadę, że nie można nimi potrząsnąć.

- Madame... jak brzmi pani nazwisko?

- Bredin. Aurelie Bredin.

- Madame Bredin - powiedziałem, próbując zachować spokój. - Gdy tylko ten list wyląduje na moim biurku, to przekażę go adresatowi, zgoda? Może nie dziś czy jutro, ale zatroszczę się o to. A teraz, niestety, muszę zakończyć naszą rozmowę. Mam inne sprawy na głowie, które, przyznaję, nie są tak ważne jak pani list, ale muszą być załatwione. Życzę pani miłego dnia.

- Monsieur Chabanais?! - zawołał szybko głos.

- Wciąż jeszcze przy telefonie - odparłem mrukliwie.

- A co zrobimy, jeżeli ten list zaginął? - Teraz głos lekko drżał.

Zdenerwowany przejechałem dłonią po włosach. Oczyma wyobraźni ujrzałem starszą, rozczochraną kobietę, która ma mnóstwo czasu i powykręcanymi artretyzmem palcami pisze linijkę za linijką, chichocząc cicho pod nosem.

- Wtedy, droga madame Bredin, napisze pani po prostu nowy list. A zatem: bonne journée.

Jeśli o mnie chodzi, to napisz nawet sto, pomyślałem ponuro, odkładając słuchawkę na widełki. Żaden nigdy nie dotrze do celu.

Ledwie skończyłem rozmowę, otwarły się drzwi i madame Petit zajrzała do środka.

- Monsieur Chabanais - powiedziała z wyrzutem. - Monsieur Goldberg już dwukrotnie próbował się do pana dodzwonić, ale u pana wciąż było zajęte! Mam go właśnie na linii, czy mogę...?

- Tak! - zawołałem. - Na litość boską, tak!

Mój przyjaciel Adam wykazywał jak zwykle buddyjskie opanowanie.

- No, najwyższy czas - ofuknąłem go, kiedy wypowiedział do słuchawki wyluzowane Hi Andy, how is it going?

- Gdzie ty się w ogóle podziewasz?! Masz pojęcie, co tu się dzieje? Nie wiem, co robić, a ty nie zgłaszasz się pod żadnym ze swoich głupich numerów. Dlaczego w twojej agencji nikogo nie ma? Wszyscy się na mnie uwzięli z powodu tego Millera. Wydzwaniają tu jakieś stuknięte staruchy, żądając jego adresu. Monsignac chce organizować spotkanie z czytelnikami. „Le Figaro" chce wywiadu. A wiesz, co się stanie, kiedy stary odkryje, że nie ma żadnego Millera?! Mogę już pakować swoje kartony, bo na pewno wylecę!

W pewnym momencie musiałem zaczerpnąć powietrza i Adam wykorzystał okazję, aby się wtrącić.

- Calm down, my friend - powiedział. - Wszystko będzie dobrze, ale najpierw się uspokój. Na które pytanie mam ci odpowiedzieć w pierwszej kolejności?

Burknąłem coś w słuchawkę.

- No więc... byłem przez kilka dni w Nowym Jorku, odwiedzałem wydawnictwa, towarzyszyła mi Carol, a Gretchen, jak na ironię, w tym samym czasie zaliczyła zatrucie ostrygami, dlatego nikogo nie było w agencji. Moja rodzina wykorzystała okazję i wybrała się do grandmother do Brighton. Emma miała przy sobie prywatną komórkę, ale zapomniała ładowarki, a moja komórka wariuje, może sygnał był za słaby, w każdym razie twoja wiadomość była tak niewyraźna i zniekształcona, że nie zrozumiałem, co się dzieje. Prawo Murphy'ego, klasyczne.

- Prawo Murphy'ego? - spytałem. - A to co za wymówka?

- Nie wymówka. Co może się nie udać, to się nie udaje - odparł. - To jest prawo Murphy'ego. Nie panikuj, Andy! Po pierwsze nie będziesz musiał pakować kartonów. A po drugie poradzimy sobie.

- Chciałeś powiedzieć: poradzisz sobie - podkreśliłem. - Musisz mianowicie wytłumaczyć swojemu miłemu bratu dentyście, że musi przybyć tu, do Paryża, aby przez dwa dni

udawać Roberta Millera. Ostatecznie ten pomysł ze zdjęciem był twój. Ja nie chciałem żadnego zdjęcia, pamiętasz? Ale ty nie znałeś umiaru w wymyślaniu idiotycznych szczegółów. Zdjęcie, pies, domek na wsi, humor.

- Sam sobie przerwałem na chwilę. - Mieszka ze swoim pieskiem Rockym w wiejskiej chacie. Rocky! - Dosłownie wyplułem z siebie to słowo. - Komu przychodzi do głowy, żeby nazwać swojego psa Rocky? To przecież kompletnie dziecinne!

- Dla Anglika to zupełnie normalne - upierał się Adam.

- Aha. Cóż! Bon. A jaki w ogóle jest ten twój brat? To znaczy... zna się na żartach? Potrafi się składnie wyrażać? Myślisz, że będzie wystarczająco przekonujący?

- Och... well... Myślę, że tak... - wyjaśnił, a ja wychwyciłem w jego głosie lekkie wahanie.

- Co jest? - spytałem. - Tylko mi nie mów, że twój brat wyemigrował do Ameryki Południowej.

- O nie! Mój brat nie wsiadłby na pokład samolotu. - Adam znów zamilkł, ale nie zabrzmiało to tak swobodnie jak zwykle.

- Tak... i co? - zacząłem drążyć.

- Well - odparł. - Jest tylko jeden maleńki problem... Jęknąłem, zastanawiając się, czy nasz angielski nieautor zszedł tymczasem z tego świata.

- On nic nie wie o naszej książce - powiedział spokojnie Adam.

- Co?! - wrzasnąłem, a w powieści zostałoby to napisane czcionką o rozmiarze sto dwadzieścia pięć. - Nie powiedziałeś mu? Czy to jakiś żart czy co? - Dosłownie wychodziłem z siebie.

- Nie, to nie żart - rzucił zdawkowo.

- Ale mówiłeś mi przecież, że powiedział how very funny. How very funny, tak brzmiały jego słowa!

- Cóż, szczerze mówiąc, były to moje słowa - wyjaśnił Adam ze skruchą. - Wtedy nie było powodu, aby mu o wszystkim opowiedzieć. Książka nigdy w Anglii nie wyszła. A nawet gdyby... mój brat i tak nigdy nie czyta. Co najwyżej literaturę fachową o najnowszym stanie techniki implantowej.

- Mój Boże, Adam - jęknąłem. - Ty to masz nerwy! A co ze zdjęciem? Przecież to bądź co bądź jego zdjęcie.

- Ach, to! Wiesz, Sam zdążył zapuścić brodę, nikt nie rozpoznałby go na tej fotografii.

Adam już się pozbierał. A ja wciąż jeszcze nie.

- Wspaniale! How very funny! - krzyknąłem wkurzony.

- I co teraz? Czy zgoli brodę? Czy w ogóle będzie gotowy do wzięcia udziału w tej całej grze, skoro nie wspomniałeś mu wcześniej ani słowem? O rany! O rany! C'est incroyable! Taak, to by było na tyle. Fini! Najlepiej zaraz wszystko tu spakuję.

Powędrowałem wzrokiem w stronę zapełnionych regałów z książkami i sterty manuskryptów czekających na sprawdzenie. Plakatu z okazji ostatniej wystawy Bonnarda w Grand Palais, przedstawiającego wesoły, południowofrancuski krajobraz. Brązowej statuetki na moim biurku, przywiezionej kiedyś z rzymskiej Villi Borghese, która przedstawia moment przemiany w drzewo pięknej Dafne, uciekającej właśnie przed Apollem.

Może ja też powinienem po prostu przemienić się w drzewo, pomyślałem, w ucieczce nie przed bogiem, tylko zionącym wściekłością Jeanem - Paulem Monsignakiem.

- Ma pan dobre oczy - powiedział, zatrudniając mnie.

- Takie otwarte, szczere spojrzenie. Eh bien! Lubię ludzi, którzy potrafią patrzeć innym w oczy.

Mój pogrążony w melancholii wzrok wędrował dalej, do ślicznych okienek z białymi szprosami i podwójnymi szybami, przez które widziałem dachy innych domów aż po szczyt

wieży kościoła Saint - Germain, a w wiosenne dni fragment błękitnego nieba. Westchnąłem głęboko.

- Nie panikuj, André - dobiegł mnie z oddali głos Adama Goldberga. - Damy radę.

„Damy radę", tak najwyraźniej brzmiało jego życiowe motto. Moje nie. W każdym razie nie w tym momencie.

- Sam jest mi dłużny przysługę - kontynuował Adam, nie zwracając uwagi na moje milczenie. - Jest naprawdę fajnym chłopakiem i na pewno weźmie w tym udział, jeśli go poproszę, możesz być pewien. Zadzwonię do niego jeszcze dziś wieczorem i wszystko mu wyjaśnię, OK?

W milczeniu nawijałem na palec kabel telefoniczny.

- Kiedy wypada to spotkanie? - spytał.

- Na początku grudnia - mruknąłem, przyglądając się zawiniętemu palcowi.

- No, to mamy ponad dwa tygodnie! - wykrzyknął uradowany Adam, co mnie zdziwiło.

Dla mnie czas był nieubłagany. Dla niego był sojusznikiem.

- Zadzwonię, gdy tylko złapię brata. Nie ma powodu do szaleństw - powiedział uspokajająco. Następnie mój angielski przyjaciel zakończył rozmowę wariacją swojego ulubionego zdania. - Don't worry. Spokojnie damy radę!

Reszta popołudnia przebiegała bez spektakularnych wydarzeń. Próbowałem przerobić stertę piętrzącą się na moim biurku, ale nie mogłem się skupić.

Zajrzała Gabrielle Mercier i z poważną miną przekazała mi, że monsieur Monsignac po lekturze powieści włoskiego właściciela lodziarni (początek - środek - koniec) nie widział najmniejszych szans, aby zrobić z niego kiedykolwiek Donnę Leon.

- Piszący właściciel lodziarni, to niby ma być takie oryginalne, co? - rzucił z pogardą Monsignac. - Jeśli mam być

szczery, to proza bardzo średnich lotów. I nawet nie trzyma w napięciu! Żądać za to tyle pieniędzy to bezczelność. Ils sont fous, les Américains!

Tego samego zdania była też madame Mercier, która od dwudziestu pięciu lat wykazywała się zadziwiającą jednomyślnością z wydawcą. W ten sposób zapadła polubowna zgoda na rezygnację z manuskryptu.

Około wpół do szóstej weszła madame Petit z kilkoma listami i umowami, które czekały na podpis. Następnie łaskawie pożyczyła mi przyjemnego wieczoru i pożegnała się uwagą, iż dzisiejsza poczta leży w sekretariacie.

- Tak, tak - powiedziałem, kiwając głową z uniżeniem. W dobre dni madame Petit przynosiła moją pocztę i kładła ją osobiście na biurku. Przeważnie pytała mnie wtedy, czy życzę sobie pyszną kawę („Co pan powie na pyszną kawę, monsieur Chabanais?"). Kiedy była na mnie zła, tak jak dzisiaj, nie dostępowałem oczywiście tego podwójnego zaszczytu. Madame Petit była nie tylko okazałą sekretarką z ogromnym, jak na paryskie warunki, biustem. Była kobietą zasad.

Z reguły przychodziłem do wydawnictwa około dziesiątej i zostawałem tam do wpół do ósmej. Przerwy obiadowe wydłużały się czasami, zwłaszcza kiedy szedłem zjeść coś z autorem. Niekiedy wracałem dopiero o trzeciej. Monsieur Chabanais est en rendez - vous, mawiała wtedy żwawo madame Petit, jeśli ktoś o mnie pytał. Od piątej robiło się wreszcie spokojniej w naszym raczej ruchliwym wydawnictwie i wreszcie można było przejść do właściwej pracy. Czas szybko mijał i jeżeli miałem dużo do zrobienia, to mogło się zdarzyć, że gdy zerkałem na zegarek, nagle było tuż przed dziewiątą. Dzisiaj postanowiłem wyjść wcześniej. Miałem za sobą intensywny dzień.

Skręciłem stary kaloryfer pod oknem, spakowałem manuskrypt mademoiselle Mirabeau do swojej starej teczki,

pociągnąłem za mosiężny łańcuszek zwisający pod ciemnozieloną lampą biurkową i wyłączyłem światło.

- Na dziś wystarczy - mruknąłem, zamykając za sobą drzwi biura. Jednak wielki plan opatrzności boskiej nie przewidywał dla mnie rychłego zakończenia tego dnia.

- Przepraszam - odezwał się głos, który po południu nadwyrężył moje nerwy. - Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajdę monsieur Chabanais'go?

Stanęła przede mną, jakby wyrosła spod ziemi. Rzekomo zaginionymi listami nie dręczyła mnie jednak krnąbrna osiemdziesięciolatka. Właścicielką „głosu" była młoda szczupła kobieta w ciemnobrązowym wełnianym płaszczu i zamszowych kozaczkach. Wokół szyi owinęła niedbale szal robiony na drutach. Jej sięgające ramion włosy zafalowały i zalśniły w słabym świetle korytarza niczym poprzetykane złotem, kiedy z wahaniem zrobiła krok w moją stronę.

Ciemnozielone oczy patrzyły na mnie pytająco.

Był czwartkowy wieczór, tuż przed wpół do siódmej, a ja przeżywałem właśnie déjà vu, którego w pierwszej chwili nie potrafiłem przyporządkować.

Nie ruszałem się z miejsca i patrzyłem na postać o ciemnoblond włosach jak na jakieś zjawisko.

- Szukam monsieur Chabanais'go - powtórzyła poważnie.

A potem się uśmiechnęła. To było tak, jakby po korytarzu przemknął promień słońca.

- Wie pan może, czy on jeszcze jest? - zapytała.

Mój Boże, znałem ten uśmiech! Widziałem go już raz mniej więcej półtora roku temu. Był to ten sam niewiarygodnie czarujący uśmiech, od którego zaczynała się historia w mojej powieści.

Z historiami nie jest tak prosto. Skąd autorzy czerpią swoje historie? Czy one w nich drzemią i określone

wydarzenia wydobywają je na powierzchnię? Może piszący biorą je z powietrza? Siedzą drogi życia realnych osób?

Co jest prawdą, a co zmyśleniem? Co było rzeczywiście, a czego nigdy nie było? Czy wyobraźnia wpływa na rzeczywistość? A może rzeczywistość na wyobraźnię?

Ilustrator i autor komiksów David Shrigley powiedział kiedyś: „Kiedy ludzie mnie pytają, skąd biorę swoje pomysły, odpowiadam im, że nie wiem. To głupie pytanie. Gdybym bowiem wiedział, skąd biorę pomysły, nie byłyby one moimi pomysłami. Byłyby pomysłami kogoś innego, a ja bym je tylko kradł. Pomysły przychodzą znikąd i nagle pojawiają się w głowie. Może pochodzą od Boga albo od ciemnych sił, albo od czegoś zupełnie innego".

Moja teoria jest taka, że ludzi piszących powieści i coś nam opowiadających można podzielić na trzy grupy.

Jedni piszą wyłącznie o sobie - niektórzy z nich należą do całkiem wielkich w literaturze.

Inni mają godny pozazdroszczenia talent do wymyślania historii. Jadą pociągiem, patrzą przez okno i nagle mają pomysł.

Ostatnia kategoria to tacy, którzy są, że tak powiem, impresjonistami wśród piszących. Ich zdolności polegają na znajdowaniu historii. Idą przez świat z otwartymi oczami i zrywają sytuacje, nastroje, scenki jak czereśnie z drzew.

Gest, uśmiech, sposób, w jaki ktoś odgarnia włosy albo zawiązuje buty. Migawki, za którymi kryją się historie. Obrazy, które stają się historiami.

Widzą zakochaną parę, snującą się w letni wieczór po Lasku Bulońskim i zastanawiają się, dokąd życie zaprowadzi tych dwoje. Siedzą w kawiarni i obserwują dwie przyjaciółki, które rozmawiają z ożywieniem. Nie wiedzą jeszcze, że już wkrótce jedna zdradzi drugą z jej chłopakiem. Zastanawiają

się, dokąd jedzie kobieta o smutnych oczach, która w wagonie metra opiera głowę o szybę.

Stoją przed kasą kinową i przypadkowo słyszą niewiarygodnie wesołą dyskusję między bileterką a parą staruszków. Oni pytają, czy są zniżki dla studentów - lepiej nikt by nie wymyślił! Widzą światło księżyca w pełni, które niczym wielka, srebrna kałuża rozlewa się na Sekwanę, a ich serce wypełnia się słowami.

Nie wiem, czy określanie siebie mianem autora nie jest zbyt zuchwałe. Bądź co bądź, napisałem zaledwie małą powieść. Gdybym jednak to robił, to przypisałbym siebie do tej ostatniej kategorii. Również ja zaliczam się do osób, które znajdują swoje historie.

I właśnie wtedy znalazłem bohaterkę swojej powieści w małej restauracji.

Pamiętam wszystko dokładnie: tego wiosennego wieczoru snułem się samotnie po Saint - Germain, ludzie siedzieli już przed restauracjami i kawiarniami. Tym razem skręciłem w wąską uliczkę, którą zazwyczaj rzadko przechodziłem. Moja ówczesna dziewczyna zażyczyła sobie na urodziny łańcuszek, opowiadając z zachwytem o sklepiku jubilerskim izraelskiej projektantki Michal Negrin przy rue Princesse. Znalazłem sklepik i chwilę później opuściłem go ze starannie opakowaną, kolorową paczuszką, a potem - w żaden sposób nie będąc na to przygotowanym - znalazłem JĄ!

Stała za szybą restauracji, która miała wielkość pokoju mieszkalnego, i rozmawiała z gościem siedzącym przy drewnianym stoliku nakrytym obrusem w czerwono - białą kratę. Siedział plecami do mnie. W łagodnym, żółtawym świetle lśniły jej długie włosy z przedziałkiem pośrodku i to właśnie te włosy, falujące przy każdym ruchu, rzuciły mi się w oczy jako pierwsze.

Przystanąłem i zacząłem chłonąć każdy szczegół tej młodej kobiety. Skromną, długą, zielonkawą sukienkę z delikatnego jedwabiu, która odsłaniała jej ramiona i ręce.

Nosiła ją z taką naturalnością jak rzymska bogini wiosny. Dłonie o długich palcach, poruszające się z gracją, gdy mówiła.

Widziałem, jak dotyka szyi i bawi się naszyjnikiem z mlecznobiałych perełek, zwieńczonym dużą starą przywieszką.

I nagle na chwilę podniosła wzrok i się uśmiechnęła.

To właśnie ten uśmiech mnie oczarował i przepełnił radością, mimo że wcale nie był skierowany do mnie. Stałem na zewnątrz przed szybą, niczym podglądacz, i nie miałem odwagi oddychać - tak doskonała wydała mi się ta chwila.

Potem otworzyły się drzwi restauracji, jacyś ludzie ze śmiechem wyszli na ulicę, chwila uleciała. Piękna dziewczyna odwróciła się i zniknęła z mojego pola widzenia, a ja ruszyłem dalej.

Nigdy wcześniej i nigdy później nie jadłem w tej przytulnej restauracyjce, której nazwa wydała mi się tak poetycka, że po prostu nie potrafiłem postąpić inaczej jak zakończyć w niej akcję mojej powieści - w Le Temps des Cerises.

Moja dziewczyna otrzymała lśniący łańcuszek. Wkrótce potem porzuciła mnie.

Pozostał mi jednak uśmiech tej obcej kobiety, który mnie inspirował i uskrzydlał. Nazwałem ją Sophie i wypełniłem życiem. Posłałem ją w pełną przygód historię, którą wymyśliłem.

I nagle stała przede mną, a ja zastanawiałem się z całą powagą, czy to możliwe, aby postać z powieści stała się człowiekiem z krwi i kości.

- Monsieur?

W jej głosie pojawił się zatroskany ton. Powróciłem na korytarz Editions Opale, gdzie wciąż jeszcze stałem pod zamkniętymi drzwiami do swojego biura.

- Proszę wybaczyć, mademoiselle - powiedziałem, starając się zapanować nad zmieszaniem. - Zamyśliłem się. Co pani mówiła?

- Chciałabym rozmawiać z monsieur Chabanais'm, jeśli to możliwe - powtórzyła.

- Cóż... rozmawia z nim pani - odparłem, a jej zaskoczona mina świadczyła o tym, iż zupełnie inaczej wyobrażała sobie mężczyznę, który przed kilkoma godzinami w tak nieuprzejmy sposób wyprosił ją z łączy telefonicznych.

- Och - powiedziała, a jej wąskie brązowe brwi uniosły się w górę. - A więc to pan!

Jej uśmiech zniknął.

- Tak, to ja - odpowiedziałem nieco naiwnie.

- Rozmawialiśmy już dziś po południu przez telefon - stwierdziła. - Jestem Aurelie Bredin, przypomina pan sobie? Ta od listu do pańskiego autora... monsieur Millera.

Jej ciemnozielone oczy patrzyły na mnie z wyrzutem.

- Tak, przypominam sobie, w rzeczy samej. Miała cholernie piękne oczy.

- Na pewno jest pan zdziwiony, że zjawiłam się tu ot tak, po prostu - powiedziała.

Co miałem na to odpowiedzieć? Stopień mojego zdziwienia przekraczał prawdopodobnie tysiąckrotność wszystko, co mogła sobie wyobrazić. Naprawdę z cudem graniczyło to, że Sophie, bohaterka mojej powieści, zjawiła się tu nagle i zadawała mi pytania i że to ona była kobietą, która chciała ode mnie adres autora (nieistniejącego!), ponieważ jego książka (a więc moja książka!) podobno uratowała jej życie. Jak jednak miałbym jej to wyjaśnić? Sam na razie niczego nie rozumiałem i miałem wrażenie, że w następnej

minucie wyskoczy zza rogu ktoś z triumfującym telewizyjnym uśmiechem na twarzy, aby zawołać z przesadną radością: „Byłeś w ukrytej kamerze, ha, ha, ha!".

Dlatego gapiłem się na nią w dalszym ciągu, czekając, aż moje myśli się uporządkują.

- Cóż... - odchrząknęła. - Kiedy przez telefon był pan tak... - zrobiła krótką pauzę dla efektu - ...tak niecierpliwy i nerwowy, pomyślałam, że będzie lepiej, jeżeli zajrzę tu osobiście, aby zapytać o swój list.

Skąd ja to znałem. Wspaniale, była tu zaledwie od pięciu minut i już mówiła jak maman! Natychmiast otrząsnąłem się ze swojego katatonicznego osłupienia.

- Proszę posłuchać, mademoiselle, miałem dzisiaj mnóstwo spraw na głowie. Jednak nerwowy czy niecierpliwy nie byłem!

Popatrzyła na mnie w zamyśleniu, potem skinęła głową.

- Zgadza się - powiedziała. - Jeśli mam być szczera, to był pan raczej nieuprzejmy. Zastanawiałam się już, czy wszyscy redaktorzy są tacy, czy może jest to tylko pańska specjalność, monsieur Chabanais.

Uśmiechnąłem się pod nosem.

- Absolutnie nie, próbujemy tu tylko robić, co do nas należy, ale niestety, czasem nam się w tym przeszkadza, mademoiselle...

Znów zapomniałem jej nazwiska.

- Bredin. Aurelie Bredin.

Wyciągnęła dłoń w moją stronę i znów się uśmiechnęła.

Chwyciłem ją i już w tym samym momencie zacząłem się zastanawiać, co mógłbym zrobić, aby tę dłoń (i jeśli to możliwe, nie tylko dłoń) przytrzymać dłużej niż to konieczne. Po chwili ją puściłem.

- Cóż, mademoiselle Bredin, w każdym razie cieszę się, że mogłem panią poznać. Niecodziennie spotyka się tak zaangażowane czytelniczki.

- Czy odnalazł się mój list?

- Och, tak! Oczywiście - skłamałem i skinąłem głową. - Leżał spokojnie w moim koszyku na listy.

Co mogło się wydarzyć? Albo list rzeczywiście leżał jeszcze w koszyku, albo trafi tam jutro czy pojutrze. A nawet gdyby nigdy się nie pojawił, wynik byłby taki sam: ten cudowny list nigdy nie dotrze do swojego adresata, tylko co najwyżej wyląduje w najdalszym kącie mojej stalowej szafy.

Uśmiechnąłem się zadowolony.

- A więc może go pan przekazać Robertowi Millerowi - powiedziała.

- Ależ naturalnie, mademoiselle Bredin, proszę się nie martwić. Pani list jest już na dobrą sprawę w rękach autora. Jednak...

- Jednak? - powtórzyła zaniepokojona.

- Jednak na pani miejscu nie obiecywałbym sobie zbyt wiele. Robert Miller jest wyjątkowo powściągliwym, żeby nie powiedzieć trudnym człowiekiem. Odkąd opuściła go żona, mieszka samotnie w swojej wiejskiej chacie. Całe serce oddał małemu psiakowi... Rocky'emu - konfabulowałem.

- Och - powiedziała. - Jakie to smutne. Skinąłem głową zasmucony.

- Tak, naprawdę bardzo smutne. Robert zawsze był trochę wyjątkowy, ale teraz... - westchnąłem głęboko i przekonująco. - Właśnie próbujemy ściągnąć go do Paryża na wywiad z „Le Figaro", mam jednak nikłe nadzieje.

- Dziwne, nigdy bym nie pomyślała. Jego powieść jest tak... tak afirmująca życie i zabawna - odparła w zamyśleniu. - Poznał pan monsieur Millera osobiście?

Po raz pierwszy spojrzała na mnie z pełnym zainteresowaniem.

- Cóż... - odchrząknąłem znacząco. - Myślę, że mogę powiedzieć, iż jestem jednym z nielicznych, którzy naprawdę znają Roberta Millera. Bądź co bądź, sporo z nim pracowałem nad tą książką i on bardzo mnie szanuje.

Była pod wrażeniem.

- Wyszła z tego świetna książka. - A potem dodała: - Ach, naprawdę chętnie poznałabym tego Millera. Myśli pan, że istnieje choćby maleńka szansa na odpowiedź?

Wzruszyłem ramionami.

- Cóż mogę na to powiedzieć, mademoiselle Bredin? Nie sądzę, ale nie jestem Bogiem.

Bawiła się frędzlami swojego szalika.

- Wie pan co... to nie jest list czytelniczki we właściwym tego słowa znaczeniu. Długo by trwało, gdybym miała panu teraz wszystko wyjaśniać, monsieur Chabanais, i właściwie nie jest to wcale pańska sprawa, ale monsieur Miller bardzo mi pomógł w trudnej sytuacji i chętnie okazałabym mu za to wdzięczność, rozumie pan?

Skinąłem głową, nie mogąc się doczekać, kiedy dopadnę swojego koszyka z pocztą i przeczytam, co mademoiselle Bredin miała do powiedzenia monsieur Millerowi.

- Taak, odczekajmy po prostu - stwierdziłem salomonowo. - Jak to mówią Anglicy? Poczekamy, zobaczymy.

Twarz mademoiselle Bredin wykrzywiła się w komicznej rozpaczy.

- Ale ja tak nie lubię czekać - wyjaśniła.

- A kto lubi - odparłem i ogarnęło mnie pewnego rodzaju zadowolenie, że pociągam za wszystkie sznurki. W najśmielszych snach nie przyszłoby mi teraz do głowy, że zaledwie za kilka tygodni to ja będę czekał, niespokojnie i

rozpaczliwie, na decydującą odpowiedź bardzo rozgniewanej kobiety o ciemnozielonych oczach, która zadecyduje o ostatnim zdaniu pewnej powieści. A tym samym o moim życiu!

- Czy mogę zostawić panu swoją wizytówkę? - spytała mademoiselle Bredin i ze skórzanej portmonetki wyjęła mały biały kartonik z dwoma czerwonymi wiśniami. - To na wypadek, gdyby Robert Miller przyjechał jednak do Paryża. Może byłby pan wtedy tak miły i mnie zawiadomił.

Rzuciła mi spojrzenie, które miało być chyba konspiratorskie.

- Tak, pozostańmy w kontakcie.

Przyznaję, w tym momencie niczego bardziej nie pragnąłem. Mimo że ze zrozumiałych względów najchętniej wyłączyłbym z tego Roberta Millera. Szczerze mówiąc, już teraz zacząłem nienawidzić tego faceta. Wziąłem wizytówkę i ledwie zdołałem ukryć zdziwienie.

- Le Temps des Cerises - przeczytałem półgłosem. - Och... Pracuje pani w tej restauracji?

- Ta restauracja należy do mnie - odparła. - Zna ją pan?

- Ehe... nie... tak... nie do końca - wyjąkałem. Musiałem uważać, co mówię. - Czy to... czy to nie ta sama restauracja, która pojawia się w powieści Millera? No, ha, ha, a to przypadek!

- Czy to jest przypadek?

Popatrzyła na mnie w zamyśleniu, a ja, zdjęty na chwilę paniką, zacząłem się zastanawiać, czy ona może coś: wiedzieć. Nie, niemożliwe! Kompletnie niemożliwe! Nikt poza Adamem i mną nie wiedział, że Robert Miller w rzeczywistości nazywa się André Chabanais.

- Au revoir, monsieur Chabanais. Może z pańską pomocą niedługo to odkryję.

Uśmiechnęła się do mnie jeszcze raz, zanim zebrała się do odejścia.

- Au revoir, mademoiselle Bredin.

Również się uśmiechnąłem, mając nadzieję, że nigdy tego nie odkryje. A już na pewno nie z moją pomocą.

Rozdział 5

- Miller - powiedziała Bernadette. - Miller... Miller... Miller...

Siedziała pochylona do przodu przed komputerem, wpisując do wyszukiwarki hasło Robert Miller.

- Zobaczymy, co powie o nim Google.

Znów był poniedziałek, a w weekend tyle się działo w restauracji, że nie znalazłam czasu na swoje nowe ulubione zajęcie: poszukiwanie Roberta Millera.

W piątek mieliśmy dwie duże imprezy - urodziny, podczas których dużo śpiewano i wznoszono toasty, oraz spotkanie chyba jeszcze weselszych biznesmenów, którzy najwyraźniej już w listopadzie rozpoczęli świętowanie Bożego Narodzenia i nie mogli skończyć.

Jacquie klął, dwoił się i troił, ponieważ Paul, jego zastępca, zachorował i teraz on musiał przejąć całą smażeninę.

Poza tym żaden z gości nie chciał menu z rybą, każdy wybierał a la carte i Jacqui narzekał, ponieważ kupił za dużo łososia i nie mógł się go teraz pozbyć.

Moje myśli były jednak daleko stąd. Krążyły wokół przystojnego Anglika, który być może był tak samo samotny jak ja.

- Wyobraź sobie, żona go porzuciła i teraz ma tylko pieska - oświadczyłam Bernadette, kiedy zadzwoniłam do niej w niedzielne popołudnie. Leżałam na sofie z książką Millera w dłoni.

- Nie, cherie! To prawdziwy bal samotnych serc! On został porzucony, ty zostałaś porzucona. On uwielbia francuską kuchnię, ty uwielbiasz francuską kuchnię. I opisał twoją restaurację, a być może nawet ciebie. Powiem ci jedno: Bon appetit! - żartowała. - Odpisał ci już ten twój smutny Anglik?

- No naprawdę, Bernadette! - prychnęłam, wpychając pod kark poduszkę. - Po pierwsze to nie jest mój Anglik, po drugie uważam, że te wszystkie przypadki naprawdę zasługują na uwagę, a po trzecie nie mógł jeszcze otrzymać mojego listu.

Znów przyszła mi na myśl dość dziwna rozmowa, jaką przeprowadziłam kilka dni temu w Editions Opale.

- Mogę mieć tylko nadzieję, że ten dziwny brodacz rzeczywiście przekaże dalej mój list - dodałam.

Mówiąc o „dziwnym brodaczu", miałam na myśli monsieur Chabanais'go, który z perspektywy czasu wydawał mi się coraz mniej wiarygodny.

Bernadette wybuchnęła śmiechem.

- Za dużo myślisz, Aurelie! Wymień chociaż jeden powód, dla którego miałby zatrzymać twój list.

W zamyśleniu studiowałam przedstawiający Bajkał, olejny obraz, wiszący na przeciwległej ścianie, który mój ojciec kupił przed wielu laty od rosyjskiego malarza podczas pełnej przygód podróży koleją transsyberyjską do Ułan Bator. Był to wesoły, pogodny pejzaż i zawsze chętnie na niego patrzyłam. Przy brzegu kołysała się na wodzie stara łódź, za nią rozciągało się jezioro. Było absolutnie czyste, spokojne, wtopione we wczesnoletni krajobraz bagien i torfowisk, lśniło niezgłębionym błękitem. „Trudno to sobie wyobrazić", powiedział ojciec. „To jedno z najgłębszych jezior w Europie".

- Nie wiem - odparłam, wędrując wzrokiem po lustrzanej tafli jeziora, na której współgrały światło i cień. - Takie odnoszę wrażenie. Może jest zazdrosny i chce chronić swojego autora przed innymi ludźmi. Albo tylko przede mną.

- Ach, Aurelie, co ty wygadujesz! Lubujesz się w teoriach spiskowych.

Usiadłam.

- Nie. Ten facet był dziwny. Najpierw przy telefonie zachowywał się jak Cerber. A potem, kiedy zagadnęłam go w wydawnictwie, popatrzył na mnie jak chory umysłowo. Początkowo w ogóle nie reagował na moje pytania, tylko gapił się dalej, zupełnie jakby miał nie po kolei w głowie.

Bernadette niecierpliwie mlasnęła językiem.

- Może był po prostu zaskoczony. Albo miał ciężki dzień. O rany, Aurelie, czego oczekujesz? Przecież on cię nie zna. Zagadujesz go telefonicznie. Potem bez zapowiedzi zjawiasz się wieczorem w wydawnictwie, napadasz biednego faceta, akurat kiedy wychodzi do domu, i pytasz o list, który dla niego jest jakimś listem od jakiejś stukniętej łowczyni autografów, która bardzo się sobą przejmuje. Dziwi mnie, że nie wyrzucił cię za drzwi. Wyobraź sobie, że każdy czytelnik przybiegałby do wydawnictwa, aby osobiście się przekonać, czy jego poczta została przekazana wybranemu autorowi. Ja na przykład wręcz nienawidzę, kiedy rodzice stają niezapowiedziani w drzwiach i po lekcjach chcą ze mną dyskutować, dlaczego ich cudowne dziecko ma napisać pracę za karę.

Roześmiałam się.

- W porządku, w porządku. Mimo to jestem zadowolona, że mogłam osobiście pogadać z tym redaktorem.

- I masz rację, bądź co bądź na koniec monsieur Cerber rozmawiał z tobą całkiem miło.

- Tylko po to, aby mi wyjaśnić, że autor i tak się do mnie nie odezwie, ponieważ stroni od ludzi, przesiaduje zgorzkniały w swojej chacie i nie ma czasu na takie żarty - zaoponowałam.

- I chce cię nawet poinformować, kiedy Robert Miller przyjedzie do Paryża - kontynuowała niczym niezrażona Bernadette. - Czegóż właściwie chcesz więcej, mademoiselle Nienasycona?

Tak, czego więcej chciałam?

Chciałam dowiedzieć się więcej o tym Angliku, który wyglądał tak sympatycznie i pisał wspaniałe rzeczy, i to był powód, dlaczego w ten poniedziałkowy poranek, w tydzień po tym, kiedy się wszystko zaczęło, siedziałem z Bernadette przed komputerem.

- Jestem taka zadowolona, że w poniedziałki nie masz szkoły i że możemy się spotkać - powiedziałam.

Na widok przyjaciółki, która z koncentracją na twarzy wyszukiwała dla mnie wszystkich Millerów świata, ogarnęło mnie uczucie wdzięczności.

- Hm... hm... - mruknęła, odgarnęła pasemko blond włosów za ucho i wpatrywała się jak urzeczona w monitor. - Cholera, pomyliłam się. Nie, nie chcę Nillera tylko M - i - l - l - e - r - a!

- Wiesz co, nie mogłabym się nawet umówić wieczorem jak większość ludzi, ponieważ muszę być w restauracji.

Pochyliłam się do niej, aby lepiej widzieć.

- Chociaż... teraz, kiedy nie ma Claude'a, to nawet dobrze, że wieczorami mam zajęcie - mówiłam dalej. - Zimowe wieczory są bardzo samotne.

- Jeśli chcesz, mogłybyśmy wybrać się dziś wieczorem do kina - zaproponowała Bernadette. - Emile jest w domu, spokojnie mogę wyjść. Czy Claude przynajmniej się odezwał?

Pokręciłam głową i byłam jej wdzięczna, że tym razem powiedziała tylko „Claude".

- Nie spodziewałam się niczego innego po tym idiocie - burknęła, marszcząc czoło. - To niepojęte, żeby ot tak zniknąć z horyzontu.

A potem jej głos przybrał znów przyjaźniejszy ton:

- Tęsknisz za nim?

- Cóż - odparłam, dziwiąc się trochę, jak bardzo poprawił się mój stan uczuć od tamtego nieszczęśliwego dnia, kiedy

błądziłam po Paryżu. - Nocą, kiedy leżę sama w łóżku, czuję się trochę nieswojo. - Zastanowiłam się przez chwilę.

- To po prostu dziwne, kiedy nie ma już tego ramienia, które cię obejmowało.

Bernadette miała swoją wielką, empatyczną chwilę.

- Tak, potrafię to sobie wyobrazić - powiedziała, nie dodając natychmiast, że oczywiście istnieje wielka różnica, czy jest to ramię sympatycznego faceta, czy idioty.

- Ale kto wie, co jeszcze się wydarzy? - Popatrzyła na mnie i mrugnęła. - Tymczasem znalazłam wspaniałą odskocznię. I już go tutaj mamy: Robert Miller, dwanaście milionów dwieście tysięcy wyników. No proszę!

- O nie! - Zerknęłam z niedowierzaniem na ekran. - To niemożliwe!

Bernadette kliknęła na chybił trafił kilka wpisów.

- Robert Miller, sztuka współczesna.

Pojawił się kwadratowy obraz złożony z różnokolorowych kresek.

- Och, rzeczywiście bardzo współczesna! - stwierdziła i zamknęła stronę. - A co mamy tutaj? Rob Miller, Rugby Union Player, fiu, wysportowany, wysportowany.

- Przesunęła kursorem po stronie. - Robert Talbot Miller, amerykański agent, szpiegował na rzecz Związku Radzieckiego, no ale to nie będzie ten, pożegnał się już ze światem. - Roześmiała się, najwyraźniej akcja poszukiwawcza zaczęła sprawiać jej przyjemność. - Ua! - wykrzyknęła.

- Robert Miller, pozycja 224 wśród najbogatszych ludzi świata! Nie chciałabyś się zastanowić, Aurelie?

- W ten sposób nie ruszymy z miejsca - powiedziałam.

- Musisz wpisać „Robert Miller pisarz".

Pod „Robert Miller pisarz" było już tylko sześćset pięćdziesiąt tysięcy wyników, co jednak i tak stanowiło prawdziwe wyzwanie.

- Nie mogłaś wybrać sobie autora o trochę bardziej wyszukanym nazwisku? - mruknęła Bernadette, sprawdzając pierwszą stronę, która się otworzyła.

Było tam wszystko: od faceta publikującego książki o trenowaniu koni, przez docenta, który dla Oxford University Press napisał coś o angielskich koloniach, aż po naprawdę okropnie wyglądającego autora książki o wojnach burskich.

Bernadette wskazała na zdjęcie.

- To chyba nie on, prawda? Energicznie pokręciłam głową.

- Na litość boską, nie! - wykrzyknęłam.

- Daleko tak nie zajdziemy - stwierdziła. - Podaj mi jeszcze raz tytuł powieści.

- Sekretne składniki miłości.

- Dobrze... dobrze... dobrze. - Jej palce poruszały się po klawiaturze. - Aha - powiedziała. - Tu coś mamy: Robert Miller Sekretne składniki miłości!

Sama uśmiechnęła się z triumfem, a ja wstrzymałam oddech.

- Robert Miller w Editions Opale..., ach, do licha, wchodzi się tylko na stronę wydawnictwa... A tutaj... na stronie Amazonu jest tylko wydanie francuskie... Dziwne, przecież gdzieś musi być angielski oryginał.

Znów wcisnęła kilka klawiszy i potrząsnęła głową.

- Nic z tego - powiedziała. - Są tu informacje wyłącznie na temat Henry'ego Millera i jego Uśmiechu u stóp drabiny. Nawiasem mówiąc, dobra książka, ale to na pewno nie nasz człowiek.

W zamyśleniu postukała palcem wskazującym w usta.

- Nie ma żadnego odnośnika do strony internetowej, Facebooka - Mr Miller pozostaje tajemnicą, przynajmniej dla World Wide Web. Kto wie, może jest tak old fashioned, że unika wszelkiej nowoczesnej techniki. Mimo to dziwi mnie,

że nie można znaleźć angielskiego wydania. Zamknęła swój laptop i popatrzyła na mnie.

- Obawiam się, że nie mogę ci pomóc - oznajmiła.

Rozczarowana opadłam na oparcie sofy. Przecież w dzisiejszych czasach można było wszystko znaleźć w Internecie, w mgnieniu oka.

- I co teraz zrobimy? - spytałam.

- Teraz zrobimy sobie sałatkę z kozim serem, względnie ty przyrządzisz nam pyszną salade au chèvre. Fakt, że ma się za przyjaciółkę restauratorkę, musi przynosić jakieś korzyści, nie uważasz?

Westchnęłam.

- Nic innego nie przychodzi ci do głowy?

- Przychodzi - odparła. - Dlaczego nie zadzwonisz do wydawniczego Cerbera i nie spytasz, czy Robert Miller ma stronę internetową i dlaczego nie możesz znaleźć angielskiego oryginału jego powieści?

Wstała zza biurka i przeszła do kuchni.

- Nie, nie dzwoń - zawołała, otwierając drzwiczki lodówki. - Lepiej napisz mejla do biedaka.

- Nie mam jego adresu mejlowego - odpowiedziałam gniewnie i poszłam za nią do kuchni. Zamknęła lodówkę i podała mi główkę sałaty lodowej.

- Moja droga, to naprawdę nie jest problem. Wpatrywałam się zniechęcona w sałatę, która nie była niczemu winna. Bernadette miała rację. Oczywiście, że nie było żadnego problemu ze zdobyciem adresu mejlowego tak nieinteresujących ludzi, jak André Chabanais, szef redakcji Editions Opale.

Rozdział 6

- No, no, a więc uważa pani, że to dziwne - mruknąłem, studiując ponownie mejla, który wydrukowałem po południu w wydawnictwie. - Droga mademoiselle Aurelie, to wszystko jest bardziej niż dziwne.

Z westchnieniem odłożyłem mejl na bok i sięgnąłem po list, który znałem już na pamięć i który podobał mi się znacznie bardziej niż to niezobowiązujące i mało uprzejme zapytanie.

Sprawy zaczynały się komplikować, mimo to nie mogłem się nadziwić, że jedna i ta sama osoba potrafiła napisać tak różne listy. Rozparłem się w starym skórzanym fotelu, zapaliłem papierosa i niedbale rzuciłem zapałki z Deux Magots na stolik obok biurka.

Wielokrotnie już próbowałem zerwać z paleniem - ostatni raz po targach książki, kiedy niby minął wielki stres i moje życie wróciło na przyjemnie spokojne tory.

Carmencicie, gorącokrwistej specjalistce od licencji z Portugalii, która już od trzech lat podczas naszych spotkań zawodowych łypała na mnie czarnymi oczami i wtedy zaprosiła mnie najpierw na kolację, a później do hotelu, mogłem wyjaśnić następnego ranka, że moje zapotrzebowanie na kobiety obdarowywane przeze mnie łańcuszkami, chwilowo było zaspokojone. Kiedy Carmencita wreszcie zniknęła (wydusiwszy ze mnie przyrzeczenie, że w przyszłym roku zaproszę ją na kolację), pomyślałem, że wyzwania na dalszą część roku będą polegać wyłącznie na zapanowaniu nad manuskryptami zamówionymi w targowej euforii.

Jednak od zeszłego wtorku niebieskie paczuszki ze szkodliwą dla zdrowia zawartością stały się moimi nieodłącznymi towarzyszami.

Pierwsze pięć wypaliłem, kiedy Adam nie oddzwaniał. Gdy w czwartek wreszcie się odezwał, schowałem papierosy

do górnej szuflady biurka i postanowiłem zapomnieć o ich istnieniu. Później wieczorem zjawiła się jak grom z jasnego nieba ta dziewczyna o zielonych oczach i w moich uczuciach zapanował najgwałtowniejszy chaos, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem. Znajdowałem się w pięknym śnie, który jednocześnie był koszmarem. Musiałem pozbyć się upartej mademoiselle Bredin, zanim dowie się prawdy

o Robercie Millerze, a jednocześnie niczego bardziej nie pragnąłem, niż ponownie zobaczyć tę kobietę o czarującym uśmiechu.

Kiedy mademoiselle Bredin zniknęła na końcu korytarza, zapaliłem papierosa. Następnie wpadłem do sekretariatu, którym w ciągu dnia władała madame Petit, i zacząłem wertować zawartość swojej zielonej skrzyneczki, dopóki nie znalazłem podłużnej białej koperty zaadresowanej „Do pisarza Roberta Millera". Jeszcze raz wychyliłem się przez drzwi, nasłuchując - aby mademoiselle przypadkiem nie wróciła i nie przyłapała mnie na gorącym uczynku w czasie otwierania cudzej poczty - a następnie rozdarłem pośpiesznie kopertę bez użycia nożyka do papieru. Od kilku dni trzymałem list w mieszkaniu, w najróżniejszych miejscach, i raz za razem czytałem.

Paryż, listopad

Dear Robert Miller!

Dzisiejszej nocy pozbawił mnie Pan snu i za to chciałabym Panu podziękować! Przeczytałam właśnie Pańską książkę Sekretne składniki miłości. Co znaczy przeczytałam? Połknęłam tę jakże piękną powieść, która przypadkowo wpadła mi w ręce w małej księgarni dopiero wczoraj wieczorem (kiedy uciekałam przed policjantem, że się tak wyrażę). Chcę przez to powiedzieć, że jej nie szukałam. Moją wielką namiętnością jest gotowanie, a nie czytanie. Zazwyczaj. Pańska książka jednak porwała mnie, zachwyciła,

skłoniła mnie znów do śmiechu, jednocześnie jest taka lekka i tak pełna mądrości życiowej. Jednym słowem: Pańska książka uszczęśliwiła mnie w dniu, w którym czułam się nieszczęśliwa jak nigdy dotąd (zawód miłosny, metafizyczny ból istnienia), i to, że znalazłam ją akurat w tym momencie (a może to ona mnie znalazła?), jest dla mnie zrządzeniem losu.

Być może zabrzmi to dla Pana dziwnie, ale czytając już pierwsze zdanie, pomyślałam, że ta powieść będzie dla mnie miała zupełnie wyjątkowe znaczenie. Nie wierzę w przypadki.

Drogi Monsieur Miller, zanim Pan stwierdzi, że ma do czynienia z wariatką, powinien Pan wiedzieć o kilku sprawach.

Restauracja Temps des Cerises, która często pojawia się w powieści i którą opisuje Pan z taką życzliwością, należy do mnie. A Pańską Sophie jestem ja. Podobieństwo jest co najmniej frapujące i jeżeli popatrzy Pan na zdjęcie, które załączam, zrozumie Pan, co mam na myśli.

Nie wiem wprawdzie, jaki to wszystko ma związek, ale zastanawiam się, czy już kiedyś się spotkaliśmy, mimo że tego nie pamiętam. Jest Pan odnoszącym sukcesy angielskim autorem, ja jestem francuską restauratorką, właścicielką raczej nieznanego lokalu w Paryżu - jak nasze drogi miałyby się skrzyżować?

Być może jest Pan w stanie sobie wyobrazić, że te wszystkie „przypadki", które jednak wcale nie są przypadkami, nie dają mi spokoju.

Piszę do Pana w nadziei, że będzie Pan miał dla mnie jakieś wyjaśnienie. Niestety, nie mam Pańskiego adresu i mogę zwrócić się do Pana jedynie za pośrednictwem wydawnictwa. Czułabym się zaszczycona, gdybym mogła zaprosić do Temps des Cerises na przygotowaną przeze mnie kolację mężczyznę, który pisze takie powieści i któremu, jak uważam, bardzo wiele zawdzięczam.

Jak dowiedziałam się z Pańskiego życiorysu (i książki), kocha Pan Paryż, dlatego myślę, że może jednak bawi Pan tu częściej. Cieszyłabym się bardzo, gdybyśmy mogli poznać się osobiście. Być może wtedy rozwiąże się niejedna zagadka.

Jestem w stanie sobie wyobrazić, że Pan, odkąd ukazała się Pańska książka, na pewno dostał już mnóstwo listów ze słowami zachwytu, i zdaję sobie sprawę, że nie ma Pan czasu odpowiadać każdemu czytelnikowi. Nie jestem jednak każdym czytelnikiem, po prostu musi mi Pan uwierzyć. Dla mnie Sekretne składniki miłości były pod każdym względem wyjątkową, ba, brzemienną w skutki powieścią. Posyłam Panu ten list z mieszaniną głębokiej wdzięczności, wielkiego podziwu i niecierpliwej ciekawości.

Ucieszyłabym się bardzo, gdyby zechciał mi Pan odpowiedzieć, i niczego bardziej nie pragnę jak zgody na kolację w Temps des Cerises.

Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami Pańska

Aurelie Bredin

PS

Nawiasem mówiąc, jest to mój pierwszy list do autora. I zazwyczaj zapraszanie mężczyzny na kolację nie jest w moim stylu, ale myślę, że trafiając do angielskiego dżentelmena, za jakiego Pana uważam, mój list jest w dobrych rękach.

Po pierwszej lekturze listu opadłem na krzesło biurowe madame Petit i wypaliłem kolejnego papierosa.

Muszę przyznać: gdybym był Robertem Millerem, to uważałbym się za szczęściarza. Nie zwlekałbym ani przez sekundę, tylko odpowiedział na ten list, który tak bardzo różnił się od całkiem zwyczajnych listów czytelników. Ach, z ogromną chęcią dałbym się zaprosić tej pięknej kucharce do jej małej restauracji na prywatną diner à deux (zaproszenie brzmiało kusząco) i może jeszcze na całkiem inne rzeczy (które wyobrażałem sobie jeszcze bardziej kusząco).

Jednak tak głupio się składało, że byłem tylko André Chabanais'm, jakimś całkiem przeciętnym szefem redakcji udającym Roberta Millera. Tego wspaniałego, żartobliwego i jednocześnie głębokiego człowieka pióra, który zapisywał się w sercach pięknych nieszczęśliwych kobiet.

Zaciągnąłem się papierosem, przyglądając się wnikliwie zdjęciu dołączonemu przez Aurelie Bredin do listu. Miała na sobie tę zieloną sukienkę (najwyraźniej była to jedna z jej ulubionych), rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona i uśmiechała się zakochana do obiektywu.

I znów ten uśmiech nie był przeznaczony dla mnie. Kiedy było robione to zdjęcie, uśmiechała się do kogoś tam, przypuszczalnie faceta, który później złamał jej serce (zawód miłosny, metafizyczny ból istnienia). A wkładając je do koperty, zrobiła to po to, aby w ten sposób uśmiechnąć się do Roberta Millera. Gdyby wiedziała, że to ja (a nie jej angielski dżentelmen) bez namysłu schowam fotografię do portfela, nie uśmiechałaby się tak czarująco, tego byłem pewny.

Zdusiłem papierosa, wyrzuciłem niedopałek do kosza na śmieci, a list wraz z kopertą wsunąłem do swojej aktówki.

Kiedy po tym obfitym w wydarzenia dniu opuszczałem wreszcie wydawnictwo, minąłem się w drzwiach z roześmianymi, trajkoczącymi, filipińskimi sprzątaczkami, które wieczorem porządkowały biura i wyrzucały śmieci.

- Oooch, Missju Zabanais, zawsze musieć tak dużo pracować! - zawołały życzliwie, kiwając współczująco głowami. Ja też skinąłem głową, tyle że raczej z roztargnieniem niż życzliwością. Czas dotrzeć wreszcie do domu. Było zimno, ale nie padało, gdy szedłem rue Bonaparte, zastanawiając się, dlaczego mademoiselle Bredin uciekała przed policją. Nie wyglądała jak ktoś, kto mógłby zwędzić koszulkę w Monoprix. I co w tym kontekście znaczyło „że się tak wyrażę"? Czy właścicielka Temps des Cerises uchylała się

od podatków? A może ten policjant, przed którym schroniła się w księgarni, gdzie dzięki Bogu natrafiła na moją książkę, był jej chłopakiem, brutalnym gliną. Pokłóciła się z nim straszliwie, a on później ją śledził?

Najważniejsze pytanie jednak zadałem sobie dopiero, gdy wpisywałem kod liczbowy do bramy wejściowej przy rue des Beaux - Arts, gdzie mieszkałem.

Jak zdobyć serce kobiety, która wbiła sobie do głowy, że musi poznać mężczyznę, którego podziwiała i uważała, iż połączyło ich przeznaczenie? Mężczyznę, który - o ironio losu - w rzeczywistości nie istniał. Ducha, którego już nie można było się pozbyć, przywołanego przez dwóch pomysłowych uczniów czarnoksiężnika, mających się za spryciarzy i pracujących w branży, która sprzedawała marzenia.

Gdybym przeczytał tę historię w jakiejś powieści, bawiłbym się znakomicie. Kiedy jednak samemu trzeba było w niej odgrywać rolę komicznego bohatera, to nie była już tak śmieszna.

Otworzyłem drzwi mieszkania i włączyłem światło. Potrzebowałem genialnego pomysłu (a tego niestety nie miałem). Jedno wiedziałem na pewno: Robert Miller, ten perfekcyjny angielski dżentelmen ze swoją głupią chatką, piszący tak niesamowicie błyskotliwie i zabawnie, nigdy nie zje kolacji z Aurelie Bredin. Ale jeśli zręcznie to wszystko zorganizuję, może będzie to o wiele sympatyczniejszy Francuz André Chabanais z wynajmowanym mieszkaniem przy rue des Beaux - Arts.

Ten sympatyczny Francuz odsłuchał kilka minut wcześniej automatyczną sekretarkę, na której znajdowała się pełna wyrzutów wiadomość od jego matki. Żądała, aby natychmiast podniósł słuchawkę.

- André? Dobrze wiem, że jesteś w domu, mon petit chou, dlaczego nie odbierasz? Przyjdziesz w niedzielę na obiad? Od.

czasu do czasu mógłbyś się zatroszczyć o swoją starą matkę. Nudzę się, co mam robić przez cały dzień, nie mogę przecież ciągle czytać książek - narzekała, a ja nerwowo sięgnąłem do kieszeni marynarki po paczkę papierosów.

Następnie rozległ się głos Adama.

- Hi, Andy, to ja! No, wszystko w porządku? Słuchaj, mój brat jest akurat służbowo na kongresie w Sant' Angelo i wróci dopiero w niedzielę wieczorem. Ha... ha... ha, oni to mają życie, ci lekarze, co?

Chichotał beztrosko, a ja się zastanawiałem, czy on w ogóle kapuje, że czas mija. Jego brat nie miał komórki? Czy w tym Sant' Angelo (gdzie to w ogóle było?) nie mieli telefonów? Co się działo?

- Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli zadzwonię do Sama po powrocie do domu, kiedy będzie miał wolną głowę - dorzucił wyjaśnienie Adam. - Anyway, odezwę się po rozmowie z Samem, weekend spędzamy u przyjaciół w Brighton, ale jak zwykle możesz mnie łapać na komórkę.

- Tak, tak, jasne, jak zawsze na twoją komórkę - powiedziałem, zapalając następnego papierosa.

- A więc powodzenia... i André? Uniosłem głowę.

- Nie panikuj, przyjacielu. Ściągniemy Sama do Paryża. Z rezygnacją skinąłem głową i poszedłem do kuchni, żeby zobaczyć, co miałem w lodówce. Efekt był całkiem niezły. Znalazłem torebkę świeżej fasolki szparagowej, którą zagotowałem krótko w osolonej wodzie, i usmażyłem sobie do niej duży stek. Po angielsku, oczywiście.

Kiedy skończyłem kolację, usiadłem z kieliszkiem wina Cotes du Rhone i czystą kartką przy okrągłym stoliku w pokoju i oddałem się rozważaniom strategicznym w kwestii Aurelie Bredin = A.B. Dwie godziny później przelałem na papier następujące przemyślenia:

1. Robert Miller ignoruje list i nie odpowiada. - > A.B. zwróci się przypuszczalnie do osoby kontaktowej w wydawnictwie, aby usłyszeć, co się dzieje z autorem. André Chabanais = A.C. mówi, że autor nie życzy sobie kontaktu. A.C. nie udziela dalszych informacji. - > A.B. jest w sytuacji bez wyjścia i w końcu traci zainteresowanie - > nie interesuje jej również A.C. jako ewentualny pośrednik.

2. Robert Miller nie odpowiada na list, ale A.C. oferuje swoją pomoc - > zyskując tym sympatię u A.B. Jednakże myśli A.B. są skierowane w niewłaściwą stronę, mianowicie na autora, a nie redaktora. Czy ostatecznie rzeczywiście jest w stanie jej pomóc? Nie, ponieważ Robert Miller nie istnieje - > A.C. musi zyskać na czasie, aby pokazać A.B., jakim jest miłym facetem. (A jakim idiotą jest w rzeczywistości Anglik, ale całkiem mimochodem!).

3. Robert Miller odpisuje w sposób miły, początkowo jednak dość niejasny. - > Płomień jest podtrzymywany. Autor zwraca uwagę na wspaniałego redaktora (A.C.) i robi nadzieję, że w najbliższym czasie ewentualnie pojawi się w Paryżu, ale nie wie, czy znajdzie czas na spotkanie, ponieważ będzie bardzo zajęty.

4. A.C. coś aranżuje. Pyta A.B., czy chciałaby się przyłączyć do spotkania (kolacji?), które ma z Millerem. - > Chce i jest wdzięczna. Oczywiście autor nie przychodzi albo odmawia w ostatnim momencie - > A.B. jest zła na autora. A.C. mówi, że autor niestety zawsze jest taki niesłowny - > A.B. i A.C. spędzają cudowny wieczór i A.B. zauważa, że właściwie dużo bardziej lubi sympatycznego redaktora niż skomplikowanego autora.

Czytając ponownie punkt 4 skinąłem z zadowoleniem głową. Na początek był to całkiem niezły pomysł. Czy genialny - to się okaże. Pozostawało jednak kilka otwartych kwestii:

1. Czy Aurelie Bredin była w ogóle warta tego całego zachodu? Tak, na pewno!

2. Czy mogła kiedykolwiek dowiedzieć się prawdy? Nie, w żadnym wypadku!

3. Co będzie, jeśli Sam Goldberg alias Robert Miller rzeczywiście przyjedzie do Paryża, aby udzielić wywiadu lub na spotkanie z czytelnikami, i A.B. dowie się o tym?

Na to ostatnie pytanie o tak późnej porze nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź, mimo najszczerszych chęci.

Wstałem, opróżniłem popielniczkę (pięć papierosów) i wyłączyłem światło. Byłem padnięty, a chwilowo bardziej naglącą kwestią było raczej to, co będzie, jeżeli Robert Miller nie przyjedzie do Paryża.

W piątkowy poranek monsieur Monsignac już mnie oczekiwał w moim biurze.

- Ach, drogi André, wreszcie się pan zjawił, bonjour, bonjour! - przywitał mnie, dziarsko kiwając się na swoich brązowych skórzanych butach w przód i w tył. - Położyłem panu na biurku manuskrypt młodej i ślicznej autorki, to córka ostatniego laureata Nagrody Goncourtów, z którym jestem bardzo zaprzyjaźniony. Prosiłbym, aby wyjątkowo zapoznał się pan z nim jak najszybciej.

Ściągnąłem szalik z szyi i skinąłem głową. W całej swojej karierze w Editions Opale nie zdarzyło się jeszcze, aby monsieur Monsignac nie chciał czegoś z powrotem jak najszybciej. Rzuciłem okiem na manuskrypt córki laureata Nagrody Goncourtów leżący w przezroczystej teczce i opatrzony elegijnym tytułem Confessions d'une fille triste (Wyznania smutnej córki). Było tego najwyżej sto pięćdziesiąt stron i prawdopodobnie wystarczyło przeczytać pięć, aby poczuć mdłości od utartych narcystycznych wynurzeń, które obecnie często sprzedawano jako wielką literaturę.

- Nie ma sprawy, poinformuję pana jeszcze dziś po południu - powiedziałem, wieszając płaszcz w wąskiej szafie obok drzwi.

Monsignac bębnił palcami po swojej koszuli w biało - niebieskie paski. Tak naprawdę wcale nie był niski, ale i tak niższy o dwie głowy ode mnie oraz znacznie grubszy. Poza tym przy takiej posturze potrafił się ubrać. Nienawidził krawatów, nosił ręcznie szyte buty i szale we wzory paisley. Mimo swojej tuszy sprawiał wrażenie bardzo dziarskiego i ruchliwego.

- Wspaniale, André - powiedział. - Wie pan, to właśnie w panu lubię. Jest pan tak cudownie bezpretensjonalny. Niewiele pan mówi, nie zadaje zbytecznych pytań, ułatwia pan sprawy.

Popatrzył na mnie swoimi stalowoniebieskimi oczami i poklepał mnie po ramieniu.

- Daleko pan zajdzie. Następnie mrugnął do mnie i dodał:

- Jeśli ten manuskrypt będzie do niczego, proszę napisać kilka budujących zdań na temat treści, no wie pan, że w tym materiale tkwi potencjał i ciekawe, co autorka jeszcze napisze, i tak dalej, i tak dalej, a potem łagodnie proszę odmówić.

Skinąłem głową i powstrzymałem uśmiech. A potem, już wychodząc, Monsignac odwrócił się ponownie i wypowiedział zdanie, na które przez cały czas czekałem.

- I jak tam? Wszystko jasne w sprawie Roberta Millera?

- Prowadzę rozmowy z jego agentem Adamem Goldbergiem, on jest pełen optymizmu - odparłem. Stary monsieur Orban (ten, który niedawno spadł z drzewa podczas zrywania wiśni) dał mi kiedyś radę. „Kiedy kłamiesz, pozostań tak bliski prawdy, jak tylko się da, chłopcze", powiedział, gdy pewnego pięknego letniego dnia poszedłem na wagary i chciałem zaserwować matce jakąś niesłychaną historię wyssaną z palca, „wtedy będziesz miał spore szanse, że ci uwierzą".

- Twierdzi, że dostaniemy Millera - kontynuowałem zdecydowanie, a puls mi przyspieszył. - W gruncie rzeczy chodzi już tylko o... ehe... dogranie szczegółów. Myślę, że w poniedziałek będę już znał konkrety.

- Pięknie... pięknie... pięknie.

Jean - Paul Monsignac wyszedł z zadowoloną miną, a ja sięgnąłem do kieszeni. I po przyjęciu niewielkiej dawki nikotyny (trzy papierosy) stopniowo zacząłem się uspokajać. Otworzyłem okno i wpuściłem do środka świeże zimne powietrze.

Manuskrypt był w stylu Françoise Sagan dla ubogich. Pomijając to, że młoda kobieta, która nie do końca wie, czego właściwie chce (i której ojciec jest sławnym pisarzem), leci na jedną z karaibskich wysp i tam pozwala nam uczestniczyć w swoich przeżyciach seksualnych z czarnoskórym tubylcem (przez cały czas naćpanym), nie było w nim żadnej akcji godnej wzmianki. Co drugi akapit opisywał nastroje bohaterki, a te właściwie nikogo nie interesowały, nawet karaibskiego kochanka. Na koniec młoda kobieta wyjeżdża, jej życie wciąż jeszcze jest wielkim znakiem zapytania, a ona nie wie, dlaczego jest tak smutna.

Jeśli o mnie chodzi, to też nie wiedziałem. Gdybym jako młody mężczyzna miał możliwość spędzenia ośmiu niesamowitych tygodni na wyspie i umilania sobie tam czasu z karaibską pięknością we wszystkich pozycjach, to nie byłbym melancholijny, tylko pewnie ogłupiały od dobrego nastroju. Może jednak byłem zbyt powierzchowny.

Sformułowałem ostrożną odmowę i zrobiłem kopię dla monsieur Monsignaca. W południe madame Petit przyniosła pocztę i spytała podejrzliwie, czy paliłem.

Popatrzyłem na nią z niewinną miną i uniosłem dłonie.

- Palił pan, monsieur Chabanais - stwierdziła, wypatrzywszy małą popielniczkę, która stała za skrzynką na

korespondencję na moim biurku. - Palił pan nawet w moim biurze. Wyczułam to, kiedy tam weszłam dzisiaj rano. - Pokręciła z dezaprobatą głową. - Niech pan z tym znów nie zaczyna, monsieur Chabanais, to takie niezdrowe, przecież pan wie!

Tak, tak, tak, wiedziałem wszystko. Palenie było niezdrowe. Jedzenie było niezdrowe. Picie było niezdrowe. Wszystko, co sprawiało przyjemność, stawało się w pewnym momencie niezdrowe lub tuczyło. W gruncie rzeczy całe życie było niebezpiecznym balansowaniem na krawędzi, a na koniec spadało się z drabiny podczas zrywania wiśni lub w drodze do piekarza kończyło się pod kołami samochodu jak konsjerż w powieści Elegancja jeża.

Skinąłem niemo głową. Co miałem powiedzieć? Miała rację. Odczekałem, aż madame Petit wyjdzie, i w zamyśleniu wyjąłem z paczki następnego papierosa, odchyliłem się na oparcie, a kilka sekund później patrzyłem, jak białe obłoczki wydychanego dymu rozpływają się powoli w powietrzu.

Odkąd madame Petit przyłapała mnie na paleniu w biurze, nastąpiły inne niepokojące wydarzenia, które niestety nie pozwalały mi powrócić do zdrowego trybu życia. Najzdrowszą i najmniej denerwującą chwilą był prawdopodobnie niedzielny obiad u maman w Neuilly. I wcale nie chcę powiedzieć, że talerz pełen choucroute (kwaszonej kapusty), tłustej wieprzowiny i kiełbasy (matka mojej matki pochodziła z Alzacji, stąd kwaszona kapusta jest dla niej obowiązkowa) jest najlepszą rzeczą, jaką można dostarczyć swojemu ciału. Również to, że „niespodzianką", zapowiedzianą przez maman przez telefon, okazały się jej wiecznie cierpiąca siostra oraz gadatliwa, ale słabo słysząca i z tego powodu bardzo głośna ukochana kuzynka (nie moja ukochana kuzynka), nie sprawiło, że ten podany na alzackiej zastawie obiad był dla mnie wielką przyjemnością.

Choucroute leżała mi w żołądku niczym kamień, a trzy starsze panie, zagadujące statecznego, bądź co bądź trzydziestoośmioletniego mężczyznę mierzącego metr osiemdziesiąt pięć na zmianę mon petit boubou lub mon petit chou (moja mała kapusto), doprowadzały mnie do szału. Poza tym wszystko odbywało się jak zwykle, tylko z trzykrotnym nasileniem.

Pytano mnie, czy schudłem (nie!), czy nie będę się wkrótce żenił (gdy tylko pojawi się ta właściwa), czy maman mogła jeszcze mieć nadzieję na wnuki, które będzie mogła napychać choucroute (ależ oczywiście, już z góry się na to cieszyłem), czy w mojej pracy wszystko dobrze (jasne, wszystko układało się jak najlepiej). W tym czasie raz po raz byłem zachęcany, abym „jednak jeszcze trochę sobie dołożył" albo opowiedział, „co nowego".

- Co nowego, André, opowiadaj!

Trzy pary oczu wpatrywały się we mnie wyczekująco, a ja czułem się jak główny zabawiający towarzystwo. To pytanie zawsze mnie nużyło. Prawdziwych nowości ze swojego życia nie mogłem im opowiedzieć (czy ktoś przy tym stole zrozumiałby, że nerwy miałem napięte jak postronki, ponieważ przyjąłem drugą tożsamość - angielskiego autora, i ta sprawa w każdej chwili mogła się wydać?), a więc paplałem trzy po trzy o pękniętej rurze w mojej starej kamienicy i to wystarczyło, gdyż zdolność koncentracji tria starszych pań nie trwała długo (a może to, co opowiadałem, nie było dość ciekawe). W każdym razie niedosłysząca kuzynka przerwała mi wkrótce głośnym: „Kto umarł?" (zdanie to powtarzała podczas obiadu pięć razy, myślę, że zawsze wtedy, kiedy nie nadążała za przebiegiem rozmowy), i zajęto się ciekawszymi tematami (zapaleniem żył, wizytą u lekarzy, remontami, kiepskimi ogrodnikami albo niedbałymi sprzątaczkami, koncertami bożonarodzeniowymi, pogrzebami, teleturniejami

oraz losami nieznanych mi sąsiadów i osób z zamierzchłej przeszłości), zanim wreszcie zostały podane sery i owoce.

W tym momencie mój żołądek i ja byliśmy tak wyczerpani, że przeprosiłem na chwilę i wyszedłem do ogrodu, aby zapalić (trzy papierosy).

W nocy z niedzieli na poniedziałek przewracałem się w łóżku, mimo że wziąłem trzy tabletki przeciwko zgadze (kozi ser i camembert mnie dobiły). Nawiedzały mnie koszmary o bracie Adama, przystojnym autorze bestsellera, który w swoim nowoczesnym gabinecie stomatologicznym prężył się na leżance z obnażoną do połowy mademoiselle Bredin i obejmował ją, jęczącą z namiętności, podczas gdy ja, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu (również jęcząc) siedziałem na fotelu dentystycznym, a asystentka wyciągała mi ząb za zębem.

Kiedy obudziłem się zlany potem, byłem tak wykończony, że najchętniej sięgnąłbym po papierosa.

Była to jednak niewinna przyjemność w porównaniu z tym, ile nerwów czekało mnie w poniedziałek.

Wcześnie rano Adam zadzwonił do wydawnictwa z wiadomością, że jego brat, początkowo wprawdzie niechętny, teraz jednak zrozumiał kontrowersyjność całej afery wokół Millera i jest gotów ten jeden raz wziąć w niej udział. (He took it like a man, brzmiał komentarz zadowolonego Adama).

Jednakże francuski Sama był kiepski, książki były mu raczej obce, a jego wiedza o oldtimerach również nie porażała.

- Cóż, obawiam się, że będziemy musieli go wcześniej dobrze poinstruować - stwierdził Adam. - Na spotkanie z czytelnikami możesz mu przygotować odpowiednie pasaże, wystarczy, że je poćwiczy.

W kwestii zgolenia brody to on, Adam, musiałby jeszcze trochę popracować nad bratem.

Zdenerwowany zacząłem szarpać swój golf, który nagle zaczął ściskać mnie za gardło. Zwróciłem mu uwagę, że nieźle by było, gdyby Robert Miller wyglądał jak Robert Miller na zdjęciu, a dentysta niestety wyglądał jak dentysta. Cała sprawa i tak jest dostatecznie skomplikowana.

- Tak, jasne - zapewnił Adam - zrobię, co będę mógł. A potem powiedział coś, przez co natychmiast sięgnąłem po papierosa.

- Nawiasem mówiąc, Sam przyjechałby najchętniej już w poniedziałek za dwa tygodnie, to znaczy, tylko w tym terminie może przyjechać.

Paliłem tak szybko, jak tylko umiałem.

- Oszalałeś?! - wrzasnąłem. - Niby jak to sobie wyobrażasz?

Drzwi mojego biura otwarły się cicho. Stanęła w nich mademoiselle Mirabeau i patrzyła pytającym wzrokiem, ściskając przezroczystą teczkę.

- Nie teraz! - zawołałem zdenerwowany i machnąłem na nią ręką. - Mój Boże, niech pani nie patrzy z taką głupią miną, przecież pani widzi, że rozmawiam - syknąłem.

Spojrzała na mnie przestraszona. Dolna warga zaczęła jej drżeć, drzwi zamknęły się tak samo cicho, jak się otwarły.

- Nie przyjeżdża przecież teraz - powiedział uspokajająco Adam. - Poniedziałek byłby idealny. Przyjechalibyśmy z Samem już w niedzielę, moglibyśmy w spokoju jeszcze raz wszystko omówić.

- Idealny, idealny - prychnąłem. - To już za dwa tygodnie! Coś takiego wymaga przygotowań. Jak mam to wszystko załatwić?

- It's now or never - odparł krótko Adam. - Powinieneś być choć trochę zadowolony, że to w ogóle wyjdzie.

- Tak, cieszę się jak szalony - rzuciłem. - Fajnie, że nie przyjeżdżacie już jutro.

- W czym problem? „Le Figaro" tylko na to czeka, o ile dobrze zrozumiałem. A jeśli chodzi o odczyt, to chyba lepiej zorganizować go w małym pomieszczeniu. No chyba że wolałbyś FNAC?

- Nie, oczywiście, że nie - odparłem.

Im niżej będziemy zagrywać, tym lepiej. Cała sprawa musi zostać przeprowadzona z możliwie najmniejszym rozgłosem. Poniedziałek za dwa tygodnie! Zrobiło mi się gorąco. Drżącą ręką zgasiłem papierosa.

- Rany, ale mi niedobrze - wykrztusiłem.

- Dlaczego? Przecież wszystko dobrze się układa - odparł Adam. - Pewnie znów nie zjadłeś dobrego śniadania.

- Zagryzłem pięść. - Tosty, jajko sadzone, a do tego bekon i człowiek jest przygotowany na trudy dnia - pouczył mnie mój angielski przyjaciel. - To, co wy jecie na śniadanie, nadaje się wyłącznie dla mięczaków! Sucharek i croissant! Nikt na tym nie przeżyje.

- Nie bądźmy teraz fundamentalni, dobrze? - odparłem.

- W przeciwnym razie wypowiem się o angielskiej kuchni.

Nie pierwszy już raz spieraliśmy się z Adamem na temat wad i zalet naszych żywieniowych przyzwyczajeń.

- Nie, proszę! - Oczyma wyobraźni wręcz widziałem, jak Adam uśmiecha się pod nosem. - Powiedz mi lepiej, że termin jest OK, zanim mój brat zmieni zdanie.

Wciągnąłem głęboko powietrze.

- Bon. Natychmiast pogadam z naszym działem PR. Proszę, przypilnuj, żeby twój brat, kiedy tu przyjedzie, znał treść powieści, przynajmniej z grubsza.

- Tak zrobię.

- Czy on się jąka?

- Odbiło ci? Dlaczego miałby się jąkać? Mówi zupełnie normalnie i ma piękne zęby.

- To uspokajające. Aha, Adam, i jeszcze coś... - Tak?

- Dobrze by było, gdyby twój brat potraktował tę sprawę z największą dyskrecją. Nie powinien nikomu mówić, dlaczego wybiera się z tobą do Paryża. Ani swoim starym dobrym kumplom z klubu, ani sąsiadom i najlepiej żonie też nie. Taka historia rozchodzi się szybciej niż można pomyśleć, a świat jest mały.

- Nie martw się, Andy. My, Anglicy, jesteśmy bardzo dyskretni.

Wbrew wszystkim obawom Michelle Auteuil ucieszyła się, gdy usłyszała, że Robert Miller w najbliższym czasie chce przybyć do Paryża.

- Jak się panu udało skłonić go tak szybko, monsieur Chabanais?! - wykrzyknęła zaskoczona, a jej długopis zaczął wywijać piruety. - Autor chyba nie jest tak trudny, jak pan zawsze powtarzał! Zaraz rozmówię się z „Le Figaro" i delikatnie wysonduję dwie małe księgarnie.

Przysunęła bliżej swój wizytownik i przekartkowała go.

- Świetnie, że wreszcie się udało i... kto wie? - Uśmiechnęła się do mnie, a jej czarne kolczyki w kształcie serc zakołysały się żywiej przy szczupłej szyi. - Może na wiosnę urządzimy podróż prasową do Anglii, odwiedziny w chatce Roberta Millera! Co pan o tym sądzi?

Żołądek wywrócił mi się do góry nogami.

- Wspaniały pomysł - mruknąłem.

Chyba już wiedziałem, jak czuje się podwójny agent. Postanowiłem uśmiercić poczciwego Roberta Millera zaraz po odbębnieniu programu w Paryżu.

Stara corvette'a stoczy się z niezabezpieczonego nasypu. Złamanie karku. Tragiczne, przecież nie był jeszcze taki stary. Pozostał już tylko piesek. A ten, na szczęście, nie umie mówić. Ani pisać. Może jako zaufany doradca i dobroduszny

lektor, którym byłem, przyjmę biednego Rocky'ego pod opiekę.

Michelle Auteuil intensywnie myślała nad strategią promocyjną.

- Czy on pisze dalej? - spytała.

- Och, myślę, że tak - pośpieszyłem z odpowiedzią. - Jednakże zawsze trwa to bardzo długo, w dużej mierze przez jego czasochłonne hobby. No wie pani, wciąż majsterkuje przy tych oldtimerach. - Udałem, że się zastanawiam. - Myślę, że swoją pierwszą powieść pisał... siedem lat. Taak, prawie jak John Irving. Tylko gorzej.

Roześmiałem się zadowolony i zostawiłem skonsternowaną madame Auteuil w jej biurze. Pomysł uśmiercenia Millera zachwycił mnie. On mnie uratuje.

Zanim jednak pozwolę na śmierć brytyjskiego dżentelmena, będzie musiał wyświadczyć mi drobną przysługę.

Mejl od Aurelie Bredin przyszedł o godzinie siedemnastej trzydzieści. Do tej pory nie zapaliłem żadnego papierosa. O dziwo, miałem prawie nieczyste sumienie, gdy go otwierałem. Cóż, przeczytałem list, który z taką ufnością napisała do Roberta Millera. Nosiłem w portfelu jej zdjęcie, o czym ona nie miała bladego pojęcia.

To wszystko oczywiście nie było w porządku, ale i nie całkiem niewłaściwe. Kto bowiem, jeśli nie ja, powinien był otwierać pocztę dla pisarza?

Nagłówek mejla wywołał we mnie lekki niepokój.

Temat: Pytania dotyczące Roberta Millera!!!

Westchnąłem. Trzy wykrzykniki niczego dobrego nie zwiastowały. Nie znając dalszej treści listu, miałem już niedobre przeczucie, że nie będę mógł udzielić zadowalających odpowiedzi na pytania mademoiselle Bredin.

Szanowny Monsieur Chabanais,

dzisiaj jest poniedziałek i od naszego spotkania w Pańskim wydawnictwie minęło już kilka dni. Ufam, że przekazał Pan w tym czasie mój list Robertowi Millerowi, i mimo że robił mi Pan nikłe nadzieje, jestem pewna, iż otrzymam odpowiedź. Do zadań redaktora przypuszczalnie należy również obrona autorów przed natrętnymi wielbicielami, lecz być może traktuje Pan swoje obowiązki zbyt poważnie? Jakkolwiek jest, dziękuję za Pańskie dotychczasowe starania, a dziś zwracam się z kilkoma pytaniami, na które z pewnością będzie Pan umiał mi odpowiedzieć.

1. Czy Robert Miller ma stronę internetową? W sieci niestety nie mogłam nic na ten temat znaleźć.

2. Daremne okazały się również poszukiwania angielskiego oryginału. W jakim wydawnictwie ukazała się w Anglii powieść Roberta Millera i jak brzmi tytuł angielski? Po wpisaniu nazwiska Roberta Millera w wyszukiwarkę amazon.uk wyskakuje jedynie francuskie wydanie. A książka jest przecież tłumaczeniem z angielskiego, prawda? Świadczy o tym przynajmniej nazwisko tłumacza.

3. Wspomniał Pan podczas naszej pierwszej rozmowy telefonicznej, że autor być może przyjedzie w najbliższym czasie do Paryża na spotkanie z czytelnikami. Chętnie wzięłabym w nim udział - czy termin jest już znany? Jeśli to możliwe, chciałabym już teraz zamówić dwa bilety wstępu.

W nadziei, że nie nadużywam zbytnio Pańskiego cennego czasu, i w oczekiwaniu na rychłą odpowiedź pozostaję z wyrazami szacunku

Aurelie Bredin

Sięgnąłem po papierosy i ciężko opadłem na oparcie fotela. Mon Dieu, Aurelie Bredin chciała szczegółów. Cholera, była naprawdę uparta! Musiałem jakoś powstrzymać jej śledczą pasję. Przede wszystkim dwa ostatnie punkty przyprawiały mnie o ból brzucha.

Wolałem sobie nie wyobrażać, co mogłoby się wydarzyć, gdyby rozentuzjazmowana mademoiselle Bredin natknęła się na kompletnie niedoświadczonego Roberta Millera a.k.a. (also known as - jak to się ładnie nazywa) Samuela Goldberga i miała okazję porozmawiać z nim osobiście!

Na szczęście prawdopodobieństwo, że piękna kucharka dowie się o planowanym spotkaniu z czytelnikami, było bardzo niewielkie. Ja w każdym razie nie pisnę jej ani słowa. A wywiad w „Le Figaro" ukaże się najwcześniej dzień po fakcie, więc i z tej strony nie czyhało niebezpieczeństwo. Wtedy będzie już po wszystkim i jeżeli odkryje ten artykuł albo dowie się o wieczorze autorskim, to będę miał dość czasu, żeby coś wymyślić.

(Z niezadowoleniem zwróciłem uwagę na to, że mademoiselle Bredin chciała dwa bilety. Po co jej dwa bilety? Przecież nie mogła mieć już nowego wielbiciela, skoro dopiero co przerabiała najgorszy zawód miłosny. Jeśli już, to powinna dać się pocieszyć mnie).

Zapaliłem następnego papierosa i zastanawiałem się dalej.

Punkt drugi, pytanie o wydanie oryginalne, był znacznie delikatniejszy, ponieważ wersja angielska nie istniała, nie mogła więc być wydana w żadnym wydawnictwie. Będę musiał wymyślić jakąś satysfakcjonującą odpowiedź, żeby mademoiselle Bredin nie wpadła jeszcze na pomysł poszukiwania (nieistniejącego) tłumacza. W Internecie nie znajdzie słowa o tym mężczyźnie. A jeśli zadzwoni do wydawnictwa i narobi szumu? Najlepiej będzie od razu umieścić tłumacza na mojej liście skazańców. Nie wolno było nie doceniać energii tej drobnej osóbki. Z taką determinacją była jeszcze gotowa zwrócić się do monsieur Monsignaca.

Wydrukowałem sobie mejla, aby zabrać go do domu. Tam w spokoju się zastanowię, co robić.

Kartka wysuwała się z cicho terkoczącej drukarki, a ja pochyliłem się do przodu i wyjąłem ją. Teraz miałem już dwa listy od Aurelie Bredin. Ten drugi jednak nie był zbyt miły.

Jeszcze raz przebiegłem wzrokiem zadrukowane linijki, próbując znaleźć jakieś dobre słowo o André Chabanais'm. Nie znalazłem. Ta młoda dama miała dość cięty język. Między wierszami czytało się wyraźnie, co sądziła o redaktorze, z którym spotkała się w zeszłym tygodniu na korytarzu wydawnictwa: nic! Najwyraźniej nie wywarłem zbyt wielkiego wrażenia na Aurelie Bredin.

Nie obraziłbym się za odrobinę wdzięczności. Przede wszystkim jeśli wziąć pod uwagę, że to ja i moja książka uszczęśliwiliśmy mademoiselle w chwili, gdy znajdowała się w dołku. To mój humor ją rozbawił. Moje pomysły ją oczarowały.

Zgoda, przyznaję, trochę mnie zabolało, że zostałem odprawiony oszczędnymi, ba, niemal nieuprzejmymi słowami i „wyrazami szacunku", podczas gdy tak szarmancko zabiegała o względy mojego alter ego i żegnała go jak najserdeczniej.

Rozgniewany zaciągnąłem się papierosem. Był najwyższy czas rozpocząć drugą fazę i skierować zachwyt mademoiselle Bredin na odpowiednią osobę.

Oczywiście moje wystąpienie na korytarzu nie było tym, co uskrzydla fantazję kobiety. Milczałem, jąkałem się i gapiłem. A wcześniej przez telefon byłem niecierpliwy, nawet nieuprzejmy. Nic dziwnego, że dziewczyna o zielonych oczach nie chciała zaszczycić mnie spojrzeniem.

Dobrze, nie byłem takim przystojniakiem jak ten dentysta ze zdjęcia na okładce, ale prezentuję się całkiem nieźle. Jestem wysoki, postawny i mimo że w ostatnich latach nie uprawiałem sportu, mam wytrenowane ciało. Mam ciemnobrązowe oczy, brązowe, gęste włosy i prosty nos, uszy

też nie są odstające. A dyskretna broda, jaką noszę od kilku lat, nie spodobała się jedynie maman. Wszystkie inne kobiety uznały ją za męską. Bądź co bądź, mademoiselle Mirabeau porównała mnie ostatnio z wydawcą z filmu Wydział Rosja.

Pogładziłem palcami statuetkę nagiej Dafne, która stała na moim biurku. Potrzebna mi była okazja, aby zaprezentować się Aurelie Bredin ze swojej najlepszej strony, i to jak najszybciej.

Dwie godziny później byłem w mieszkaniu i okrążałem stół w salonie, na którym w całkowitej zgodzie leżały obok siebie odręczny list i wydrukowany mejl. Na dworze smagał nieprzyjemny wiatr, zaczęło padać. Wyjrzałem na ulicę. Jakaś starsza kobieta walczyła ź parasolem, który chciał się wywinąć. Para zakochanych chwyciła się za ręce i puściła biegiem, aby schronić się w kawiarni.

Włączyłem obie lampy, które stały z prawej i lewej strony komody pod oknem, wsunąłem CD Paris Combo do odtwarzacza. Rozległy się tony pierwszej piosenki, kilka rytmicznych dźwięków gitary i łagodny kobiecy głos wypełniły pokój.

On na pas besoin, non non non non, de chercher si loin... On trouve ce qu'on veut a cote de chez soi..., śpiewała wokalistka, a ja słuchałem jej słodkich słów jak objawienia. Nie zawsze trzeba było daleko szukać. To, czego się chciało, znajdowało się tuż obok.

I nagle wiedziałem, co powinienem zrobić. Dostałem dwa listy. Napiszę więc dwa listy. Jeden jako André Chabanais. I drugi jako Robert Miller. Odpowiedź redaktora Aurelie Bredin znajdzie jeszcze dziś wieczorem w swojej poczcie mejlowej. A list od Roberta Millera wrzucę osobiście do jej skrzynki w środę, ponieważ roztrzepany autor zapodział niestety kopertę z adresem zwrotnym, przysłał więc odpowiedź do mnie, abym przekazał ją dalej.

Zarzucę dwie przynęty. Plusem tej sytuacji było to, że w obu przypadkach byłem mężczyzną z wędką. I jeśli mój plan wypali, to mademoiselle Bredin spędzi miły piątkowy wieczór w Coupole z monsieur Chabanais'm.

Przyniosłem laptop z gabinetu i otworzyłem go. Następnie wpisałem adres mejlowy Aurelie Bredin, a wydruk położyłem obok siebie.

Temat: Odpowiedzi dotyczące Roberta Millera!!!

Chère Mademoiselle Bredin,

ponieważ znamy się już trochę, chętnie zrezygnuję z formalnego „Szanowna Mademoiselle Bredin" i mam nadzieję, że nie będzie miała Pani nic przeciwko temu.

Najpierw odpowiem na najważniejsze pytanie, mimo że nie zadała go Pani wprost:

naturalnie przekazałem Pani list Robertowi Millerowi - przed wrzuceniem go do skrzynki pocztowej opatrzyłem nawet kopertę napisem: „Pilne!", aby nie nadwyrężać Pani cierpliwości. Proszę nie myśleć o mnie tak źle! Nie zdziwiłbym się, gdyby uważała mnie Pani za dziwaka - tego dnia, gdy niespodziewanie pojawiła się Pani w wydawnictwie, nastąpiło kilka niemiłych zdarzeń i przykro mi, iż mogłem wywołać u Pani wrażenie, jakobym chciał powstrzymać Panią od nawiązania kontaktu z Robertem Millerem. On jest cudownym autorem i bardzo go cenię, ale jednocześnie jest dość upartym człowiekiem, który żyje w samotności. Naprawdę nie mam takiej jak Pani pewności, że odpowie na list, ale szczerze Pani tego życzę. Tak pięknego listu nie można pozostawić bez odpowiedzi.

Ostatnie zdanie skasowałem. Nie mogłem przecież wiedzieć, czy list był piękny. W końcu tylko przekazałem go dalej. Rzeczywiście musiałem uważać, aby się nie zdradzić. Zamiast tego napisałem:

Gdybym był autorem, na pewno bym Pani odpisał, to jednak nie na wiele się Pani zda. Szkoda, że Monsieur Miller nie może zobaczyć, jaka piękna czytelniczka do niego pisze. Powinna Pani była dołączyć do listu swoje zdjęcie!

Zwyczajnie nie potrafiłem sobie odmówić tej drobnej aluzji.

Przejdę teraz do Pani dalszych pytań:

1. Niestety, Robert Miller nie ma strony internetowej. On jest, jak już wspomniałem, człowiekiem strzegącym prywatności i nie zależy mu, aby być widocznym w sieci. Mieliśmy nawet kłopoty z uzyskaniem od niego zdjęcia. W przeciwieństwie do większości autorów nie lubi być rozpoznawany i zagadywany na ulicy. Nic bardziej nie działa mu na nerwy, jak sytuacja, w której zatrzymuje się przed nim ktoś obcy i mówi: „Nie jest pan przypadkiem Robertem Millerem?".

2. Rzeczywiście nie opublikowano angielskiego oryginału. Dlaczego tak jest, to dłuższa historia i nie chciałbym Pani teraz zanudzać. Powiem tylko tyle: agent reprezentujący Roberta Millera, również Anglik, którego bardzo dobrze znam, zjawił się w naszym wydawnictwie z manuskryptem, a my zleciliśmy jego tłumaczenie. W angielskim wydawnictwie książka nie ukazała się do tej pory. Możliwe, że ta historia niezbyt się nadaje dla angielskiej publiczności lub na tamtejszym rynku wydawniczym popularne są teraz inne tematy.

3. Nie jest pewne, czy monsieur Miller w najbliższym czasie będzie do dyspozycji czytelników. Chwilowo raczej się na to nie zanosi.

To było kłamstwo, a jednocześnie nim nie było. W rzeczywistości na wieczór autorski przybędzie do Paryża tylko dentysta i jako Miller odpowie na kilka pytań oraz podpisze kilka książek.

Rozstanie z żoną mocno go przybiło, od tamtego czasu jest dość zmienny w swoich decyzjach. Gdyby jednak kiedykolwiek wybrał się na wieczór autorski do Paryża, to nie odmówię sobie przyjemności i zarezerwuję Pani jeden - a raczej dwa - bilety.

Przerwałem na chwilę i przebiegłem wzrokiem swój list. Uznałem, że wszystko brzmi wiarygodnie. A przede wszystkim nie było ani odrobinę nieuprzejme. I zarzuciłem ostatnią przynętę:

Droga Mademoiselle Bredin, mam nadzieję, iż odpowiedziałem na Pani pytania. Naprawdę chciałbym pomóc, ale proszę zrozumieć, że nie mogę ignorować życzeń (i praw) naszego autora. Być może uda mi się zaaranżować coś nieformalnego (jeśli mi Pani obieca, że tego nie rozgłosi).

Traf chciał, że w przyszły piątek mam spotkać się z Robertem Millerem, aby porozmawiać z nim o nowej książce. To był spontaniczny pomysł - tego dnia załatwia jakieś sprawy w Paryżu i nie ma zbyt dużo czasu, ale mamy się zobaczyć na kolacji. Jeżeli chciałaby Pani i miała czas, to może wpadłaby Pani zupełnie przypadkiem i przyłączyła się do nas na drinka. W ten sposób miałaby Pani okazję przynajmniej osobiście uścisnąć dłoń swojemu ulubionemu autorowi.

To najlepsza propozycja, jaką teraz mogę Pani złożyć, i robię to wyłącznie dlatego, aby nie pisała Pani do mnie obrażonych mejli.

I co Pani na to?

Była to najlepsza niemoralna propozycja, jaką mogłem jej złożyć, i właściwie byłem dość pewny, że Aurelie Bredin chwyci przynętę. Niemoralna była przede wszystkim dlatego, że osoba, o którą chodziło, ostatecznie wcale nie zjawi się na kolacji. Tego jednak mademoiselle Bredin nie mogła wiedzieć.

Wysłałem mejl z „bardzo serdecznymi pozdrowieniami", następnie zdecydowanym krokiem podszedłem do biurka po arkusz papieru czerpanego i długopis.

Przyjdzie - a już na pewno po lekturze listu od Roberta Millera, do którego zaraz się zabiorę. Usiadłem przy stole, nalałem sobie kieliszek wina i pociągnąłem z niego większy łyk.

Dear Miss Bredin, zacząłem zamaszystym pismem.

Następnie przez długi czas nie napisałem nic. Siedziałem przed białą kartką i nagle nie wiedziałem, jak mam zacząć. Moje umiejętności epistolarne zniknęły. Bębniłem palcami w blat stołu, próbując myśleć o Anglii.

Co mógł pisać taki Miller, który siedział opuszczony i samotny w wiejskiej chacie? I jak powinien zareagować na pytania, które zadała mu mademoiselle Bredin? Czy to tylko przypadek, że bohaterka jego powieści wyglądała jak autorka listu? Czy była to tajemnica? A może sam nie potrafił sobie tego wyjaśnić? Czy też była to długa historia, którą chciał opowiedzieć jej kiedyś w spokoju?

Wyjąłem z portfela zdjęcie Aurelie Bredin, poddałem się działaniu jej uśmiechu i pogrążyłem w krainie pięknych fantazji.

Po kwadransie wstałem. To nie miało sensu.

- Mr Miller, jest pan bardzo niezdyscyplinowany - mruknąłem.

Było po dziesiątej, papierosy się skończyły, a ja koniecznie musiałem coś zjeść. Włożyłem płaszcz i pomachałem w stronę stołu.

- Zaraz wracam, a pan niech się w tym czasie zastanawia - powiedziałem. - I coś wymyśli, panie pisarzu!

Wciąż jeszcze padało, kiedy otwierałem mokre szklane drzwi do bistra La Palette, które o tej porze było dość zatłoczone. Otoczył mnie ożywiony gwar. W tylnej części

pomieszczenia, tonącej w półmroku, wszystkie stoliki były zajęte.

La Palette ze swoimi prostymi wypucowanymi stołami z drewna i obrazami na ścianach było bardzo popularne wśród artystów, marszandów, studentów, a także w światku wydawniczym. Przychodziło się tu coś zjeść albo po prostu na kawę czy kieliszek wina. Stary lokal znajdował się dosłownie rzut beretem od mojego mieszkania. Zaglądałem tu często i prawie zawsze trafiałem na kilkoro znajomych.

- Salut, André! Ça va? - Nicolas, jeden z kelnerów, przywołał mnie gestem. - Paskudna pogoda, prawda?

Strąciłem z siebie kilka kropli deszczu i pokiwałem głową.

- Można tak chyba powiedzieć! - odkrzyknąłem. Przecisnąłem się przez tłum, stanąłem przy barze i zamówiłem croque monsieur oraz czerwone wino.

Wrzawa dookoła o dziwo działała na mnie kojąco. Wypiłem wino, ugryzłem kawałek ciepłego tosta, zamówiłem kolejny kieliszek i zacząłem się rozglądać. Czułem, jak napięcie całego dnia stopniowo ze mnie spływa, odprężałem się. Czasem wystarczyło oddalić się zaledwie o parę kroków od swojego problemu i wszystko stawało się całkiem proste. Na przykład napisanie listu w imieniu Roberta Millera. Ostatecznie chodziło przecież tylko o to, aby podgrzewać idée fixe Aurelie Bredin, dopóki nie uda mi się przekonująco wejść między nią a autora.

Praca w branży żyjącej wyłącznie ze słów, historii i pomysłów nie zawsze była zaletą. W moim życiu istniały momenty, w których wolałbym coś bardziej namacalnego, rzeczywistego, monumentalnego, co robiło się własnymi rękami - jak budowanie mostu czy drewnianego regału. Po prostu czegoś, co bardziej byłoby materią niż duchem.

Zawsze gdy patrzyłem na wieżę Eiffla, która tak śmiało i majestatycznie wznosiła się ku paryskiemu niebu, z dumą

myślałem o swoim pradziadku inżynierze, mającym na koncie wiele wynalazków i uczestniczącym w konstruowaniu tego imponującego monumentu z żelaza i stali.

Często się zastanawiałem, jakie to musiało być wspaniałe uczucie: móc stworzyć coś takiego. W tej chwili jednak nie chciałbym się zamienić ze swoim pradziadkiem. Nie potrafiłem wprawdzie zbudować wieży Eiffla (i szczerze mówiąc, regału też nie), ale umiałem obchodzić się ze słowami. Umiałem pisać listy i wymyślić prawdziwą historię. Taką, która przyciągnie romantyczną kobietę niewierzącą w przypadki.

Zamówiłem jeszcze jedén kieliszek wina i wyobraziłem sobie kolację z Aurelie Bredin. Byłem przekonany, że po niej nastąpi o wiele intymniejsza kolacja w Temps des Cerises. Musiałem to tylko zręcznie zaaranżować. I pewnego dnia, kiedy Robert Miller będzie już dawno zapomniany, a my przeżyjemy wiele wspólnych cudownych lat, wyznam jej być może całą prawdę. I oboje się z niej uśmiejemy.

Taki był plan, ale oczywiście wszystko potoczyło się zupełnie inaczej.

Nie wiem, dlaczego, ale ludzie jakoś nie potrafią inaczej. Snują plany za planami. A potem są bardzo zdziwieni, jeśli one nie wypalają.

Siedziałem więc przy barze i oddawałem się wizjom przyszłości, kiedy ktoś poklepał mnie po ramieniu. Pojawiła się roześmiana twarz i powróciłem do rzeczywistości.

To był Silvestro, mój dawny nauczyciel, u którego w zeszłym roku pobierałem nauki, aby odświeżyć swój zapomniany włoski.

- Ciao, André, miło cię widzieć - powiedział. - Chcesz przysiąść się do naszego stolika?

Wskazał za siebie na stół, przy którym siedziało dwóch mężczyzn i trzy kobiety. Jedna z nich, elegancka rudowłosa z

piegami i dużymi, miękkimi ustami, patrzyła uśmiechnięta w naszą stronę. Silvestro zawsze otaczał się wyjątkowo ładnymi dziewczynami.

- To Guilia - powiedział, puszczając do mnie oko. - Nowa uczennica. Prześliczna i jeszcze do wzięcia. - Odmachał rudowłosej. - To co, dołączysz?

- To bardzo kuszące - odparłem z uśmiechem - ale nie, dzięki. Muszę jeszcze coś zrobić.

- Ach, zapomnij teraz o pracy. Zawsze za dużo pracujesz.

Silvestro machnął ręką.

- Nie, nie. Tym razem to rączej sprawa prywatna - odparłem zamyślony.

- Aaaaach, chcesz powiedzieć... jeszcze coś planujesz, tak?

Popatrzył na mnie szelmowsko i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

- Tak, można tak powiedzieć.

Odwzajemniłem jego uśmiech i pomyślałem o białej kartce na stole w pokoju, która stopniowo zaczęła się zapełniać słowami i zdaniami. Nagle było mi bardzo śpieszno.

- Pazzo, dlaczego nie mówiłeś od razu? Nie chcę więc stawać na drodze twojemu szczęściu!

Silvestro klepnął mnie serdecznie kilkakrotnie po ramieniu, zanim wrócił do swojego stolika.

- Przyjaciele, on ma inne plany! - usłyszałem jego głos, a reszta towarzystwa wybuchnęła śmiechem i pomachała do mnie.

Kiedy skierowałem się do wyjścia i torowałem sobie drogę wśród gości, którzy rozmawiając i popijając, oblegali bar, wydało mi się przez ułamek sekundy, że widzę szczupłą postać o długich ciemnoblond włosach siedzącą w głębi sali. Była zwrócona plecami do drzwi i gestykulowała z ożywieniem.

Potrząsnąłem głową. Urojenia! Aurelie Bredin znajdowała się teraz w swojej restauracji przy rue Princesse. A ja byłem lekko zawiany.

Otwarły się drzwi, do środka wdarł się podmuch zimnego wiatru, a wraz z nim wysoki facet z czarnowłosą dziewczyną w karmazynowym płaszczu, przytuloną do swojego towarzysza. Wyglądali na bardzo szczęśliwych. Usunąłem się na bok, aby ich przepuścić. Następnie wyszedłem, wciskając dłonie w kieszenie płaszcza.

W Paryżu było zimno i padał deszcz, kiedy jednak człowiek jest zakochany, to pogoda nie gra żadnej roli.

Rozdział 7

- W gruncie rzeczy uważasz, że to wszystko jest szalone, prawda? Możesz spokojnie przyznać mi rację!

Już od jakiegoś czasu siedziałyśmy z Bernadette w pękającym tego wieczoru w szwach La Palette. Udało nam się zdobyć stolik przy ścianie w głębi lokalu i nasza dyskusja nie dotyczyła już filmu Vicky Cristina Barcelona, który obejrzałyśmy tego wieczoru, tylko tego, jak realne bądź nierealne były oczekiwania niejakiej Aurelie Bredin.

Bernadette westchnęła.

- Uważam tylko, że na dalszą metę byłoby lepiej inwestować swoją energię w bardziej realistyczne projekty. W przeciwnym razie znów czeka cię rozczarowanie.

- Aha - odparłam. - Ale kiedy ta Cristina idzie z kompletnie obcym Hiszpanem, który jej oświadcza, że chciałby pójść do łóżka nie z nią, tylko z jej przyjaciółką, to uważasz to za realistyczne?

Miałyśmy dość rozbieżne zdania na temat bohaterki filmu.

- Tego nie powiedziałam. Powiedziałam tylko, że jestem w stanie to wszystko zrozumieć. Jakkolwiek by było, ten facet jest do bólu szczery. To mi się podoba. - Dolała mi trochę wina. - Mój Boże, Aurelie, to przecież tylko kino, dlaczego tak się podkręcasz? Ty uważasz tę fabułę za niewiarygodną, ja za wiarygodną. Tobie bardziej podobała się Vicky, mnie Cristina. Czy musimy się teraz o to kłócić?

- Nie. Tylko trochę mnie denerwuje, kiedy mierzysz rzeczy różną miarką. Możliwe, że to mało prawdopodobne, aby ten mężczyzna mi odpisał, ale nie jest nierealne - odparłam.

- Ach, Aurelie, wcale nie o to chodzi. Przecież pomagałam ci dzisiaj szukać informacji o autorze w Internecie. Ja też uważam, że to wszystko jest zabawne i pasjonujące. Nie chciałabym tylko, abyś znów zagalopowała

się z tą sprawą. - Chwyciła mnie za dłoń i westchnęła. - Masz szczęście do beznadziejnych historii, wiesz? Najpierw związałaś się z tym dziwnym grafikiem, który co jakiś czas znikał i był zwyczajnie szurnięty. A teraz mówisz wyłącznie o tym tajemniczym autorze, który, obojętnie, jak interpretujesz tę całą jego powieść, wydaje się po prostu trudnym facetem.

- Tak twierdzi ten dziwny Cerber z wydawnictwa. Jesteś pewna, że to prawda? - Zamilkłam obrażona, rysując widelcem wzorki na serwetce.

- Nie, nie wiem. Posłuchaj, chcę jedynie, abyś była szczęśliwa. Tylko czasami mam wrażenie, że całym sercem poświęcasz się sprawom, które nie mogą się udać.

- Ale pediatra byłby udany, tak? - odparowałam. - Jest też bardziej realny.

„Znajdź sobie lepiej miłego pediatrę, zamiast zawsze gonić za ułudą", powiedziała Bernadette, kiedy po filmie zastanawiałam się głośno, ile czasu idzie list z Anglii do Francji.

- OK, nie powinnam była wyskoczyć z tym pediatrą - przyznała teraz. - Chociaż ten Olivier jest całkiem miły.

- Tak. Miły nudziarz.

Przedstawiła mi doktora Oliviera Christophle'a na swoich urodzinach latem, kiedy jeszcze byłam z Claude'm, i od tamtej pory ma nadzieję, że moglibyśmy zostać parą.

- Tak, tak, masz rację - Bernadette machnęła ręką.

- Jest po prostu za mało ekscytujący. - Wokół jej ust błąkał się delikatny uśmieszek. - No dobrze. Teraz czekamy z napięciem na odpowiedź, ile czasu potrzebuje poczta, aby dostarczyć list z Anglii do Paryża. I chciałabym, abyś informowała mnie na bieżąco, czy to jasne? Jeśli kiedykolwiek nadejdzie czas na miłego nudnego lekarza, to po prostu mi powiedz.

Zmięłam serwetkę i wrzuciłam ją na swój talerz, na którym widoczne były ślady omletu z szynką.

- D'accord! Tak zrobimy - powiedziałam, szukając portmonetki. - Ja dziś płacę.

Poczułam na plecach lekki powiew wiatru i wstrząsana dreszczem uniosłam ramiona.

- Czy ludzie zawsze muszą tak długo trzymać otwarte drzwi? - powiedziałam, przyciągając do siebie talerzyk z rachunkiem.

Bernadette popatrzyła na mnie skonsternowana, następnie jej oczy się zwęziły.

- Co jest? Znów powiedziałam coś niewłaściwego? - spytałam.

- Nie, nie. - Szybko opuściła wzrok i w tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że patrzyła nie na mnie. - Weźmy jeszcze espresso - powiedziała, a ja ze zdumieniem uniosłam brwi.

- Od kiedy pijesz tak późno kawę? Przecież zawsze powtarzasz, że nie możesz po niej zasnąć.

- Ale teraz po prostu mam ochotę.

Spojrzała na mnie, jakby chciała mnie zahipnotyzować, i uśmiechnęła się.

- O, popatrz - rzuciła, wyciągając z torebki skórzaną oprawkę. - Znasz te zdjęcia Marie? To w domu, a to w ogrodzie u moich rodziców w Orange.

- Nie... Bernadette... co... co to ma znaczyć? - Zauważyłam, że niespokojnie spogląda raz po raz za moje plecy. - W co ty się tak wgapiasz.

Bernadette miała widok na bistro, natomiast ja byłam zmuszona wpatrywać się w obraz olejny, wiszący na wyłożonej drewnianą boazerią ścianie.

- Nic, po prostu szukam kelnera. Była spięta, chciałam się też odwrócić.

- Nie odwracaj się! - syknęła i chwyciła mnie za ramię, ale było już za późno.

Pośrodku La Palette, tam, gdzie znajdowało się przejście do tylnej części lokalu, w której siedziałyśmy, stał Claude i czekał na stolik pod oknem, a kelner kasował tam właśnie rachunek. Czule obejmował ramieniem młodą kobietę. Sięgające brody, czarne włosy i zaczerwienione policzki sprawiały, że wyglądała niczym mongolska księżniczka. Miała na sobie dopasowany w talii płaszczyk z czerwonego filcu, jego rękawy i dół były wykończone krótkimi frędzelkami. I do tego była w ciąży.

Płakałam przez całą drogę do domu. Bernadette siedziała obok mnie w taksówce, trzymała mnie w objęciach i podawała mi chusteczkę za chusteczką.

- A wiesz, co jest najgorsze? - wyłkałam, kiedy później usiadła obok mnie na łóżku i podała mi gorące mleko z miodem. - Ten czerwony płaszcz... oglądaliśmy niedawno razem na wystawie przy rue du Bac i powiedziałam, że chciałabym go na urodziny.

Zdrada bolała najbardziej. Kłamstwa. Obliczyłam na palcach miesiące i doszłam do wniosku, że Claude oszukiwał mnie już od pół roku. Cholera, dziś wyglądał na tak szczęśliwego, kiedy stał ze swoją mongolską księżniczką, trzymając dłoń na jej małym brzuchu.

Poczekałyśmy, dopóki ci dwoje nie zajęli miejsca przy oknie. I wtedy wymknęłyśmy się, ale Claude i tak by mnie nie zauważył. Widział tylko swoją Królewnę Śnieżkę.

- Ach, Aurelie, tak bardzo mi przykro. Właściwie już to przebolałaś. A teraz takie coś! Zupełnie jak w kiepskiej powieści.

- Nie powinien kupować jej tego płaszcza. To... to... bez serca. - Popatrzyłam zrozpaczona na Bernadette. - Ta kobieta stała tam w moim płaszczu i była taka... taka szczęśliwa! A ja

niedługo mam urodziny i jestem taka samotna, w dodatku płaszcza też już nie ma. To okropnie niesprawiedliwe.

Bernadette łagodnie pogładziła mnie po włosach.

- Wypij łyk mleka - powiedziała. - Oczywiście, że to niesprawiedliwe. I złe. Coś takiego nie powinno się wydarzyć, ale nie wszystko odbywa się zawsze zgodnie z planem. Właściwie wcale nie chodzi o Claude'a, prawda?

Pokręciłam głową i upiłam łyk gorącego mleka. Bernadette miała rację, wcale nie chodziło o Claude'a, tylko o coś, co ostatecznie porusza nasze dusze, o miłość do człowieka, za którą wszyscy tęsknimy, do której przez całe życie wyciągamy ręce, aby jej dotknąć i ją zatrzymać.

Bernadette wyglądała na zamyśloną.

- Wiesz, że nie miałam o nim dobrego zdania - powiedziała. - Może rzeczywiście spotkał kobietę swojego życia. Może chciał ci to już dawno powiedzieć, tylko czekał na stosowny moment, który naturalnie nigdy nie przychodzi. A potem umarł twój ojciec. Było więc jeszcze trudniej, nie chciał cię zostawiać akurat w tej sytuacji. - Skrzywiła twarz jak zawsze, kiedy się zastanawiała. - To możliwe.

- Ale płaszcz - nie odpuszczałam.

- Płaszcz to niewybaczalne - odparła. - Musimy coś wymyślić. - Pochyliła się nade mną i cmoknęła mnie. - A teraz spróbuj zasnąć, jest już późno. - Szturchnęła palcem wskazującym w moją kołdrę. - I nie jesteś sama, słyszysz? Ktoś zawsze nad tobą czuwa, nawet jeśli to tylko twoja stara przyjaciółka Bernadette.

Nasłuchiwałam jej kroków, które powoli się oddalały. Miała taki pewny krok.

- Dobranoc, Aurelie! - zawołała jeszcze raz. Drewniana podłoga w przedpokoju zatrzeszczała. Następnie zgasiła światło i drzwi zatrzasnęły się cicho.

- Dobranoc, Bernadette - wyszeptałam. - Jestem szczęśliwa, że cię mam.

Nie wiem, czy sprawiło to mleko z miodem, w każdym razie tej nocy spałam zdumiewająco głęboko. Gdy się obudziłam, w mojej sypialni po raz pierwszy od wielu dni świeciło słońce. Wstałam i rozsunęłam zasłony. Nad Paryżem rozciągało się czyste błękitne niebo, a przynajmniej taki był jego mały prostokątny fragment, który odsłaniały mury podwórka, i mogłam go zobaczyć ze swojego balkonu.

Zawsze widać tylko mały fragment, pomyślałam, przygotowując śniadanie. Życzyłabym sobie zobaczyć choć raz całość.

Wczoraj wieczorem, kiedy zauważyłam Claude'a z jego ciężarną przyjaciółką i ten obraz boleśnie przeszył mi serce, myślałam, że widzę całą prawdę. A mimo to była to tylko moja prawda, mój punkt widzenia. Prawda Claude'a była inna. I prawda kobiety w czerwonym płaszczu jeszcze inna.

Czy można było poznać prawdziwe wnętrze jakiegoś człowieka? Co go porusza, inspiruje, o czym naprawdę marzy?

Wstawiłam naczynia do zlewu i odkręciłam wodę.

Claude mnie okłamywał, ale może ja też pozwoliłam się oszukiwać. Nigdy nie pytałam. Czasami lepiej żyć z kłamstwem niż z prawdą.

Nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy o przyszłości. Nigdy do mnie nie powiedział: „Chcę mieć z tobą dziecko". Ja też nigdy tego nie powiedziałam. Przeszliśmy wspólnie krótki odcinek drogi. Były chwile piękne i mniej piękne. I nie miało sensu żądać sprawiedliwości w sprawach sercowych.

Miłość była tym, czym była. Ni mniej, ni więcej.

Osuszyłam dłonie. Następnie podeszłam do komody w przedpokoju i otworzyłam szufladę. Wyjęłam nasze zdjęcie z Claude'em i przyjrzałam mu się jeszcze raz. „Życzę ci

szczęścia", szepnęłam, a potem odłożyłam fotografię do starej skrzynki po cygarach, w której przechowuję wspomnienia.

Zanim wyszłam z domu, aby zrobić zakupy na targu i u rzeźnika, zajrzałam do sypialni i przypięłam nową karteczkę do ściany z myślami.

O miłości, kiedy przeminie

Miłość, kiedy przeminie, jest zawsze smutna. Rzadko jest wielkoduszna. Ten, kto porzuca, ma nieczyste sumienie. Ten, kto jest porzucony, liże rany. Doznanie klęski prawie zawsze boli jeszcze bardziej niż rozstanie.

Na koniec jednak każdy jest tym, kim zawsze był.

A czasami pozostaje piosenka, kartka z dwoma sercami,

Czułe wspomnienie letniego dnia.

Rozdział 8

Telefon zadzwonił akurat wtedy, kiedy usiłowałem przeprosić bardzo obrażoną mademoiselle Mirabeau.

Już podczas konferencji zwróciłem uwagę, że ta zazwyczaj czarująca asystentka redakcji nie zaszczyciła mnie ani jednym spojrzeniem. Nawet wtedy, gdy się spiąłem i tak żartobliwie opowiadałem o jakiejś książce, że wyniosła Michelle Auteuil omal nie spadła z krzesła, dziewczyna ani drgnęła. Wszelkie próby zagadnięcia jej po konferencji, kiedy szedłem obok niej korytarzem, spełzły na niczym. Odpowiadała „tak" i „nie", więcej nie można było z niej wydusić.

- Proszę wejść na chwilę do mojego biura - powiedziałem, gdy dotarliśmy do sekretariatu.

Skinęła głową i ruszyła za mną w milczeniu.

- Proszę - wskazałem na jedno z krzeseł przy okrągłym stoliku. - Niech pani usiądzie.

Mademoiselle Mirabeau zajęła miejsce niczym obrażona księżniczka. Skrzyżowała ramiona, założyła nogę na nogę, tak że byłem zmuszony podziwiać jej jasne, siateczkowe jedwabne pończochy, które nosiła pod krótką spódniczką.

- Cóż - powiedziałem jowialnie. - Co pani leży na sercu, proszę mówić. Co się dzieje?

- Nic - odparła, wbijając wzrok w parkiet, jakby znajdowało się tam coś fascynującego.

Było gorzej, niż się obawiałem. Kiedy kobiety twierdzą, że „nic" się nie dzieje, to są naprawdę wściekłe.

- Hm - powiedziałem. - Jest pani pewna?

- Tak - potwierdziła.

Najwyraźniej postanowiła rozmawiać ze mną wyłącznie monosylabami.

- Wie pani co, mademoiselle Mirabeau?

- Nie.

- Nie wierzę pani w ani jedno słowo.

Florence Mirabeau posłała mi krótkie spojrzenie, zanim ponownie zapatrzyła się w parkiet.

- Ach, mademoiselle Mirabeau, niech pani nie będzie okrutna. Proszę powiedzieć staremu André Chabanais'mu, dlaczego jest pani tak obrażona, w przeciwnym razie nie będę mógł spać dzisiejszej nocy.

Zauważyłem, że tłumi uśmieszek.

- Nie jest pan wcale tak bardzo stary - odparła. - I dobrze tak panu, jeśli nie może pan spać.

Zaczęła skubać swoją spódnicę, a ja czekałem.

- Powiedział pan, że mam się nie patrzeć z taką głupią miną! - wypaliła wreszcie.

- Tak do pani powiedziałem? To jest... to jest straszne - przyznałem.

- Ale tak pan powiedział. - Po raz pierwszy popatrzyła na mnie. - Objechał mnie pan wczoraj, kiedy rozmawiał pan przez telefon. A ja chciałam tylko przynieść panu tę recenzję. Mówił pan przecież, że to pilne. Czytałam przez cały weekend i specjalnie zrezygnowałam ze spotkania. Zrobiłam wszystko tak szybko, jak to było możliwe, a pan w ten sposób mi podziękował. - Po tej płomiennej przemowie miała zaczerwienione policzki. - Normalnie mnie pan objechał.

Teraz, kiedy to powiedziała, przypomniałem sobie rozmowę z Adamem Goldbergiem, w którą niefortunnie wtrąciła się mademoiselle Mirabeau.

- Oh, mon Dieu, mon Dieu, bardzo mi przykro. - Popatrzyłem na siedzącą przede mną małą mimozę, na której twarzy malował się wyrzut. - Naprawdę bardzo mi przykro - powtórzyłem ponownie z naciskiem. - Wcale nie chciałem pani objechać, tylko akurat tak strasznie się zdenerwowałem...

- Mimo wszystko - powiedziała.

- Nie, nie - uniosłem dłonie - to nie jest żadne usprawiedliwienie. Przyrzekam poprawę. Naprawdę. Wybaczy mi pani?

Spojrzałem na nią skruszony. Spuściła oczy, kąciki jej ust drżały, gdy kołysała swoją śliczną nogą.

- W ramach pojednania proponuję pani... - ukłoniłem się jej lekko, myśląc gorączkowo - torcik malinowy. Co pani na to? Czy pozwoli się pani zaprosić jutro w południe do Laduree na torcik malinowy?

Uśmiechnęła się.

- Ma pan szczęście - powiedziała. - Bardzo lubię torciki malinowe.

- Czy mogę z tego wnioskować, że pani nie będzie się już na mnie gniewać?

- Tak, może pan.

Florence Mirabeau podniosła się z krzesła.

- A teraz idę po tę recenzję - stwierdziła pojednawczo.

- Tak, proszę to zrobić! - zawołałem. - Cudownie! Nie mogę się doczekać! - wstałem, aby odprowadzić ją do drzwi.

- Nie musi pan tak przesadzać, monsieur Chabanais. Wykonuję tylko swoją pracę.

- Czy mogę pani coś powiedzieć, mademoiselle Mirabeau? Wykonuje pani swoją pracę bardzo dobrze.

- Och! - odparła. - Dziękuję. To bardzo miłe, co pan mówi. Monsieur Chabanais, ja...

Znów się zaczerwieniła i przez chwilę stała niezdecydowana w drzwiach, zupełnie jakby chciała coś jeszcze powiedzieć.

- Tak? - spytałem.

I w tym momencie zadzwonił telefon. Nie chciałem być znów niemiły, a więc stałem, zamiast wypchnąć Florence Mirabeau z biura i rzucić się do biurka.

Po trzecim dzwonku mademoiselle Mirabeau powiedziała:

- Proszę odebrać, może to coś ważnego.

Uśmiechnęła się i wyszła. Szkoda, prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, co jeszcze chciała powiedzieć. W jednej kwestii miała jednak rację.

To był ważny telefon.

Natychmiast rozpoznałem głos. Rozpoznałbym go wśród setki innych. Brzmiał jak za pierwszym razem, lekko zdyszany, zupełnie jakby ktoś właśnie wbiegł po schodach.

- Czy rozmawiam z monsieur Chabanais'm? - spytała.

- Tak, przy telefonie - odparłem i z szerokim uśmiechem rozparłem się w fotelu. Ryba połknęła haczyk.

Aurelie Bredin była zachwycona propozycją mojej pomocy w „przypadkowym" spotkaniu Roberta Millera i chwilowo zdawała się nie pamiętać o pytaniach od jeden do trzy z jej zuchwałego mejla do nieuprzejmego redaktora Editions Opale.

- Jaki fantastyczny pomysł! - powiedziała.

Również uważałem swój pomysł za fantastyczny, ale to oczywiście zachowałem dla siebie.

- Cóż, aż tak fantastyczny ten pomysł nie jest, ale... nie jest zły - rzekłem wspaniałomyślnie.

- To jest naprawdę tak niesamowicie miłe z pana strony, monsieur Chabanais - ciągnęła dalej Aurelie Bredin, a ja pławiłem się w swojej nagłej chwale jako undertaker.

- Il n'y a pas de quoi. Nie ma sprawy - odparłem. - Jeśli w ten sposób będę mógł pani jakoś pomóc, to się cieszę.

Milczała przez chwilę.

- A ja myślałam, że jest pan takim ponurym redaktorem, który nikogo nie dopuszcza do swojego autora - powiedziała zbita z tropu. - Mam nadzieję, że pan mi to wybaczy.

Triumf, triumf! Najwyraźniej był to dzień przeprosin.

Nie zaproponowała mi wprawdzie malinowego torciku, ale szczerze mówiąc, torcik wcale mnie nie kręcił. Lekkie

wyrzuty sumienia Aurelie Bredin były nieporównywalnie słodsze.

- Ależ droga mademoiselle Bredin, nie mógłbym mieć do pani żalu, nawet gdybym chciał. Cóż, nie pokazałem się ze swojej najlepszej strony. Może zapomnijmy po prostu o tym nieszczęśliwym starcie i skoncentrujmy się na naszym planie. - Podjechałem fotelem do biurka i otworzyłem kalendarz z terminami.

Dwie minuty później sprawa była załatwiona. Aurelie Bredin przyjdzie w piątek o wpół do ósmej do Coupole, gdzie zarezerwowałem stolik na swoje nazwisko, i zamówimy coś do picia. Około ósmej przyłączy się do nas Robert Miller (z którym rzekomo byłem umówiony na rozmowę o nowej książce), będzie to wystarczająca okazja, aby się poznać.

Przy wyborze restauracji zawahałem się przez chwilę.

Mała zaciszna restauracja z wygodnymi czerwonymi fotelami z pluszu jak Le Belier nadawałaby się znacznie lepiej do moich prawdziwych zamiarów niż słynna Coupole - ta duża ruchliwa i wieczorami wiecznie pełna brasserie. Mimo to byłoby chyba trochę dziwnie umawiać się z angielskim autorem w miejscu, które wydawało się idealne dla zakochanych.

Coupole nie budziła podejrzeń, a ponieważ autor i tak nigdy się nie pojawi, wydawało mi się, że będę miał większe szanse na miły wieczór z kapryśną mademoiselle Bredin, jeżeli restauracja nie będzie zbyt romantyczna.

- W Coupole? - spytała. Natychmiast wyczułem jej raczej umiarkowany zachwyt. - Naprawdę ma pan ochotę na tę halę dla turystów?

- Miller ją zaproponował - odparłem. - Wcześniej ma jakieś sprawy na Montparnasse, poza tym uwielbia Coupole. - (Ja też wolałbym Temps des Cerises, ale naturalnie nie mogłem tego powiedzieć).

- Uwielbia Coupole? - W jej głosie przebijała irytacja.

- Cóż, jest Anglikiem - powiedziałem. - Uważa, że Coupole jest wspaniała. Twierdzi, że ta restauracja napawa go zawsze taką... radością, ponieważ jest pełna życia i barwna.

- Aha.

To było wszystko, co miała na ten temat do powiedzenia mademoiselle Bredin.

- Poza tym jest absolutnym fanem fabuleux curry d'agneau des Indes - dorzuciłem, uznając się za bardzo przekonującego.

- Tej słynnej jagnięciny w curry? - powtórzyła. - Nigdy jej nie próbowałam. Naprawdę jest taka dobra?

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Pani jako kucharka na pewno może ocenić to lepiej niż ktokolwiek inny. W każdym razie ostatnio Robert Miller był nią totalnie zachwycony. Po każdym kęsie powtarzał: delicious, absolutely delicious, ale Anglicy nie są szczególnie rozpieszczeni, jeśli chodzi o kuchnię, fish and chips, no wie pani. Wydaje mi się, że wychodzą z siebie, kiedy do jedzenia dosypie im się trochę curry i wiórków kokosowych, ha, ha, ha.

Chciałbym, aby usłyszał mnie teraz Adam Goldberg. Aurelie Bredin nie śmiała się.

- Myślałam, że Robert Miller lubi francuską kuchnię.

Najwyraźniej jej kucharska duma została urażona.

- Cóż, o wszystko będzie pani mogła spytać go sama - odpowiedziałem, aby nie roztrząsać dłużej kulinarnych upodobań mojego autora.

Nabazgrałem długopisem szlaczek trójkątów w kalendarzu.

- Czy monsieur Miller otrzymał już pani list?

- Myślę, że tak, jednak nie mam jeszcze odpowiedzi, jeśli o to pan pyta.

Zabrzmiało to trochę nerwowo.

- Odpisze pani - powiedziałem pośpiesznie. - Najpóźniej po piątku, kiedy pozna panią osobiście.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Że jest pani czarującą młodą kobietą, której urokowi nie oprze się żaden mężczyzna, nawet taki wycofany ze świata angielski pisarz.

Roześmiała się.

- Jest pan zły, monsieur Chabanais, wie pan o tym?

- Tak, wiem - odparłem. - Gorszy, niż pani myśli.

Rozdział 9

Post nubila phoebus. Odczytałam szeptem inskrypcję wygrawerowaną na białym głazie i delikatnie pogładziłam palcami litery. „Po chmurach słońce".

Było to motto mojego ojca, który - o czym niekoniecznie świadczył jego zawód - był wykształconym humanistycznie człowiekiem i w przeciwieństwie do córki czytał bardzo wiele. Po deszczu nadchodzi słońce - jaki on był mądry!

Stałam na cmentarzu Pere Lachaise, nade mną po niebie szybko przemykały chmury, a kiedy pojawiało się słońce, nawet lekko grzało. Nie byłam na grobie taty od Wszystkich Świętych, dzisiaj jednak poczułam silną potrzebę, aby tu przyjść.

Cofnęłam się o krok i położyłam wiązankę kolorowych astrów i chryzantem na kwadratowej kamiennej płycie obrośniętego bluszczem grobu.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co się wydarzyło, tato - powiedziałam. - Ale byś się zdziwił.

Tydzień rozpoczął się tak nieszczęśliwie, a teraz stałam tu, na cmentarzu, w dziwny sposób szczęśliwa i podniecona. A przede wszystkim bardzo ciekawa jutrzejszego wieczoru.

Słońce, które po tylu dniach deszczu i pochmurnej pogody zaświeciło wesoło we wtorek w mojej sypialni, było niczym zwiastun. Nagle wszystko obróciło się ku dobremu.

We wtorek przyniosłam zakupy do restauracji i omówiłam z Jacquie trzy ewentualne bożonarodzeniowe propozycje menu, a potem, mimo wszystko, pomyślałam kilka razy o czerwonym płaszczu oraz jego właścicielce. Po południu wróciłam jeszcze raz do domu z postanowieniem, że wypełnię ten niekoniecznie wspaniały dzień mojego życia równie mało wspaniałą czynnością, dopóki wieczorem nie wrócę do restauracji.

Usiadłam więc przy komputerze i zabrałam się do uregulowania sterty dawno przeterminowanych rachunków. Wcześniej jednak zajrzałam do swojej skrzynki mejlowej i znalazłam w niej bardzo uprzejmy, ba, można by powiedzieć wręcz szarmancki, list od André Chabanais'go, w którym nie tylko odpowiedział na wszystkie moje pytania, ale ku mojemu wielkiemu zdziwieniu złożył mi pewną propozycję. Natychmiast wprawiła mnie ona w radosne podniecenie.

Nadarzała się co prawda krótka, ale zawsze okazja poznania Roberta Millera, ponieważ monsieur Chabanais miał się spotkać z autorem i zaprosił mnie, abym przypadkowo do nich dołączyła. Oczywiście przyjęłam propozycję i w przeciwieństwie do pierwszej rozmowy telefonicznej z brodatym szefem redakcji ta rozmowa była bardzo zabawna. Przerodziła się prawie w mały flirt, który bardzo dobrze wpłynął na moje samopoczucie.

Kiedy opowiedziałam o tym Bernadette, natychmiast zaczęła mi dokuczać, że ten redaktor bardziej by się jej podobał i gdyby miało się okazać, że autor wcale nie jest tak cudowny jak jego powieść, to miałabym jeszcze jedną możliwość.

- Jesteś okropna, Bernadette - stwierdziłam. - Zawsze chcesz mnie swatać z jakimiś facetami. Jeśli już, to wezmę się od razu za autora. Po pierwsze lepiej wygląda, a po drugie to przecież on napisał tę książkę, zapomniałaś?

- Czy ten facet jest brzydki jak noc? - dopytywała się moja przyjaciółka.

- Nie wiem - odparłam. - Nie, przypuszczalnie nie... Nie przyglądałam się zbyt dokładnie. Poza tym ma brodę.

- A co w tym złego?

- Przestań, Bernadette! Wiesz, że faceci z brodami nie są w moim typie. Zasadniczo nie zaszczycam ich nawet spojrzeniem.

- Błąd! - zaprotestowała.

- Poza tym nie szukam faceta. Nie szukam faceta, słyszysz? Chcę po prostu porozmawiać z tym pisarzem z powodów, które już znasz. I dlatego że jestem mu bardzo wdzięczna.

- Och, boskie zrządzenie losu, brzemienne w skutki uwikłanie, gdzie nie spojrzeć... - Bernadette brzmiała jak chór z greckiej tragedii.

- Właśnie - odparłam. - Zobaczysz.

Jeszcze tego samego wieczoru powiedziałam Jacquieemu, że w piątek nie mogę przyjść do restauracji. Zadzwoniłam do Juliette Meunier, bardzo dobrej i profesjonalnej kelnerki, która wcześniej szefowała kelnerom w Lutetii i już kiedyś kilka razy mnie zastępowała. Studiowała teraz architekturę wnętrz i pracowała tylko na godziny. Na szczęście nie miała jeszcze planów na piątek i przyjęła moją propozycję.

Jacquie nie był oczywiście zachwycony.

- Czy to konieczne? W piątek? I akurat teraz, kiedy Paul jest chory? - denerwował się, żonglując garnkami i patelniami podczas przygotowywania posiłku dla naszej małej załogi.

Godzinę przed otwarciem restauracji zawsze jedliśmy wszyscy kolację: Jacquie, nasz szef kuchni i najstarszy z nas wszystkich, zastępca szefa kuchni Paul, pomoce kuchenne Claude i Marie oraz Suzette i ja. Te posiłki, podczas których nie tylko były omawiane sprawy restauracji, miały w sobie coś rodzinnego. Rozmawialiśmy, kłóciliśmy się, śmialiśmy - a potem każdy wzmocniony udawał się do swojej pracy.

- Przykro mi Jacquie, ale niespodziewanie wyskoczyło mi ważne spotkanie - powiedziałam, a kucharz popatrzył na mnie przenikliwie.

- Wydaje się bardzo niespodziewane to spotkanie. Dzisiaj w południe, kiedy rozmawialiśmy o menu bożonarodzeniowym, nic o nim jeszcze nie wiedziałaś...

- Dzwoniłam już do Juliette - rzuciłam szybko, żeby nie wypytywał za dużo. - Chętnie przyjdzie, a w grudniu i tak musimy się zastanowić, czy nie wziąć kogoś dodatkowego do kuchni. Jeżeli Paul będzie dłużej chorował, mogłabym pomagać ci w kuchni, spytamy Juliette, czy w weekendy zastąpi mnie na sali.

- Ah, non, nie lubię pracować w kuchni z kobietami

- powiedział Jacquie. - Kobiety nie potrafią dość zdecydowanie smażyć.

- Nie bądź bezczelny - odparłam. - Smażę bardzo zdecydowanie. A ty jesteś starym szowinistą, Jacquie.

Uśmiechnął się.

- Zawsze nim byłem, zawsze.

Siekał w szalonym tempie dwie duże cebule na drewnianej desce i zsunął je nożem na dużą patelnię.

- Poza tym nie jesteś zbyt dobra w sosach.

Smażył posiekaną cebulę na maśle, aż uzyskała złoty kolor, podlał ją białym winem i lekko zmniejszył płomień pod patelnią.

- Co ty opowiadasz, Jacquie! - wykrzyknęłam oburzona.

- Sam nauczyłeś mnie większości sosów, a mój filet w sosie pieprzowym jest absolutnie pyszny, zawsze to powtarzałeś.

Znów się uśmiechnął.

- Tak, twój sos pieprzowy jest cudowny, ale tylko dlatego, że znasz sekretny przepis swojego taty.

Wrzucił do frytownicy garść frytek i syk gorącego tłuszczu zagłuszył mój protest.

Kiedy Jacquie pracował przy kuchence, stawał się żonglerem. Uwielbiał podrzucać kilka piłeczek jednocześnie i obserwowanie tego zapierało dech w piersiach.

- Za to przygotowujesz dobre desery, chętnie to przyznam - kontynuował niewzruszony i potrząsnął patelnią. - Cóż,

miejmy nadzieję, że Paul do soboty wygrzebie się z choroby. - Zerknął na mnie znad frytownicy i przymknął jedno oko. - Ważne spotkanie, co? Jak ten szczęściarz się nazywa?

Szczęściarz nazywał się Robert Miller, mimo że jeszcze nie spodziewał się swojego szczęścia. Nie wiedział, że w piątek będzie miał randkę w ciemno w Coupole. A ja nie wiedziałam, czy aż tak bardzo się ucieszy, jeśli nieproszony gość przeszkodzi mu w rozmowie z André Chabanais'm.

Potem jednak przyszedł czwartek, a wraz z nim list, który przepełnił mnie pewnością, że wszystko zrobiłam tak jak trzeba i że czasami dobrze jest posłuchać swoich uczuć, obojętnie, jak absurdalne mogą się wydać innym ludziom.

Wyjęłam ze skrzynki kopertę opatrzoną jedynie moim nazwiskiem. Do koperty ktoś przyczepił karteczkę, na której napisał:

Droga Mademoiselle Bredin, list przyszedł wczoraj po południu do wydawnictwa, gratuluję! Robert Miller przez nieuwagę wyrzucił kopertę z Pani adresem, dlatego przysłał go do nas. Myślę, że nie będzie Pani miała nic przeciwko temu, jeśli wrzucę go do Pani skrzynki. Zobaczymy się jutro wieczorem. Bonne lecture!

André Chabanais

Uśmiechnęłam się. To było typowe dla tego Chabanais'go, gratulował mi, jakbym wygrała zakład, i życzył mi dobrej zabawy podczas czytania. Prawdopodobnie mimo wszystko był zaskoczony, że jego autor mi odpowiedział.

Ani przez moment się nie zastanawiałam, skąd André Chabanais miał mój prywatny adres.

Nie mogłam się doczekać, usiadłam w płaszczu na zimnych kamiennych schodach w korytarzu i rozerwałam kopertę. Następnie przeczytałam zdania, które pochylonym pismem były niemalże wyciśnięte na papierze niebieskim długopisem.

Dear Miss Aurelie Bredin,

Pani miły list bardzo mnie ucieszył. Na nieszczynście spodobał się on również mojemu psu Rocky'emu, a szczególnie kopyrta. Kiedy to sobie uświadomiłem, byłe już za późno, a Rocky, ten mała żarłoczna potwór, połykał właśnie kopyrtę z adresem.

Muszę przyprosić za swojego psa, jest jeszcze bardzo młody, i wysyłam odpowiedź do mojego wiernego redaktora André Chabanais'go, który ją pani przekaże. Chciałbym Pani powiedzieć, droga Mademoiselle Bredin, że otrzymałem już dużo listów od fanów, ale jeszcze nigdy tak piękny i ekscytujący.

Naprawdę bardzo się cieszę, że moja mała paryska powieść tak Pani pomygła w czasie, kiedy była Pani nieszczynśliwa. A więc nadała się do czegoś, to więcej, niż można powiedzieć o większości książek. (Mam też nadzieję, że udało się pani na długo uciec policjantowi!).

Uważam, że umim Panią dobrze rozumieć. Ja też długo w nieszczynściu byłem i czuję z Panią z najgłębszego serca!

Nie jestem facetem, który chętnie idzie do publiczności, wolę być incognito, i boję się, że trochę nudzę, bo bardzo kocham być w swojej chacie, spacerować w przyrodzie i reperować stare samochody, ale jeżeli Pani się nie przestrasza, to przyjmuję czarujące zaproszenie do Pani małej restauracji, kiedy znów przyjadę do Paryża.

Następny raz będę bardzo krótko i mam dużo terminów, ale chciałbym przyjechać z więcej czasu, tak abyśmy mogli porozmawiać miło i spokojnie. Tak, znam Pani restaurację, zakochałem się w niej na pierwsze wejrzenie, szczególnie na te obrusy w czerwoną kratkę.

Dziękuję bardzo za piękne zdjęcie, co mi Pani przysyła. Mogę powiedzieć, że jest Pani bardzo sexy, nie naruszając Pani intymności?

I ma Pani rację oczywiście - podobieństwo między Sophie i Panią, droga Aurelie, jest zdumiewające, myślę, że winien jestem wyjaśnienie mojego małego tajemnicy! Powiem tylko tyle: nigdy, w najśmielszych oczekiwaniach nie myślałem, że dostanę list od bohaterki z książki - to jest jak sen, który dostaje prawdę.

Mam wielką nadzieję, że czuje się Pani teraz lepiej i Pani nieszczęścia minęły. Cieszę się też, że niedługo ujrzę Panią we własnej osobie!

Proszę wybaczyć, mój francuski jest trochę biedny, niestety! Ale chciałbym, aby Panią ucieszyła moja odpowiedź.

Nie mogę czekać, aż usiądę w Pani pięknej restauracji i wreszcie porozmawiam z Panią o WSZYSTKIM.

Serdeczne życzenia i à tout bientot! Bardzo oddany Robert Miller

- Ma pani konewkę, mademoiselle? - rozległ się skrzeczący głos za mną.

Wzdrygnęłam się i odwróciłam.

Przede mną stała drobna starsza kobieta w czarnych karakułach, z pasującym do nich toczkiem na głowie. Miała umalowane na czerwono usta i przyglądała mi się z ciekawością.

- Konewkę! - powtórzyła niecierpliwie. Pokręciłam głową.

- Nie, przykro mi, madame.

- To źle, bardzo źle.

Potrząsnęła głową i ze złością zacisnęła czerwone usta.

Zastanawiałam się, po co jej potrzebna konewka. Bądź co bądź, przez ostatnie tygodnie tak dużo padało, że ziemia z pewnością była dostatecznie wilgotna.

- Skradziono moją konewkę - wyjaśniła mi. - Pamiętam, że schowałam ją za nagrobkiem - wskazała na grób w pobliżu, nad którym stare drzewo rozpościerało swoje sękate gałęzie -

a teraz jej nie ma. Wszędzie kradną w dzisiejszych czasach, nawet na cmentarzu. Po prostu brak słów.

Pogrzebała w swojej dużej czarnej torebce i wyjęła z niej wreszcie paczkę gauloise'ów. Zdziwiłam się bardzo. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła dym w błękitne niebo.

Następnie podsunęła mi paczkę.

- Proszę, poczęstuje się pani?

Pokręciłam głową. Czasami popalałam w kawiarniach, ale nie na cmentarzach.

- No, proszę wziąć, drogie dziecko - potrząsnęła paczką tuż przed moją twarzą. - Takie młode już więcej się nie spotkamy.

Zachichotała, a ja, zasłaniając dłonią usta, uśmiechnęłam się zdziwiona.

- A więc dobrze, dziękuję - powiedziałam. Podała mi ogień.

- Proszę - odparła. - Ach, zapomnijmy o tej głupiej konewce. Była pęknięta. Czy to nie piękne, że świeci słońce, po tym całym deszczu?

Pokiwałam głową. Tak, było pięknie. Świeciło słońce, a życie znów było pełne niespodzianek.

Tak więc w czwartkowe południe stałam w słońcu na Pere Lachaise z dziwaczną staruszką, która jakby wyszła prosto z filmu Felliniego, i paliłam papierosa. Wokół nas panowała wesoła cisza, a ja miałam wrażenie, że byłyśmy jedynymi osobami na ogromnym cmentarzu.

W oddali widać było muzę Euterpe, uosobienie pogody ducha, która już tak dawno strzeże grobu Fryderyka Chopina. U stóp kamiennego pomnika stało wiele doniczek z kwiatami, bukiety róż tkwiły wetknięte między kraty. Powędrowałam wzrokiem dalej. Niektóre groby miały jeszcze dekoracje z Wszystkich Świętych, dla innych czas się zatrzymał, przyroda

stopniowo odzyskiwała swoje tereny, chwasty i dzikie kwiaty wspinały się na kamienne ogrodzenia. Tutaj zmarli byli zapomniani. A było ich niemało.

- Obserwowałam panią - powiedziała staruszka, patrząc na mnie swoimi mądrymi brązowymi oczami, otoczonymi setką drobnych zmarszczek. - Wyglądała pani, jakby myślała o czymś bardzo pięknym.

Zaciągnęłam się papierosem.

- Rzeczywiście tak było - odparłam z uśmiechem.

- Myślałam o jutrzejszym dniu. Jutro wieczorem idę do Coupole, wie pani?

- A to zbieg okoliczności - zawołała i uradowana pokiwała głową. - Też będę jutro w Coupole. Świętuję osiemdziesiąte piąte urodziny, drogie dziecko. Uwielbiam Coupole i co roku jestem tam w swoje urodziny. Zawsze jem ostrygi, są bardzo dobre.

Nagle ujrzałam damę z Felliniego w otoczeniu dzieci i wnuków, jak świętują przy długim stole w brasserie.

- Wobec tego już teraz życzę pani wspaniałego święta - powiedziałam.

Z żalem pokręciła głową.

- Cóż, tym razem będzie to małe święto - szepnęła. - Bardzo małe, szczerze mówiąc. Tylko ja i kelnerzy, ale oni zawsze są czarujący. - Uśmiechnęła się błogo. - Mój Boże, ileż to się człowiek wybawił w Coupole. To były huczne imprezy. Henry, mój mąż, był dyrygentem w operze, wie pani? I po premierach szampan lał się strumieniami, na koniec wszyscy byli tak cudownie pijani. - Zachichotała. - Tak, to było dawno temu... A George przyjeżdża z dziećmi do Paryża dopiero na Boże Narodzenie. Mieszka w Ameryce Południowej... - Domyśliłam się, że George był jej synem. - Eh hien, a odkąd odszedł mój stary przyjaciel Auguste - przerwała i z żalem popatrzyła na nagrobek przed nami, zza

którego zniknęła konewka - nie ma, niestety, już nikogo, kto by ze mną świętował.

- Och! - wykrzyknęłam. - Bardzo mi przykro.

- Ale wcale nie musi być pani przykro, drogie dziecko, tak to w życiu już jest. Każdy ma swój czas. Czasami leżę wieczorem w łóżku i przeliczam wszystkich swoich zmarłych.

Rzuciła mi konspiratorskie spojrzenie i zniżyła głos.

- Jest ich już trzydziestu siedmiu. - Zaciągnęła się po raz ostatni papierosem i bez namysłu rzuciła niedopałek na ziemię. - A ja wciąż tu jeszcze jestem, co robić? Mogę pani coś powiedzieć, drogie dziecko? Rozkoszuję się każdym cholernym dniem. Moja matka dożyła stu dwóch lat i była pogodna do samego końca.

- Niesamowite - stwierdziłam.

Energicznie wyciągnęła do mnie drobną dłoń, odzianą w czarną skórzaną rękawiczkę.

- Elisabeth Dinsmore - powiedziała. - Ale może pani mówić do mnie Liz.

Wyrzuciłam papierosa i potrząsnęłam jej dłonią.

- Aurelie Bredin - przedstawiłam się. - Wie pani co, Liz? Jest pani pierwszą osobą, którą poznałam na cmentarzu.

- Och, a ja zawarłam już sporo cmentarnych znajomości - zapewniła mnie madame Dinsmore i rozciągnęła czerwone usta w szerokim uśmiechu. - Pani nie była najgorsza.

- Dinsmore... to nie brzmi zbyt francusko - powiedziałam. Już wcześniej zwróciłam uwagę, że wymowa starszej pani miała lekki akcent, jednak przypisywałam to zaawansowanemu wiekowi.

- Bo nie jest - przyznała mi rację. - Jestem Amerykanką, ale od wieków już mieszkam w Paryżu. A pani, drogie dziecko? Co pani będzie robić w Coupole?

- Och, ja... - odparłam, czując, że się czerwienię.

- Spotkam się tam z... kimś.

- Aaaa - powiedziała. - A czy... on jest miły?

Jedną z zalet zaawansowanego wieku było wyraźnie to, że nie traciło się czasu, tylko przechodziło do sedna. Roześmiałam się i zagryzłam dolną wargę.

- Tak... myślę, że tak. Jest pisarzem.

- Mój Boże, pisarz! - wykrzyknęła Elisabeth Dinsmore.

- Ależ ekscytujące!

- Taak - westchnęłam, nie wdając się w szczegóły swojego spotkania. - Ja też jestem dość podekscytowana.

Kiedy pożegnałam się z Mrs. Dinsmore, która zaprosiła mnie w następny wieczór do swojego stolika na coup de Champagne („Ale pani będzie pewnie miała ciekawsze zajęcie niż picie szampana ze starym pudłem, drogie dziecko", dorzuciła, mrugając), postałam jeszcze chwilę przy białym kamieniu.

- Au revoir, tato - szepnęłam. - Mam przeczucie, że ten jutrzejszy dzień będzie wyjątkowy.

I w pewnym sensie miałam rację...

Stałam w długiej kolejce, zaczynającej się przed dużymi szklanymi drzwiami. Mimo że Coupole nie była moją ulubioną restauracją, to była ulubionym miejscem spotkań starych i młodych. Nie tylko turyści tłumnie odwiedzali legendarną brasserie z czerwoną markizą, uchodzącą za największą jadalnię Paryża, która znajdowała się przy ruchliwym bulwarze Montparnasse. Również ludzie interesu i mieszkańcy miasta chętnie tu przychodzili, aby jeść i świętować. Przed kilku laty w sali dansingowej pod restauracją organizowano zawsze w środy wieczory salsy. Teraz jednak fala fascynacji tym tańcem nieco osłabła, w każdym razie nie zauważyłam żadnego plakatu informującego o tym spectacle.

Przesunęłam się w kolejce do przodu i przekroczyłam próg Coupole. Natychmiast otoczył mnie ożywiony gwar.

Kelnerzy ze srebrnymi tacami przemykali między długimi rzędami stołów nakrytych białymi obrusami, nad którymi rozciągało się sklepienie ogromnej sali. Mimo że daremnie by wypatrywać prawdziwej kopuły, wnętrze z pomalowanymi na zielono kolumnami i lampami w stylu art déco pod sufitem zawsze robiło imponujące wrażenie. Restauracja wibrowała życiem - tutejsza dewiza brzmiała se donner en spectacle, a goście wydawali się do niej stosować. Dawno tu nie byłam i z rozbawieniem obserwowałam pstry tłum.

Uprzejmy portier rozdzielał czerwone karteczki wśród gości niemających rezerwacji i odsyłał ich do baru, aby poczekali. Na karteczkach znajdowały się nazwiska słynnych kompozytorów, co kilka minut słyszało się młodego kelnera, który obchodził kontuar i wyraźnie świetnie się bawił, wykrzykując na cały głos niczym dyrektor cyrku: Bach, deux personnes, s'il vous plaît albo Czajkowski, quatre personnes, s'il vous plaît, albo Debussy, six personnes, s'il vous plaît. Wtedy kilkoro czekających podnosiło się i było odprowadzanych do swojego stolika.

- Bonsoir, mademoiselle, vous avez une reservation? Ma pani rezerwację? - spytał mnie portier żwawo, kiedy przyszła moja kolej, a młoda kobieta odebrała ode mnie płaszcz, podając w zamian numerek z szatni.

Skinęłam głową.

- J'ai un rendez - vous avec Monsieur André Chabanais - odparłam.

Portier rzucił okiem na swoją długą listę.

- Ah, oui, zgadza się - powiedział. - Stolik dla trzech osób. Chwileczkę!

Skinął na kelnera, a ten starszy mężczyzna z krótkimi siwymi włosami uśmiechnął się do mnie z zadowoleniem.

- Pozwoli pani za mną, mademoiselle?

Skinęłam głową i poczułam, że moje serce nagle zaczęło szybciej bić. Za pół godziny poznam wreszcie Roberta Millera, który, jak napisał w swoim liście, cieszył się, „że niedługo ujrzy mnie we własnej osobie".

Wygładziłam sukienkę. Była to sukienka z książki, z zielonego jedwabiu. Ta sama, w którą byłam ubrana na zdjęciu posłanym Millerowi. Niczego nie pozostawiłam przypadkowi.

Uprzejmy kelner zatrzymał się tuż przed stolikiem w jednej z wykładanych drewnem nisz.

- Et voilà - powiedział. - Proszę bardzo!

André Chabanais zerwał się z ławy, aby mnie przywitać. Miał na sobie garnitur i białą koszulę z eleganckim granatowym krawatem.

- Mademoiselle Bredin! - wykrzyknął. - Jak miło panią widzieć... proszę usiąść. - Wskazał na swoje miejsce na ławie, sam natomiast stanął przy krześle vis - à - vis.

- Dziękuję.

Kelner odsunął trochę nakryty białym obrusem stół, na którym stały już kieliszki, minęłam go i usiadłam na wyścielanym skórą siedzisku.

André Chabanais również usiadł.

- Czego się pani napije? Szampana dla uczczenia wielkiego dnia? - Uśmiechnął się do mnie.

Poczułam, że się czerwienię, i zdenerwowało mnie to, ponieważ zobaczyłam, że on też to zauważył.

- Proszę nie być bezczelnym - powiedziałam, przyciskając kurczowo torebkę do kolan. - Ale tak, szampan mógłby być.

Obrzucił przelotnym spojrzeniem moje nagie ramiona, następnie znów popatrzył mi w oczy.

- Moje uznanie - odezwał się. - Wygląda pani czarująco, jeśli mogę to tak wyrazić. Do twarzy pani w tej sukience. Podkreśla kolor pani oczu.

- Dziękuję - odparłam i uśmiechnęłam się. - Pan też całkiem nieźle dziś wygląda.

- Ach... - André Chabanais skinął na kelnera. - Dzisiaj odgrywam zaledwie drobną, drugoplanową rolę. - Odwrócił się. - Proszę dwa kieliszki szampana!

- Myślałam, że to moja rola będzie drugoplanowa - powiedziałam. - Przecież jestem tu tylko en passant, że się tak wyrażę.

- Cóż, zobaczymy - stwierdził. - Mimo to może pani odłożyć swoją torebkę. Pani autor pojawi się najwcześniej za kwadrans.

- Chciał pan chyba powiedzieć: pański autor - poprawiłam go i odstawiłam torebkę na bok.

Monsieur Chabanais uśmiechnął się.

- Powiedzmy po prostu nasz autor.

Zjawił się kelner i rozlał szampana. Następnie wręczył nam karty dań.

- Dziękuję, ale czekamy na jeszcze jedną osobę - powiedział szef redakcji i odłożył kartę.

Sięgnął po kieliszek i wzniósł toast. Szampan był lodowaty. Pociągnęłam trzy duże łyki i poczułam, jak zdenerwowanie ustępuje niczym nieskrępowanemu przedsmakowi radości.

- Jeszcze raz dziękuję za zaaranżowanie tego spotkania - powiedziałam. - Szczerze mówiąc, siedzę jak na szpilkach.

Odstawiłam kieliszek z szampanem.

André Chabanais skinął głową.

- Świetnie panią rozumiem. - Odchylił się na oparcie swojego krzesła. - Jestem wielkim fanem Woody'ego Allena. Zacząłem nawet grać na klarnecie, tylko dlatego że on też na nim gra. - Roześmiał się. - Niestety, moja nowa namiętność nie miała szans na rozwój. Kiedy ćwiczyłem, sąsiedzi zawsze stukali w sufit.

Upił łyk i pogładził dłonią biały obrus.

- Cóż, w każdym razie Woody Allen przyjechał później do Paryża na koncert ze swoim śmiesznym jazzowym zespołem starszych panów. Sala, w której zazwyczaj wielkie orkiestry grywały muzykę klasyczną, pękała w szwach, udało mi się zdobyć miejsce w piątym rzędzie. Jak wszyscy pozostali nie przyszedłem tam przede wszystkim dla muzyki. Szczerze mówiąc, Woody Allen nie grał lepiej od przeciętnego jazzmana z knajpy na Montmartre, ale oglądanie z bliska tego starszego gościa, którego znałem z tylu filmów, słuchanie go na żywo, to było coś niewiarygodnie wyjątkowego i bardzo ekscytującego.

Pochylił się do przodu i oparł brodę na dłoni.

- Nawiasem mówiąc, jedna sprawa denerwuje mnie do dzisiaj.

Milczał przez chwilę, a ja wypiłam swojego szampana i również się pochyliłam. Ten Chabanais był dobrym gawędziarzem, ale był też bardzo uważny. Kiedy spostrzegł, że mój kieliszek jest pusty, dał znak kelnerowi i ten przyniósł od razu dwa nowe coups de champagne.

- Ala votre - powiedział redaktor.

Uniosłam swój kieliszek bez protestu.

- A więc jedna sprawa denerwuje pana do dzisiaj... - powtórzyłam zaciekawiona.

- Tak - odparł, wycierając serwetką usta. - Było mianowicie tak: gdy koncert dobiegł końca, zerwał się wielki aplauz. Ludzie wstawali albo tupali, aby uhonorować tego szczupłego, niepozornego mężczyznę, który skromny i skonsternowany, zupełnie jak w swoich filmach, stał na scenie w swetrze i sztruksach. Już pięć razy schodził i wracał, przywoływany gromkimi brawami fanów, gdy nagle na scenę wskoczył barczysty facet w czarnym garniturze. Miał charakterystycznie zaczesane do tyłu czarne włosy, wie pani,

na pierwszy rzut oka wyglądał jak dyrektor lub tenor. W każdym razie uścisnął dłoń zaskoczonemu Allenowi, a następnie podsunął mu długopis i karteczkę. I reżyser dał mu autograf, zanim ostatecznie zszedł ze sceny.

Monsieur Chabanais opróżnił swój kieliszek.

- Chciałbym być tak bezczelny, aby ot tak wskoczyć sobie na scenę. Proszę sobie wyobrazić: taki autograf mógłbym później pokazywać swoim dzieciom. - Westchnął.

- A teraz dobry Woody znów siedzi w Ameryce, biegam na każdy jego film i raczej trudno się spodziewać, abym jeszcze w tym wcieleniu przeżył jego występ na żywo.

Popatrzył na mnie i tym razem w jego brązowych oczach nie dostrzegłam szyderstwa.

- Wie pani co, mademoiselle Bredin, w gruncie rzeczy podziwiam pani upór. Kiedy się czegoś chce, to trzeba chcieć tego naprawdę.

Delikatny dzwonek przerwał jego mowę pochwalną na temat mojej siły woli.

- Przepraszam, to mój. - André Chabanais wyjął komórkę z kieszeni marynarki i odwrócił się na stronę. - Oui?

Zerknęłam na zegarek i zdziwiłam się, że już kwadrans po ósmej. Czas minął tak szybko, w każdej chwili mógł się pojawić Robert Miller.

- Ojej, przykro mi - usłyszałam monsieur Chabanais'go.

- Nie, nie, to żaden problem. Siedzę tu wygodnie. Tylko się nie stresuj. - Zaśmiał się. - Dobrze, na razie. Salut. - Włożył telefon z powrotem do kieszeni.

- To Robert Miller - powiedział. - Nie zakończył jeszcze swoich spraw i najwcześniej będzie tu za pół godziny.

- Popatrzył na mnie dobrodusznie. - Głupio wyszło, że teraz musi pani czekać.

Wzruszyłam ramionami.

- Cóż, najważniejsze, że w ogóle przyjdzie - odparłam, zastanawiając się, gdzie mógł utknąć Robert Miller.

Co robił, kiedy nie pisał książek? Akurat kiedy chciałam o to zapytać, Chabanais powiedział:

- A propos, nie opowiedziała mi pani o liście Millera. Co w nim było?

Uśmiechnęłam się do niego, zakręcając kosmyk włosów na palec.

- Wie pan co, monsieur Chabanais, szefie redakcji Editions Opale? - powiedziałam i zrobiłam efektowną pauzę.

- To nie pańska sprawa.

- Och - westchnął rozczarowany. - Proszę o odrobinę niedyskrecji. Niech pani nie będzie taka, mademoiselle Bredin. Bądź co bądź, dostarczyłem pani ten list.

- Nigdy - powiedziałam. - Znów będzie pan ze mnie żartował.

Zrobił niewinną minę.

- Tak, tak, tak - powiedziałam. - A skąd miał pan mój adres?

Przez krótką chwilę wydawał się poirytowany, potem wybuchnął śmiechem.

- Tajemnica zawodowa. Skoro pani nie chce mi nic zdradzić, to ja też nic nie powiem. Mimo że liczyłem na odrobinę wdzięczności.

- Nie ma szans - wyjaśniłam, upijając łyk szampana. Dopóki nie wiedziałam, co łączyło Roberta Millera ze mną, nie pisnę ani słowa. Przecież Miller wspomniał o „małej tajemnicy".

Szampan powoli uderzał mi do głowy.

- W każdym razie nie sądzę, że nasz autor... - zrobiłam znaczącą pauzę - będzie bardzo zły, kiedy mnie tu zobaczy. Odpowiedział mi w bardzo miły sposób.

- To zdumiewające - odparł monsieur Chabanais.

- Pani list musiał być urzekający.

- Jak dobrze zna pan właściwie Millera? - spytałam, przemilczając „urzekający".

- Och, dość dobrze. Nie można powiedzieć, że jesteśmy zażyłymi przyjaciółmi, uważam, że pod pewnymi względami jest lekko zdziwaczały, ale odważyłbym się stwierdzić, iż znam go absolutnie na wylot.

Czyżbym w jego uśmiechu dostrzegła odrobinę ironii czy tylko mi się zdawało?

- Interesujące - zauważyłam. - On w każdym razie wysoko ceni swojego „wiernego" redaktora.

- Taką mam nadzieję. - André Chabanais zerknął na zegarek. - Wie pani co? Głupio mi, ale jestem już głodny jak wilk. Co by pani powiedziała na to, gdybyśmy zamówili coś do jedzenia?

- Nie wiem - zawahałam się - właściwie nie byłam przewidziana...

Zrobiło się już wpół do dziewiątej i poczułam, że stopniowo i we mnie budził się głód.

- A więc ja zadecyduję - odparł Chabanais i skinął ponownie na kelnera. - Chciałbym jednak złożyć już zamówienie - powiedział. - Proszę dwa, nie, trzy razy curry d'agneau des Indes, a do picia... - stuknął palcem w kartę - to wino, Château Lafite - Rothschild.

- Proszę bardzo.

Kelner zebrał karty i postawił na stole koszyczek z chlebem.

- Skoro już tu pani jest, to powinna spróbować tej słynnej jagnięciny w curry - stwierdził monsieur Chabanais, który miał coraz lepszy humor, i wskazał na ubranych w stroje maharadżów Hindusów, krążących z wózeczkami po restauracji i serwujących jagnięcinę. - Interesuje mnie pani profesjonalna opinia.

Kiedy krótko po dziewiątej telefon redaktora zadzwonił ponownie i Robert Miller ostatecznie zrezygnował ze spotkania w Coupole, było za późno, aby wstać i wyjść, mimo że przez chwilę o tym myślałam.

Wypiliśmy już po kieliszku pysznego, delikatnego jak aksamit czerwonego wina, a na talerzach przed nami parowała legendarna jagnięcina w curry, która - moim zdaniem - wcale nie zasługiwała na miano legendarnej i spokojnie zniosłaby nieco więcej bananów, jabłek oraz wiórków kokosowych.

Monsieur Chabanais zauważył chyba moje krótkie wahanie, gdy ze współczującą miną ogłaszał mi tę wiadomość, a ja, w przypływie bezgranicznego rozczarowania objęłam pękaty kieliszek czerwonego wina.

- A to pech - odezwał się w końcu. - Obawiam się, że teraz będziemy musieli zjeść we dwoje całe curry. - Popatrzył na mnie z komiczną desperacją. - Chyba nie zostawi mnie pani z kilogramem jagnięciny i całą butelką czerwonego wina, prawda? Proszę nie mówić, że myśli pani o tym poważnie!

Pokręciłam głową.

- Nie, naturalnie, że nie. Przecież to nie pana wina. Cóż, chyba nic na to nie poradzimy...

Upiłam łyk wina i zmusiłam się do uśmiechu.

Przyszłam tu na próżno. Na próżno brałam wolny wieczór. Na próżno się wykąpałam, ułożyłam fryzurę, ubrałam w zieloną sukienkę. Na próżno stałam przed lustrem i wymyślałam zdania, które chciałam powiedzieć Robertowi Millerowi. Byłam już tak blisko. Dlaczego choć raz nie mogło mi się udać?

- Ojej, jest pani teraz straszliwie rozczarowana - stwierdził współczująco Chabanais i zmarszczył czoło. - Ach, czasami mam ochotę wystrzelić tego Millera na księżyc. Nie pierwszy raz mu się zdarza odwoływać spotkanie w ostatnim momencie, wie pani?

Popatrzył na mnie swoimi brązowymi oczami i uśmiechnął się.

- A teraz siedzi pani z głupim redaktorem i na pewno myśli, że przyszła tu na próżno oraz że curry nie jest wcale tak bajeczne, jak wszyscy twierdzą... - westchnął. - To rzeczywiście przykre, ale musi pani przyznać, że wino jest wyborne!

Skinęłam głową.

- Tak, przyznaję.

André Chabanais z całych sił starał się mnie pocieszyć i to było mimo wszystko bardzo miłe z jego strony.

- Ach, mademoiselle Bredin, proszę się nie smucić - powiedział teraz. - Jeszcze pani pozna tego autora, to tylko kwestia czasu. Bądź co bądź, odpisał pani, ą to chyba coś znaczy, czy może nie? - Pytająco rozłożył ramiona.

- Tak - powiedziałam, w zamyśleniu wodząc palcem po ustach.

Ten redaktor miał rację. Nic straconego. I w gruncie rzeczy może będzie nawet lepiej, jeżeli zobaczę się z Robertem Millerem sam na sam. W mojej własnej restauracji.

Chabanais pochylił się do przodu.

- Wiem, jestem kiepską namiastką wspaniałego Mr Millera, ale uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby zachowała pani nie najgorsze wspomnienia z tego wieczoru i może jednak obdarowała mnie maleńkim uśmiechem.

Pogładził mnie po dłoni i przytrzymał ją odrobinę za długo, niż to było konieczne.

- Wierzy pani tak mocno w przeznaczenie, mademoiselle Bredin. Jak pani sądzi, czy to, że siedzimy tu teraz we dwoje i trzymamy się za ręce, mogłoby mieć jakiś głębszy sens?

Mrugnął do mnie, a ja roześmiałam się mimo woli, zanim cofnęłam swoją dłoń i pacnęłam go po palcach.

- Niektórym wystarczy dać palec, a oni od razu chcą całą rękę - odparłam. - Przeznaczenie nie może mieć aż tak wielkiej mocy, monsieur Chabanais, proszę mi lepiej dolać trochę wina.

Rozdział 10

Wieczór przebiegał lepiej, niż myślałem. Aurelie Bredin przybyła do Coupole wyraźnie podekscytowana i w pogodnym nastroju - pięć minut za wcześnie i w zielonej jedwabnej sukience, co zauważyłem z uśmiechem.

Wyglądała fantastycznie, a ja musiałem się bardzo kontrolować, żeby nie gapić się na nią cały czas. Próbowałem się trochę przekomarzać, uprzyjemniając jej czas. W stanie radosnego oczekiwania Aurelie okazała się znacznie przystępniejsza, niż myślałem.

Potem, zgodnie z umową, na moją komórkę zadzwonił Silvestro. Podjął się tego zadania, nie zadając zbędnych pytań.

- No, jak leci? - spytał, a ja odpowiedziałem:

- Ojej, przykro mi.

- To brzmi dobrze - stwierdził.

- Nie, nie, to żaden problem. Siedzę tu wygodnie. Tylko się nie stresuj - odpowiedziałem.

- A więc powodzenia i na razie - rzucił i rozłączył się. Aurelie Bredin przełknęła spóźnienie, a ja zamówiłem dla nas szampana. Piliśmy i rozmawialiśmy, naraz spytała, skąd właściwie znam jej prywatny adres. Spanikowałem.

Udało mi się jednak zgrabnie wybrnąć z opresji. Poza tym ona też nie zdradzała mi swoich tajemnic. Słowem nie wspomniała, co znajdowało się w liście, który do niej napisałem. I oczywiście nie przyznała się, że zaprosiła Roberta Millera do swojej pięknej restauracji.

Kwadrans po dziewiątej jedliśmy już jagnięcinę w curry i mademoiselle Bredin wyjaśniała mi właśnie, dlaczego nie wierzy w przypadki. Wtedy Silvestro zadzwonił ponownie i zapytał:

- I co, już ją poderwałeś?

Jęknąłem do telefonu i teatralnym gestem przejechałem po włosach.

- Nie, nie sądzę... ach, to wkurzające! Roześmiał się i powiedział:

- A więc spiesz się, mój chłopcze! Na co odparłem:

- Strasznie mi przykro, nie mógłbyś jednak zajrzeć choć na chwilę?

Kątem oka widziałem, jak mademoiselle Bredin odkłada zaniepokojona sztućce i patrzy na mnie.

- Tak, my... ehe, to znaczy... zamówiłem sobie już coś do jedzenia, może jednak ci się uda? - Nie odpuszczałem.

- Może jednak ci się uda! - powtórzył Silvestro, śmiejąc się szyderczo. - Powinieneś się słyszeć. To się nazywa zaangażowanie. Ale nie, nie przyjdę. Życzę ci udanego wieczoru z tą małą.

- Co najmniej dwie godziny... aha... totalnie wykończony... hm... hm... cóż, i nic nie da się zrobić...? Tak... wielka szkoda... jasne.... Daj znać po powrocie do domu - powtórzyłem cichnącym głosem nigdy niewypowiedziane słowa Millera.

- Kończ już, to wystarczy - stwierdził Silvestro. - Ciao, ciao!

Rozłączył się.

- OK... nie, wszystko rozumiem... OK... to żaden problem... do widzenia.

Położyłem komórkę obok talerza i popatrzyłem głęboko w oczy mademoiselle Bredin.

- Miller właśnie zrezygnował - powiedziałem i wciągnąłem powietrze. - Wystąpiły jakieś komplikacje. Potrzebuje jeszcze co najmniej dwóch godzin, zanim skończy, może nawet więcej, jak twierdzi, a już teraz jest totalnie wykończony. Uważa, że nie ma sensu się spotykać, ponieważ jutro musi wracać bardzo wcześnie.

Widziałem, że przełyka ślinę i sięga po kieliszek, jakby to było koło ratunkowe. Przez chwilę obawiałem się, że zwyczajnie wstanie i wyjdzie.

- Przykro mi - wyznałem ze skruchą. - Może to nie był jednak najlepszy pomysł.

A kiedy pokręciła głową i nie ruszając się z miejsca, powiedziała, że przecież to nie moja wina, poczułem wyrzuty sumienia. Ale co miałem robić? Nie mogłem wyczarować żadnego Roberta Millera. Ostatecznie ja byłem już na miejscu.

Nastawiłem się więc na pocieszanie mojej towarzyszki, pozwoliłem sobie na kilka żartów na temat jej wiary w przeznaczenie. Przez słodką chwilę udało mi się nawet potrzymać ją za rękę, którą jednak cofnęła i klepnęła mnie po palcach jak niesfornego chłopczyka.

Później spytała, co porabia Robert Miller, kiedy nie pisze książek, i co to było za ważne spotkanie, na co odparłem, że dokładnie nie wiem, jest przecież inżynierem i prawdopodobnie wciąż jeszcze pełni funkcję doradcy w tym koncernie samochodowym.

Następnie cierpliwie wysłuchałem, co tak bardzo urzekło ją w książce Roberta Millera, jakie to niewiarygodne, że trafiła na nią w odpowiednim momencie, i co ją rozbawiło, a co poruszyło. Mile połechtany słuchałem tego, co mówi, patrząc w jej zielone oczy, które stały się zupełnie łagodne.

Nieraz odczuwałem pokusę, aby wyznać mademoiselle Bredin, że to ja, wyłącznie ja uratowałem jej duszę. Jednak strach, iż mógłbym ją stracić, zanim zyskałbym okazję do zdobycia jej dla siebie, był zbyt wielki.

I tak udawałem zaskoczenie, kiedy - wprawdzie z wahaniem, ale z rosnącą ufnością - opowiadała o znanych mi już aż nadto podobieństwach łączących restaurację i bohaterkę z jej życiem.

- Czy teraz pan rozumie, dlaczego muszę zobaczyć się z tym mężczyzną? - spytała, a ja pokiwałem głową ze zrozumieniem.

Ostatecznie byłem jedyną osobą mającą klucz do tej „brzemiennej w skutki tajemnicy". Tajemnicy, którą o wiele łatwiej było wyjaśnić, niż Aurelie Bredin myślała, chociaż to wyjaśnienie było niemniej brzemienne w skutki.

Gdybym opublikował książkę pod własnym nazwiskiem i ze swoim zdjęciem, dziewczyna o zielonych oczach i czarującym uśmiechu, którą zobaczyłem przez szybę w restauracji i wybrałem na bohaterkę mojej fantazji, we mnie widziałaby mężczyznę zesłanego jej przez los. I wszystko byłoby dobrze.

A tak byłem skazany na kłamstwo i walczyłem z fikcyjnym pisarzem. Cóż, nie całkiem fikcyjnym, jak boleśnie uświadomiłem sobie przy kolejnym pytaniu Aurelie Bredin.

- Zastanawiam się, dlaczego żona opuściła Millera - powiedziała w zamyśleniu, nabijając na widelec resztki jagnięciny ze swojego talerza. - Jest odnoszącym sukcesy inżynierem, musi być serdecznym i dowcipnym człowiekiem, w przeciwnym razie nie mógłby pisać takich książek. I abstrahując od tego, uważam, że wygląda fantastycznie. Mógłby być aktorem, nie sądzi pan? Dlaczego porzuca się tak atrakcyjnego mężczyznę?

Wypiła wino, a ja wzruszyłem ramionami i napełniłem jej kieliszek. Skoro twierdziła, że dentysta wygląda fantastycznie, to będę miał o wiele trudniej. Jak to dobrze, że nigdy nie spotka osobiście Sama Goldberga. Zrobię wszystko, aby temu przeszkodzić!

- Co się stało? Tak nagle pan sposępniał. - Patrzyła na mnie rozbawiona. - Powiedziałam coś niewłaściwego?

- Na litość boską, nie!

Uznałem, że już czas na lekki demontaż atrakcyjnego superbohatera.

- Tylko nigdy nie można zajrzeć za fasadę, prawda? - powiedziałem wymownie. - Dobry wygląd to nie wszystko. Osobiście uważam, że żona nie miała z nim lekko. Mimo że bardzo cenię Millera jako autora.

Mademoiselle Bredin była zdezorientowana.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Ach, nic, gadam głupoty. Proszę zapomnieć, co mówiłem.

Roześmiałem się odrobinę za głośno, zupełnie jakbym chciał zatuszować w ten sposób, że powiedziałam o kilka słów za dużo. Po czym postanowiłem zmienić temat.

- Czy naprawdę chcemy przez cały wieczór rozmawiać o Robercie Millerze? Był wprawdzie powodem, dla którego oboje tutaj przyszliśmy, ale przecież wystawił nas do wiatru.

Podniosłem butelkę i dolałem sobie wina.

- Znacznie bardziej interesuje mnie, dlaczego tak czarująca kobieta jak pani nie jest jeszcze zamężna. Ma pani tyle wad?

Aurelie poczerwieniała.

- Ha, ha - bąknęła. - A pan?

- Pyta pani, dlaczego tak czarujący mężczyzna jak ja nie jest jeszcze żonaty? Czy jakie mam wady?

Upiła łyk wina, a po jej twarzy przemknął uśmiech. Oparła łokcie na stole i popatrzyła na mnie znad splecionych dłoni.

- Wady - powiedziała.

- Hm - odparłem. - Tego się obawiałem. Niech no się zastanowię. - Sięgnąłem po jej dłoń i zacząłem wyliczać na palcach. - Jedzenie, picie, palenie, sprowadzanie pięknych kobiet na manowce... Wystarczy na początek?

Cofnęła dłoń i zaśmiała się rozbawiona, kiwając głową. Patrzyłem na jej usta i myślałem, jak dobrze byłoby je całować.

Przestaliśmy wreszcie rozmawiać o Robercie Millerze i zaczęliśmy mówić o sobie. Konspiracyjne spotkanie zaczęło się przeradzać w prawdziwą randkę. Kiedy podszedł do nas kelner z pytaniem: „Mają państwo jeszcze jakieś życzenie?", zamówiłem kolejną butelkę wina. Już się widziałem w siódmym niebie, gdy wydarzyło się coś, czego nie przewidywało moje romantyczne menu.

Jeszcze dziś zastanawiam się czasami, czy tajemniczy autor nie pogrążyłby się w totalnym zapomnieniu i ja nie zająłbym jego miejsca, gdyby przy naszym stoliku nie usiadła nagle ta dziwaczna starsza kobieta.

- Un, deux, trois - ça c'est Paris!

Tuzin rozbawionych kelnerów zebrał się w półkolu po jednej stronie sali. Wykrzyczeli pełną parą to zdanie, które brzmiało jak zawołanie bojowe i które co wieczór (czasem nawet kilkakrotnie) można było usłyszeć w Coupole. Wśród licznych gości zawsze jest bowiem ktoś, kto obchodzi urodziny.

Pół sali przyglądało się maszerującym gęsiego kelnerom z ogromnym tortem, na którym mnóstwo świeczek iskrzyło się jak fajerwerki. Podeszli do stołu jubilata. Znajdował się on dwa rzędy za naszym i Aurelie Bredin, która patrzyła w tamtą stronę, wyciągnęła szyję, aby lepiej widzieć.

Nagle wstała i pomachała.

Odwróciłem się zdumiony i ujrzałem zadowoloną staruszkę w lśniącej liliowej sukni, która siedziała samotnie przy stoliku - z olbrzymią porcją ostryg przed sobą - i każdemu z kelnerów ściskała dłoń. Następnie popatrzyła w naszym kierunku i odmachała.

- Zna pani tę kobietę? - spytałem.

- Tak, oczywiście! - wykrzyknęła zachwycona i znów pomachała. - To Mrs. Dinsmore. Spotkałyśmy się wczoraj na cmentarzu, czy to nie strasznie komiczne?

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się. Nie uważałem tego za strasznie komiczne. Było wpół do jedenastej, a ja miałem niedobre (ale właściwe) przeczucie, że to koniec naszego pięknego czasu we dwoje.

Kilka minut później poznałem Mrs. Dinsmore, osiemdziesięciopięcioletnią Amerykankę, która przybyła do nas spowita chmurą Opium. Była wdową po dyrygencie, matką syna budującego mosty w Ameryce Południowej, babcią trójki wnuków o blond loczkach i muzą licznych artystów, których łączyła jedna cecha: wszyscy urządzali z Mrs. Dinsmore w Coupole zabawy na cztery fajerki. I wszyscy byli już pod ziemią.

Są ludzie, którzy dosiadają się do stolika i natychmiast podejmują rozmowę. Konwersacja stopniowo zamiera, każdy inny temat gaśnie niczym za słaby płomień i najpóźniej po piętnastu minutach wszyscy słuchają jak urzeczeni opowieści i anegdot tych porywających, żywo gestykulujących osobowości, które niewątpliwie są bardzo ciekawe, jednak raczej nie do zatrzymania.

Obawiam się, że Mrs. Dinsmore była taką właśnie osobą.

Odkąd osiemdziesięciopięciolatka z siwymi loczkami i uszminkowanymi na czerwono ustami zajęła miejsce między nami z okrzykiem: „Co za wspaniała niespodzianka, dzieci, wypijmy bollingera z tej okazji!", nie miałem już najmniejszych szans zwrócić na siebie uwagi Aurelie Bredin.

Natychmiast został podany szampan w srebrnym kubełku, w którym pływały kostki lodu, i nie dało się przy tym nie zauważyć, że Mrs. Dinsmore była absolutną ulubienicą Alaina, Pierrea, Michaela, Igora i wszystkich pozostałych

kelnerów. Nagle nasz stolik stał się najważniejszy dla pracowników Coupole. O spokoju mogłem zapomnieć.

Po dwóch kieliszkach szampana uległem charyzmie nieustannie gadającej starszej pani i zafascynowany obserwowałem piórka na jej czapeczce, która podskakiwała przy każdym ruchu głową. Aurelie Bredin, która słuchała Mrs. Dinsmore z zapartym tchem i wyjątkowo się przy tym bawiła, posyłała mi spojrzenie zawsze wtedy, gdy wspólnie wybuchaliśmy śmiechem, słysząc o dziwacznych przeżyciach tej zasługującej na uwagę damy. Im więcej piliśmy, tym weselej było przy naszym stoliku, po pewnym czasie bawiłem się tak samo jak wszyscy.

Niekiedy Mrs. Dinsmore przerywała swoje pocieszne monologi, aby ściągnąć na nas uwagę pozostałych gości na sali (jak na starszą panią wyglądała zdumiewająco dobrze), i pytała, czy już kiedyś świętowaliśmy urodziny w Coupole („Koniecznie powinien pan kiedyś spróbować, to jest zawsze przednia zabawa!"). Potem wyciągnęła z nas daty urodzin (w ten sposób dowiedziałem się, że Aurelie Bredin będzie je obchodzić za mniej więcej dwa tygodnie, mianowicie szesnastego grudnia) i klasnęła w dłonie z zachwytem.

- Drugi kwietnia i szesnasty grudnia - powtórzyła. - Baran i Strzelec. Dwa znaki ognia, wspaniale do siebie pasują!

Nieszczególnie znałem się na astrologii, ale w tym punkcie oczywiście chętnie przyznałem jej rację. Ona sama przyszła na świat w ostatnim dniu znaku Skorpiona, jak oświadczyła nam chwilę później. I kobiety spod tego znaku były w równym stopniu błyskotliwe co niebezpieczne.

Coupole pustoszała stopniowo, tylko przy naszym stoliku wciąż jeszcze świętowano, pito i śmiano się, a Mrs. Dinsmore najwyraźniej przeżywała jedną ze swoich najszczęśliwszych chwil.

- Dokładnie przy tym stoliku... a może to był ten naprzeciwko...? No, wszystko jedno, siedziałam z Eugeneem i obchodziłam swoje urodziny - wspominała akurat, kiedy jeden z kelnerów dolewał szampana.

- Jakim Eugene'em? - spytałem.

- Ionesco naturalnie - odparła niecierpliwie. - Och, on czasami był naprawdę niezwykle zabawny, nie tylko w swoich sztukach! A teraz leży na cmentarzu Montparnasse, biedak! Ale odwiedzam go od czasu do czasu. - Zachichotała zamyślona. - Pamiętam jeszcze całkiem dobrze, tego wieczoru, niestety, zapomniałam, które to były urodziny, to przydarzyło się dwa razy... Wyobrażacie sobie? Dwa razy...! - Popatrzyła na nas ciemnymi oczkami, które błyszczały jak guziki. - Niezdarny kelner wylał czerwone wino na jasnoszarą marynarkę Eugene'a. A wiecie, co on wtedy powiedział? Powiedział: „Nie szkodzi. Szczerze mówiąc, kolor tego garnituru nigdy tak naprawdę mi się nie podobał!".

Mrs. Dinsmore odrzuciła głowę i zaśmiała się piskliwie, a piórka na jej czapeczce zakołysały się, jakby zaraz miały odfrunąć.

Po tej drobnej dygresji na temat życia prywatnego Eugene'a Ionesco, o której na pewno nie było wzmianki w żadnej biografii, Mrs. Dinsmore zwróciła się do mnie.

- A pan, młody człowieku? Co pan pisze? Aurelie mówiła, że jest pan pisarzem! Cudowny zawód - dodała, nie czekając na moją odpowiedź. - Muszę powiedzieć, że pisarze zawsze byli dla mnie odrobinę ciekawsi od aktorów czy malarzy.

Następnie pochyliła się do Aurelie, a jej czerwone usta zbliżyły się do ślicznego uszka mademoiselle Bredin, które, jak dopiero teraz zauważyłem, lekko odstawało, i szepnęła:

- Dziecko, to jest dokładnie ten właściwy.

Aurelie roześmiała się, zasłaniając dłonią usta, a jej nagły wybuch wesołości zmieszał mnie podobnie jak oko liczność, że starsza pani uważała mnie za pisarza, ale - do cholery, byłem przecież pisarzem, mimo że nie jakimś wielkim literatem, a ponadto byłem przede wszystkim tym właściwym. Z ulgą więc roześmiałem się, wtórując obu paniom.

Mrs. Dinsmore uniosła kieliszek.

- Wie pan co? Wydaje mi się pan bardzo sympatyczny, mój chłopcze - oświadczyła wspaniałomyślnie i klepnęła mnie w udo dłońmi, na których pyszniły się pierścienie z wielkimi kamieniami. - Proszę zwracać się do mnie Liz.

Pół godziny później Liz, mademoiselle Bredin i ja opuściliśmy Coupole jako ostatni goście, serdecznie żegnani przez kelnerów, i wsiedliśmy do wspólnej taksówki. Mrs. Dinsmore zadecydowała („Ja mam urodziny i płacę za taksówkę, to będzie jeszcze fajniejsze!") - że najpierw kierowca odwiezie Aurelie, która siedziała, podobnie jak jubilatka, obok mnie (zostałem posadzony między paniami) i raz po raz opierała swoją głowę z pachnącymi włosami o moje ramię, potem mnie, a na koniec Mrs. Dinsmore mieszkającą gdzieś na Marais. Musiałem przyznać, iż wieczór zakończył się inaczej, niż miałem nadzieję.

Bez wątpienia jednak był to jeden z najzabawniejszych wieczorów, jakie kiedykolwiek przeżyłem.

Tydzień później w niedzielne popołudnie siedzieliśmy z Adamem Goldbergiem w czerwonych skórzanych fotelach Café des Editeurs i opowiadałem mu o Aurelie Bredin oraz tych wszystkich niezwykłych komplikacjach, które w ostatnich tygodniach pojawiły się w moim życiu.

Właściwie czekaliśmy na Sama, który przyjechał z Adamem, ale dentysta wybrał się na Pola Marsowe, aby kupić tam świecące miniaturki wieży Eiffla dla swoich dzieci.

- Oh boy - skwitował Adam, gdy relacjonowałem mu wieczór w Coupole i telefony od Silvestro. - Stąpasz po cienkim lodzie. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę. Nie możesz trochę mniej kłamać?

- I kto to mówi? - odparowałem. - Jeśli mogę przypomnieć, to cała sprawa z pseudonimem i zdjęciem autora była twoim pomysłem!

Nie przywykłem oglądać swojego zazwyczaj niezłomnego przyjaciela tak zaniepokojonego.

- Hej, Adam, co się dzieje? - spytałem. - Przy każdej sposobności powtarzasz mi przecież, żebym nie panikował, a teraz odgrywasz obrońcę moralności?

Uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Już w porządku, wszystko w porządku. Tyle że wcześniej było to coś profesjonalnego. Teraz cała sprawa zyskała osobiste zabarwienie. Nie podoba mi się to. - Zabębnił palcami w podłokietnik fotela. - Uważam, że to niebezpieczne, mój drogi, szczerze. Ona jest kobietą, André. Ma uczucia. Jak sądzisz, co się wydarzy, kiedy odkryje, że wodziłeś ją za nos? Świadomie ją oszukałeś. Ta dziewczyna wywoła wielkie zamieszanie, przyjdzie do wydawnictwa, wypłacze się na przykład u monsieur Monsignaca i wtedy naprawdę będziesz musiał się pakować.

Pokręciłem głową.

- Mój plan jest absolutnie perfekcyjny - odparłem. - Aurelie nigdy nie dowie się prawdy, chyba że ty jej powiesz.

Od wieczoru w Coupole miałem dość czasu, aby się zastanowić, jak postępować dalej. Postanowiłem wysłać niebawem do mademoiselle Bredin kolejny list od Roberta Millera, w którym zaproponuje termin na wspólną kolację w Temps des Cerises. Wiedziałem również, kiedy wypadnie to spotkanie: w urodziny Aurelie Bredin.

Tym razem jednak list musiał przyjść bezpośrednio z Anglii. Dlatego poprosiłem Adama, aby zabrał go ze sobą do Londynu i tam wrzucił do skrzynki pocztowej. Nie zastanawiałem się jeszcze, dlaczego Robert Miller kolejny raz nie przyjdzie. Wiedziałem tylko, że tego wieczoru z jakiegoś powodu, który musiałem wymyślić, stawię się zamiast niego. W każdym razie zdawałem sobie sprawę, że nie mogę już pośredniczyć w ponownym odwołaniu spotkania tuż przed terminem.

Teraz byłby to zbyt duży zbieg okoliczności.

Kiedy siedziałem z angielskim agentem Roberta Millera w kawiarni - restauracji, gdzie spotykali się redaktorzy i wydawcy, aby pod stojącymi przy ścianach regałami pełnymi książek rozmawiać o wielkiej i tej mniej wielkiej literaturze, przyszedł mi do głowy pomysł, który podobał mi się coraz bardziej. Musiałem go najpierw dopracować, aby Adam Goldberg zechciał wziąć w nim udział. Trzymałem więc język za zębami i wysłuchiwałem rozważań swojego przyjaciela.

- A jeśli ta mała dowie się o spotkaniu z czytelnikami i na nie przyjdzie? Nie możemy przecież wtajemniczyć mojego brata w twoje miłosne rozgrywki. Sprawa skomplikuje się jeszcze bardziej. Sam i tak miał już spory problem z utrzymaniem w tajemnicy przed żoną prawdziwego powodu przyjazdu do Paryża. - Spojrzał na mnie. - I zanim teraz zapytasz, nie, nie zgolił brody. Szwagierce bardzo się ona podoba. Pomyślałaby jeszcze, że Sam ma kochankę, a tego nie chciał ryzykować.

Skinąłem głową.

- OK, nieważne. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego, że autor zapuszcza brodę, prawda? Ale nie może się wygadać. Nie ma żony. Mieszka samotnie ze swoim pieskiem Rockym, pamiętasz? W tej głupiej chacie.

(Kiedy tworzyliśmy życiorys autora, Adam był szczególnie dumny z wymyślenia Rocky'ego. „Słodki psiak zawsze przyciąga", stwierdził wtedy. „Kobiety na to lecą!").

- Zaraz będziesz mógł powtórzyć mu wszystko osobiście - powiedział Adam, zerkając na zegarek. - Gdzież on się podziewa?

Obaj popatrzyliśmy automatycznie w stronę drzwi, ale Sam Goldberg nie śpieszył się. Adam upił łyk swojej szkockiej whisky i odchylił się na czerwone oparcie ze skóry.

- Kompletnie przechlapane, że już nigdzie nie można tu zapalić - odezwał się. - Nie spodziewałem się po was, Francuzach, że tak łatwo się ugniecie. Liberté toujours, co?

- Taak, pech - stwierdziłem. - Czy twój brat zna treść powieści?

Adam skinął głową.

- A więc co zrobisz - wrócił nagle do swoich obaw - kiedy mademoiselle Bredin dowie się o spotkaniu z czytelnikami?

Zaśmiałem się protekcjonalnie.

- Stary - powiedziałem. - Ona jest restauratorką. Przeczytała raz książkę, przypadkowo moją. Nie Jest osobą, która zazwyczaj chadza na spotkania z autorami, tu vois? Poza tym cała impreza odbędzie się w małej księgarni na Ile Saint - Louis. Nie są to jej strony. I nawet jeśli przeczyta wywiad w „Le Figaro", który ukaże się najwcześniej następnego dnia, to, sim sala bim, będzie musztarda po obiedzie.

Po raz pierwszy w swojej karierze wydawniczej byłem zadowolony, że w tym wypadku marketing zadziałał „suboptymalnie", jak wyraziła się Michelle Auteuil.

- Księgarnie w lepszych miejscach były już zajęte, a Robert Miller nie jest wprawdzie zupełnie nieznany, ale nie jest też magnesem dla publiczności, o który zabiegałyby księgarnie, w każdym razie jeszcze nie. - Popatrzyła z żalem znad czarnych oprawek okularów. - W tych okolicznościach

powinniśmy być zadowoleni z librairie Capricorne. Właściciel jest czarującym starszym panem, który zamawia powieść partiami i ma swoją stałą klientelę. Księgarnia będzie pełna.

Również uznałem, że możemy być zadowoleni. Adam wydawał się nie do końca przekonany.

- Sim sala bim - powtórzył, a z jego angielskim akcentem zabrzmiało to bardzo komicznie. - Mam nadzieję, że masz rację, Andy. Mimo to zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej uciszyć całą tę sprawę z mademoiselle Bredin. Z tego, co opowiadałeś, chyba ją to trochę przerosło. Dość strange ta mała. Nie mógłbyś po prostu dać sobie z nią spokój?

- Non - rzuciłem.

- OK - powiedział Adam. Milczeliśmy przez chwilę.

- Zrozum, Adamie - odezwałem się w końcu. - To nie jest jakaś tam kobieta. To jest ta kobieta! The ony and only. I nie jest ani trochę strange, po prostu ma bujną fantazję i wierzy w siły wyższe. Przeznaczenie.

Pomieszałem trzy łyżeczki cukru w swoim espresso i upiłem łyk gorącej, słodkiej zawiesiny.

- Przeznaczenie - powtórzył Adam i westchnął.

- Tak, co w tym złego? Nawiasem mówiąc, i tak niedługo uśmiercę Roberta Millera. Zaraz po kolacji w Temps des Cerises stary dobry Miller zejdzie ze sceny.

- Czy to znaczy, że więcej nic nie napiszesz? - Adam wyprostował się w fotelu, zaniepokojony.

- Tak - odparłem - właśnie to znaczy. Podwójne życie jest dla mnie zbyt stresujące. Ostatecznie żaden ze mnie James Bond.

- Odbiło ci? - spytał zdenerwowany. - Teraz, kiedy powieść zaczęła wreszcie schodzić, chcesz się poddać? Ile sprzedaliście do tej pory? Pięćdziesiąt tysięcy? Pomyśl logicznie. Umiesz dobrze pisać i byłbyś głupcem, gdybyś już nic więcej nie napisał. Masz potencjał. Poza tym powoli budzi

się zagranica. Na moim biurku leżą oferty z Niemiec, Holandii i Hiszpanii. Wierz mi, to dopiero początek. A na drugą powieść ustawimy poprzeczkę od razu nieco wyżej. Zrobimy z niej bestseller.

- Na litość boską - powiedziałem. - Mówisz jak Monsignac.

- Nie chcesz bestsellera? - zdumiał się Adam.

- Nie w takich okolicznościach - odparłem. - Chcę odzyskać spokój. Dopiero co przekonywałeś, że te wszystkie kłamstwa są niebezpieczne, a teraz chcesz je kontynuować?

Adam uśmiechnął się subtelnie.

- Jestem profesjonalistą - powiedział stuprocentowy angielski dżentelmen.

- Jesteś megalomanem - stwierdziłem. - A jak wyobrażasz to sobie w przyszłości? Autor będzie pisał swoją powieść gdzieś na końcu świata? W Nowej Zelandii czy na biegunie północnym? A może za każdym razem będziemy ściągać twojego brata?

- Jeżeli wszystko ułoży się dobrze, to kiedyś można będzie przyznać się do prawdy. - Adam odchylił się zrelaksowany. - Kiedy nadejdzie czas, zrobimy z tego świetną historię. Musisz wreszcie pokapować, jak działa ta branża, André: sukces zawsze przyznaje ci rację. Dlatego uważam, że Robert Miller koniecznie powinien pisać dalej.

- Po moim trupie - odparłem. - Uważam, że dobry autor to martwy autor.

- Hi, fellows - powiedział Samuel Goldberg. - Mywicie może o mnie?

Sam Goldberg niepostrzeżenie podszedł do nas i najwyraźniej usłyszał końcówkę naszej zażartej dyskusji. A więc to było moje alter ego: w granatowej budrysówce i czapce w szkocką kratę, obładowany plastikowymi

reklamówkami z wieżą Eiffla oraz pastelowymi pudełkami z cukierni Ladurée.

Przyglądałem mu się zaciekawiony. Miał krótkie jasne włosy i niebieskie oczy jak jego brat. Był niestety rzeczywiście tak przystojny jak na zdjęciu. I mimo że musiał już być blisko czterdziestki, emanował młodością, której niektórzy mężczyźni nigdy nie tracą, niezależnie od wieku. Nawet broda tego nie zmieniła - szczególnie teraz, kiedy na jego twarzy pojawił się łobuzerski uśmiech w stylu Brada Pitta.

- Hi, Sam, gdzie się podziewałeś przez cały czas?

- Adam wstał i przywitał brata przyjacielskim klepnięciem w ramię. - Już myśleliśmy, że zabłądziłeś.

Sam wyszczerzył się w uśmiechu, pokazując rząd olśniewająco białych zębów. Jako dentysta musiał sprawiać bardzo wiarygodne wrażenie i pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że będzie równie przekonujący jako autor.

- Shopping - wyjaśnił, a ja zauważyłem, że głos ma bardzo podobny do brata. - Obiecałem, że przywizę coś rodzinie. Oh dear, a kolejka w tym Ladurée była so long! Czułem się już jak w dymu. - Roześmiał się. - Tyle Japanese people i wszyscy chcą kupować torciki i te kolorowe rzeczy. - Wskazał na pudełko z makaronikami. - Naprawdę są takie smaczne?

- To jest André - przedstawił mnie Adam, a Sam uścisnął mi dłoń.

- Miło pyna widzieć - powiedział, rozpromieniając się.

- Tyle już o pynu słyszałem.

Miał mocny uścisk.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy - odparłem lekko spięty. Oklepane frazesy. - Dziękuję, że przyjechał pan do Paryża, Sam. Naprawdę pomoże nam pan wyjść z tego pasztetu.

- Oh, yes! - Uśmiechnął się pod nosem i kiwnął głową.

- Z pasztetu - powtórzył. - Tak, tak. Adam wszystko mi pywiedział. Wy dwaj wykrynciliście niezły numer, co? Muszę pywiedzieć, że byłem zaskoczony, że napisałem ksinżkę. - Mrugnął do mnie. - Na szczynście mym dobry humor.

Z ulgą skinąłem głową. Adam najwyraźniej odwalił kawał dobrej roboty. Pomimo że jego brat początkowo się denerwował, kiedy nieoczekiwanie został wciągnięty do tego spisku, teraz sprawiał wrażenie wyluzowanego.

- Jesteśmy teraz... no, jak to się mywi... bracia w duchu? - ciągnął dalej. - Well, mym nadzieję, że wszystko pyjdzie dobrze z naszym kompotem.

Roześmieliśmy się wszyscy trzej. A potem usiedliśmy i mój brat w duchu zamówił herbatę z mlekiem i tartę jabłkową, następnie rozejrzał się po Les Editeurs.

- Lovely place - stwierdził z uznaniem.

W ciągu następnych dwóch godzin, które spędziliśmy na wpajaniu Samowi Goldbergowi jego nowej tożsamości, okazało się, że brat Adama był prawdziwym poczciwcem, a jego afirmatywny charakter ujawniał się przede wszystkim w dwóch słowach: lovely i sexy.

Lovely był Paryż, świecące złote wieże Eiffla z plastiku dla jego dzieci, tarte au pommes, którą jadł do herbaty, krojąc na drobne kawałeczki, oraz moja książka, z której przeczytał wprawdzie tylko pierwszy rozdział, jednak Adam opowiedział mu jej treść en détail.

Sexy były kelnerki w Les Editeurs, regały z książkami przy ścianach, propozycja Adama, aby wieczorem pokazać mu Moulin Rouge, stary czarny telefon z bakelitu w recepcji jego hotelu i, o dziwo, również mój prastary rolex (miałem go po ojcu jeszcze z czasów, kiedy roleksy miały skórzane bransolety i znacznie skromniejszy design niż dzisiaj).

Z ulgą przyjąłem do wiadomości, że francuski Sama był znacznie lepszy, niż się spodziewałem. Z reguły Anglicy mówią po angielsku i w żadnym innym języku, ponieważ jednak bracia Goldbergowie spędzali często wakacje u wujka w Kanadzie, byli obeznani z tym językiem. Adam z powodów zawodowych władał francuskim płynnie, natomiast jego brat trochę go kaleczył, ale zasób jego słownictwa był duży i najwyraźniej nie bał się występów przed publicznością. Bądź co bądź, wygłaszał już przemówienia na temat profilaktyki i leczenia paradontozy podczas kongresów dentystycznych.

Przedyskutowaliśmy wywiad dla „Le Figaro", który miał się odbyć następnego dnia, później kilka fragmentów przeznaczonych do odczytania wieczorem w księgarni. Wyjaśniłem mu przebieg spotkania autorskiego i doradziłem, aby koniecznie poćwiczył swój nowy podpis jako Robert Miller, żeby nie pomylił się podczas sygnowania książek.

- Zaraz myszę spróbywać! - zawołał, chwycił długopis, kartkę i zamaszystym, okrągłym pismem wykaligrafował swoje nowe imię i nazwisko.

- Robert Miller - powiedział, patrząc z zadowoleniem na podpis. - Wyglunda naprawdę sexy, nie sądzicie?

Po spotkaniu autorskim, które miało się zacząć o ósmej i trwać maksymalnie półtorej godziny, była jeszcze przewidziana kolacja w węższym gronie („W swobodnej atmosferze!", podkreślił monsieur Monsignac), w której naturalnie mieli wziąć udział autor, księgarz (który z pewnością przeczytał książkę), Jean - Paul Monsignac (który przeczytał tylko początek, środek i koniec), Michelle Auteuil (która przejrzała książkę w fazie korekty), Adam Goldberg (który znał całą książkę) oraz moja skromna osoba. Muszę przyznać, że ciarki mnie przechodziły na myśl o tej kolacji w „swobodnej atmosferze".

Spotkanie w księgarni zawsze przebiega mniej więcej tak samo: słowo na powitanie od księgarza, słowo na powitanie od wydawnictwa (w tym przypadku wziąłem to na siebie, ponieważ i tak miałem prowadzić tę imprezę), kilka słów od autora, o tym, że się cieszy, iż może tu być i tak dalej, następnie czyta kilka fragmentów. Potem aplauz. Czy ktoś ma pytanie do autora? Zawsze te same pytania: Dlaczego napisał pan tę książkę? W pana książce występuje chłopiec, który wychowuje się bez ojca - czy pan jest tym chłopcem? Czy zawsze pan chciał zostać pisarzem? Pisze pan nową książkę? O czym będzie? Znów rozgrywa się w Paryżu? A czasami, raczej rzadko, padają pytania: kiedy pan pisze (rano, w południe, wieczorem, nocą), gdzie pan pisze (patrząc na zieleń za oknem, wyłącznie przed białą ścianą, w kawiarni, w klasztorze) i oczywiście: skąd właściwie czerpie pan swoje pomysły?

Często jednak ludzie nie są wcale tak żądni wiedzy albo po prostu są zbyt nieśmiali, aby o coś zapytać, i w tym wypadku księgarz, redaktor lub moderator mówi coś w rodzaju: skoro nikt nie ma już pytań, to dziękuję państwu za przybycie, serdecznie dziękuję również naszemu autorowi, który chętnie teraz podpisze państwa książki. Ponowny aplauz. Potem ludzie podchodzą, aby kupić książki i przedłożyć je do podpisania. Na koniec robi się jeszcze kilka zdjęć.

Wieczór autorski jest miłą, przejrzystą sprawą, gdyby ktoś mnie pytał.

Podczas kolacji w małym gronie czyhało więcej nieprzewidywalnych sytuacji, przede wszystkim jeśli miało się coś do ukrycia. Nie byłem aż tak obyty, abym zdołał przewidzieć wszystkie możliwe i niemożliwe tematy, jakie mogłyby się nasunąć podczas posiłku. Oczyma wyobraźni widziałem przed sobą monsieur Monsignaca, jak pyta

rzekomego Anglika frankofila: „Lubi pan jeść ślimaki?", a ten krzywi z obrzydzeniem twarz. Miałem nadzieję, że nie będzie się dużo mówiło o książkach, ponieważ Sam Goldberg nie był mocny w liście bestsellerów i nie można było wykluczyć, iż Marca Levy'ego uznałby za aktora, a Annę Gavaldę za śpiewaczkę operową.

Z drugiej strony Sam będzie siedział między mną i Adamem, jak między dwoma bodyguardami. I przy odrobinie przytomności umysłu dentysty wieczór może przebiec całkiem znośnie.

Poradziłem Samowi, aby w przypadku drażliwych pytań publiczności czy w trakcie kolacji wymigiwał się niedostateczną znajomością języka. „Oh, sorry, nie cyłkiem zrozumiałem zapytanie", miał wyznawać dobrodusznie, i wtedy któryś z nas przejmie pałeczkę.

Ważne było, aby zapamiętał następujące punkty, które raz po raz mu powtarzaliśmy: mieszkał sam w swojej chacie. Co do miejsca to zgodziliśmy się na malownicze Tunbridge Wells. („Lovely place", stwierdził Sam i „Jak smutno, że nie mogę mić family").

Jego pies Rocky był yorkiem, a nie golden retrieverem, jak początkowo błędnie mówił, a teraz znajdował się pod opieką miłego sąsiada.

Na pytanie, czy jego książka nosi cechy autobiograficzne, powinien odpowiedzieć:

- Ach, proszę państwa, każda książka jest miejscami autobiograficzna. Oczywiście są w niej rzeczy, które sam przeżyłem, o innych tylko słyszałem lub je wymyśliłem.

Do Paryża często przyjeżdżał wcześniej, kiedy pracował jeszcze dla firmy samochodowej, obecnie jednak potrzebuje dużo spokoju i kontaktu z przyrodą, dlatego ceni sobie swoją chatę na odludziu.

Wizyta dziennikarzy w jego domostwie byłaby największym horrorem. (To na wypadek, gdyby wpadł w ręce Michelle Auteuil).

Nie był lwem salonowym.

Kochał francuską kuchnię.

Myśli o drugiej paryskiej powieści, ale to jeszcze długo potrwa (żadnych (!) konkretów na temat treści).

Jego hobby były stare samochody.

Niebezpieczeństwo, że pisarz zostanie wciągnięty we Francji w dyskusję na temat samochodów, uważałem za mało prawdopodobne, mimo to przy pożegnaniu wcisnąłem Samowi do ręki album o oldtimerach.

- Zobaczymy się więc jutro wieczorem - powiedziałem, kiedy staliśmy we trzech przed kawiarnią i Sam Goldberg ochoczo wymachiwał swoimi torbami.

Bracia chcieli zajrzeć jeszcze do hotelu, zanim wyruszą na wieczorny podbój Paryża, a ja marzyłem o tym, aby znaleźć się w domu.

- Dobrze by było, gdybyście mogli przyjść pół godziny wcześniej - wciągnąłem głęboko powietrze. - Nie zawalicie, co?

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił Adam. - Zjawimy się punktualnie.

- Yes, ukołyszemy dzicko - powiedział Sam. A potem nasze drogi się rozeszły.

Większe katastrofy zawsze poprzedza jakiś zwiastun. Jednak dość często można go przeoczyć. Kiedy następnego ranka stałem w łazience i się goliłem, usłyszałem nagle głośny huk. Wybiegłem boso do ciemnego przedpokoju i nadepnąłem na odłamek, zanim jeszcze się zorientowałem, co się stało.

Ze ściany obok wieszaka spadło ciężkie stare lustro. Jego rama z ciemnego drewna pękła, wszędzie leżały potłuczone

kawałki. Klnąc, wyjąłem szkło z krwawiącej stopy i pokuśtykałem do kuchni po plaster.

- Wytrzyma bombardowanie - stwierdził mój przyjaciel Michel, przywożąc mi lustro, które kilka tygodni wcześniej przetransportował metrem z Marché aux Puces, targu staroci przy Porte de Clignancourt do miasta, a potem do mojego mieszkania.

Przesądni ludzie mawiają, że lustro spadające ze ściany przynosi nieszczęście. Bogu dzięki, nie jestem przesądny. Ograniczyłem się więc, klnąc na czym świat stoi, do zmiecenia wszystkich odłamków na kupkę i ruszyłem do wydawnictwa.

W południe spotkałem się z Hélène Bonvin, autorką z blokadą pisania. Siedzieliśmy na pierwszym piętrze Café Flore, jedliśmy assortiment du fromage, i kiedy w końcu ją przekonałem, że to, co dotychczas napisała, uważałem za dobre („Nie mówi pan tego, aby mnie uspokoić, monsieur Chabanais?") i podrzuciłem jej kilka pomysłów na resztę powieści, pośpieszyłem z powrotem do swojego biurka w wydawnictwie.

Kilka sekund później w moim pokoju była madame Petit z wiadomością, że dzwoniła matka i prosiła, abym oddzwonił.

- To brzmiało naprawdę jak coś pilnego - zapewniła, kiedy popatrzyłem na nią spod uniesionych brwi, a ja powiedziałem:

- Ach tak? Dla mojej matki wszystko jest zawsze pilne, przypuszczalnie znów któryś z sąsiadów spadł z drabiny, madame Petit, teraz nie mogę.

Pół godziny później siedziałem w taksówce i byłem w drodze do szpitala. Tym razem nie chodziło o sąsiada.

Maman spontanicznie postanowiła wybrać się w ten poniedziałek na wycieczkę do Paryża i ze wszystkimi torbami

z zakupami przewróciła się na ruchomych schodach Galeries Lafayette.

Czekała ze złamaną nogą na oddziale IV i uśmiechała się do mnie nieśmiało. Wydawała się bardzo malutka, kiedy tak leżała pod kołdrą. Na moment ścisnęło mi się serce.

- Maman, co ty wyprawiasz? - spytałem, całując ją na powitanie.

- Ach, mon petit boubou - westchnęła. - Wiedziałam, że natychmiast przyjedziesz.

Skinąłem głową zawstydzony. Kiedy po godzinie zadzwoniła drugi raz, aby podać adres szpitala, madame Petit była tak uprzejma, że udała, iż właśnie w tym momencie stanąłem w drzwiach. Następnie popatrzyła na mnie z wyrzutem i powiedziała:

- Mówiłam panu, monsieur Chabanais, a teraz niech się pan śpieszy!

Ująłem dłoń mamon i przysięgłem sobie, że od teraz zawsze będę oddzwaniał, choćby tylko krótko. Popatrzyłem na jej unieruchomioną nogę, która zabandażowana spoczywała na kołdrze.

- Boli cię? Pokręciła głową.

- Jest znośnie. Dostałam środek przeciwbólowy, ale jestem od niego śpiąca.

- Jak to się stało? - spytałem.

- Ach, wiesz, w grudniu Galeries Lafayette są przecież zawsze tak pięknie ustrojone. - Spojrzała na mnie błyszczącymi oczami. - Pomyślałam więc, że sobie to wszystko obejrzę, zjem coś i zrobię już trochę zakupów świątecznych. I jakoś zaplątałam się z tymi wszystkimi torbami na ruchomych schodach, poleciałam do tyłu. Wszystko odbyło się bardzo szybko.

- Mój Boże - powiedziałem. - Kto wie, co mogło się wydarzyć!

Skinęła głową.

- Miałam dobrego anioła stróża.

Moje spojrzenie powędrowało w stronę pantofelków na zgrabnych i niekoniecznie płaskich obcasach, które stały przed wąską szafą wnękową z boku łóżka.

- Czy przypadkiem miałaś te buty? - spytałem. Milczała.

- Maman, jest zima, każdy rozsądny człowiek wkłada stabilne buty, a ty robisz bożonarodzeniowe zakupy w szpilkach? Na ruchomych schodach?

Patrzyła spod kołdry z wyraźnym poczuciem winy. Dyskusje o stabilnym i, jak zawsze powtarzałem, stosownym do wieku obuwiu miewaliśmy częściej, ona jednak nie chciała o tym słyszeć.

- Mój Boże, maman, jesteś już starszą panią. Musisz być trochę bardziej ostrożna, wiesz?

- Nie lubię tych babciowatych butów - mruknęła. - Być może jestem już stara, ale wciąż jeszcze mam piękne nogi, może nie?

Uśmiechnąłem się i pokręciłem głową. Matka zawsze była niesamowicie dumna ze zgrabnych nóg. I w wieku siedemdziesięciu czterech lat wciąż jeszcze była dość próżna.

- Tak, naturalnie, masz - powiedziałem - ale połamane na nic ci się nie przydadzą.

Zostałem z nią dwie godziny, kupiłem jej owoce, soki, kilka czasopism i najpotrzebniejsze przybory toaletowe, następnie wróciłem do Editions Opale po swoje dokumenty.

Było już wpół do szóstej, nie opłacało mi się wracać do domu. Postanowiłem więc pojechać do księgarni prosto z wydawnictwa. Kiedy przyszedłem, madame Petit już nie było, i dosłownie w ostatnim momencie, akurat miałem zgasić światło, zauważyłem karteczkę, którą przykleiła mi do lampki. „Jak się czuje Pańska mama?", przeczytałem. „Niejaka Amélie Bredin prosi o telefon".

Dziś zastanawiam się, czy najpóźniej w tym momencie nie powinny odezwać się w mojej głowie wszystkie dzwonki alarmowe. Przeoczyłem jednak te sygnały.

Mała księgarnia przy rue Saint - Louis była zapełniona do ostatniego miejsca. Stałem z Pascalem Fermierem, siwowłosym właścicielem librairie Capricorne w pomieszczeniu socjalnym i zerkałem przez szparę w ciemnoszarej zasłonie, która oddzielała je od reszty księgarni. Obok mnie na podłodze piętrzyły się katalogi z najróżniejszych wydawnictw, kilka kubków i talerzy stało na regale nad zlewem. Kartony ustawione jeden na drugim sięgały sufitu, obok buczała lodówka.

Robert Miller alias Sam Goldberg stał obok mnie i trzymał się kieliszka wina.

- How lovely! - wykrzyknął, kiedy przed godziną przekroczył próg zaczarowanej księgarni monsieur Fermiera. Teraz jednak był trochę podenerwowany i prawie wcale się nie odzywał. Raz po raz otwierał książkę w miejscach, które zaznaczyłem mu czerwonymi karteczkami.

- Moje uznanie - zwróciłem się do starego księgarza. - Pańska księgarnia jest pełna!

Fermier skinął głową, a jego dobrotliwa twarz się rozpromieniła.

- Sprzedaż książki monsieur Millera szła przez cały czas świetnie - odparł. - A kiedy w zeszłym tygodniu wywiesiłem na wystawie plakat informujący o spotkaniu z autorem, wiele osób z naszej dzielnicy się zainteresowało i kupiło bilety. Nie spodziewałem się jednak, że przyjdzie tak dużo ludzi.

Odwrócił się do Sama, który mocno skoncentrowany wpatrywał się przed siebie.

- Najwyraźniej ma pan dużo fanów, Mr Miller - powiedział. - To naprawdę miło, że mógł pan przyjechać.

Wyszedł przed zasłonę, uśmiechnął się w stronę pełnych rzędów i podszedł do drewnianego stolika, ustawionego na lekkim podwyższeniu na tyłach pomieszczenia. Na stoliku znajdował się mikrofon, obok szklanka i karafka z wodą. Za stolikiem krzesło.

- Zaczyna się - szepnąłem do Sama. - Spokojnie, będę siedział w pobliżu. - Wskazałem na drugie krzesło stojące nieco z boku na podwyższeniu.

Sam odchrząknął.

- Mym nadzieję, że niczego nie pomiszam.

- Będzie dobrze - powiedziałem, podczas gdy Pascal Fermier stukał w mikrofon, i ścisnąłem jego ramię. - Jeszcze raz dziękuję!

Następnie wyszedłem zza zasłony i stanąłem obok właściciela księgarni, który sięgnął teraz po mikrofon. Odczekał, aż umilkną szepty i szuranie krzesłami, następnie skromnie powitał zebranych i przekazał mikrofon w moje ręce. Podziękowałem i popatrzyłem na publiczność.

W pierwszym rzędzie siedziała połowa wydawnictwa, cała redakcja stawiła się w komplecie, nawet madame Petit, której nie sposób było nie zauważyć w ciemnoczerwonym kubraku, tronowała na swoim krześle i mówiła coś właśnie do Adama Goldberga. Jean - Paul Monsignac, tym razem w musze, zajął miejsce obok Florence Mirabeau, która była przynajmniej tak samo podniecona jak Sam Goldberg. Chyba pierwszy raz przyszła na wieczór autorski.

Na skraju rzędu, obok fotografa, jak królowa siedziała nadzwyczaj zadowolona Michelle Auteuill, jak zwykle w czerni. „Ten pański Miller jest przesłodki, wspaniale poszło z dziennikarzami", rzuciła mi wcześniej, kiedy zjawiłem się w księgarni.

- Szanowni państwo - zacząłem - chciałbym przedstawić państwu autora, który z naszego pięknego miasta uczynił

miejsce akcji swojej wspaniałej powieści. Właściwie mógłby teraz siedzieć wygodnie przy kominku w swojej wiejskiej chacie, a mimo to podjął trud podróży, aby odwiedzić nas tu dzisiaj i przeczytać kilka fragmentów. Jego powieść nosi tytuł Sekretne składniki miłości. Równie dobrze ten tytuł mógłby brzmieć Anglik w Paryżu, ponieważ książka opowiada o tym, co się dzieje, kiedy Anglik próbuje wypromować w Paryżu popularną angielską markę samochodu, a jeszcze bardziej o tym, co się dzieje, kiedy Anglik zakochuje się we francuskiej kobiecie. Proszę przywitać wraz ze mną Roberta Millera!

Rozległy się oklaski, publiczność patrzyła wyczekująco na szczupłego, zwinnego mężczyznę w koszuli i kamizelce, który ukłonił się lekko, następnie zajął miejsce za stołem.

- A więc - zaczął Robert Miller i z uśmiechem odchylił się na oparcie krzesła. - W mojej chycie jest pięknie, muszę jednak powidzieć, że tu też jest przytulnie. - To były jego pierwsze słowa.

Kilka osób roześmiało się życzliwie.

- Tak, naprawdę - kontynuował zachęcony Miller. - Ta ksingyrnia jest jak... eee... mój salon, tylko że nie mam tyla ksinżek. - Rozejrzał się. - Wow - westchnął. - Naprywdę sexy.

Nie wiedziałem, co w księgarni może być sexy - czy to był angielski humor? - ale publiczność przyjęła to świetnie.

- Anyway, chcę państwu podziękować za to, że tu przyszli. Nistety, nie mywię tak dobrze po francusku jak wy, ale to nie tykie złe dla Inglika.

Ponowny śmiech.

- A więc - powiedział Robert Miller - zaczynamy.

Był to bardzo ucieszny odczyt. Brat Adama, zagrzewany reakcją swoich fanów, osiągnął szczytową formę. Czytał, przejęzyczał się w zabawny sposób, dowcipkował, a słuchacze byli zachwyceni. Muszę przyznać, że sam nie zrobiłbym tego lepiej.

Na koniec zerwał się wielki aplauz. Zerknąłem na Adama, który konspiratorsko skinął mi głową i wyciągnął kciuk w górę. Monsieur Monsignac klaskał z uradowaną miną i powiedział coś do mademoiselle Mirabeau, która podczas całego wieczoru słuchała autora z zapartym tchem. Kiedy atrakcyjna blondynka z piątego rzędu spytała go o nową powieść, odstąpił od naszego wcześniejszego planu.

- Och tak! Naturalnie, że byndzie nowa powiść, jest prawie gotywa - oświadczył z samouwielbieniem, zapominając chyba na chwilę, że nie był prawdziwym autorem.

- O czym traktuje pańska nowa powieść, monsieur Miller? Czy znów rozgrywa się w Paryżu?

Autor pokiwał głową.

- Tak, naturylnie! Kocham to piękne miasto. I tym razem mój bohater to angielski dentysta, który zakochyje się na kongresie w tancerce z Moulin Rouge - fantazjował.

Zakaszlałem ostrzegawczo. Przypuszczalnie zainspirowała go nocna wycieczka po Paryżu. Miller zerknął w moją stronę.

- Well, nie mygę jeszcze wszystkiego zdradzać, w przeciwnym ryzie mój editor mnie zbeszta i nikt nie kypi mojej nowej ksinżki - stwierdził przytomnie.

Monsieur Monsignac roześmiał się, a wraz z nim wielu innych. Kręciłem się niecierpliwie na krześle i też usiłowałem się uśmiechać. Dotąd wszystko układało się dobrze, jednak powoli zbliżał się czas, aby dentysta skończył. Podniosłem się.

- Dlaczego zapuścił pan brodę, Mr Miller? Ma pan coś do ukrycia? - zawołała jakaś wścibska dziewczyna z włosami ściągniętymi w kucyka i zachichotała wraz ze swoimi przyjaciółkami na tyłach sali.

Miller pogładził się po gęstej, jasnej brodzie.

- Cóż, pani jest jeszcze bardzo młyda, mademoiselle - odparł. - W przeciwnym ryzie wiedziałaby pani, że żaden

mynżczyzna nie lubi odsłaniać swoich kart. Ale... - zrobił sztuczną pauzę - ...jeśli chce pani wiedzieć, czy jestem w Secret Service, to, niestety, muszę panią rozczyrować. Sprawa jest o wiele prystsza... Mam cudowną... - urwał, a ja wstrzymałem oddech. Chyba nie będzie mówić o swojej żonie? - ...cudowną maszynkę do gylenia - kontynuował, a ja z ulgą odetchnąłem. - I pewnego dnia się zepsuła.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a ja podszedłem do Millera i uścisnąłem jego dłoń.

- To było wspaniałe, dziękujemy! - powiedziałem głośno i zwróciłem się do publiczności, która zgotowała mu frenetyczne oklaski. - Jeżeli nikt nie ma już pytań, to autor chętnie zacznie teraz podpisywać książki.

Aplauz ucichł, pierwsi goście zaczęli podnosić się z krzeseł i podchodzić do przodu, kiedy odezwał się nagle wysoki, lekko zdyszany głos.

- Przepraszam, mam jeszcze jedno pytanie - powiedział, a moje serce na moment przestało bić.

Po lewej stronie, w pobliżu wyjścia, stała mademoiselle Aurelie Bredin.

W swoim życiu prowadziłem już sporo odczytów - w wielu dużych i znaczących księgarniach i z dużo bardziej sławnymi autorami niż Robert Miller. Jednak w trakcie żadnego nie byłem tak bardzo zestresowany, jak tego poniedziałkowego wieczoru w małej librairie Capricorne.

Aurelie Bredin pojawiła się jak spod ziemi, a katastrofa zbliżała się niepowstrzymanie w ciemnoczerwonej aksamitnej sukience i z wysoko upiętymi włosami.

- Mr Miller, czy naprawdę zakochał się pan w paryżance jak bohater pańskiej powieści? - spytała, układając usta w delikatny uśmiech.

Robert Miller popatrzył na mnie zdezorientowany, a ja zamknąłem oczy i oddałem się w opiekę bożej opatrzności.

- Cóż... ehe... - Czułem, że dentysta traci pewność siebie, kiedy przeniósł wzrok na kobietę w czerwonej aksamitnej sukience. - Jak to powidzieć... kobiety w Paryżu są po prostu... tak... niewiarygodnie... czyrujące... i bardzo trydno się im oprzeć...

Najwyraźniej znów się pozbierał i znów przywołał na twarz uśmiech z serii „jestem małym chłopcem i nic na to nie poradzę", zanim dokończył zdanie: - Obywiam się jednak, że na ten temat myszę milczeć, jestem dżentelmenem, you know?

Ukłonił się lekko i kiedy monsieur Monsignac rzucił się do przodu, aby pogratulować Robertowi Millerowi, a potem pozować z nim do zdjęcia, na sali znów rozległy się oklaski.

- Proszę tu podejść, André - zawołał i skinął na mnie. - Pan też musi być na tym zdjęciu!

Chwiejnym krokiem podszedłem do szczęśliwego wydawcy, który objął Roberta Millera i mnie, następnie szepnął mi do ucha:

- Il est ravissant, cet Anglais! Ten Anglik jest fantastyczny.

Pokiwałem głową, zmuszając się do uśmiechu na potrzeby zdjęcia i obserwując ze strachem, jak publiczność ustawia się w kolejkę po podpis autora. A na końcu tej kolejki stanęła kobieta w czerwonej aksamitnej sukience.

Robert Miller usiadł i zaczął sygnować książki, a ja odciągnąłem Adama na stronę.

- Mayday, mayday - szepnąłem zdenerwowany. Popatrzył na mnie zdumiony.

- Przecież wszystko świetnie się udało.

- Adam, nie to mam na myśli: ona tu jest - powiedziałem cicho, czując, że mój głos za chwilę przejdzie w dyszkant. - ONA!

Natychmiast zrozumiał.

- Dobry Boże - wymknęło mu się. - The one and only?

- Tak, właśnie ta - powiedziałem i chwyciłem go za ramię. - To ta kobieta w czerwonej aksamitnej sukience, stoi na końcu kolejki, tam... widzisz? Zaraz poda książkę do podpisu. Adam, pod żadnym pozorem nie może wdać się w rozmowę z twoim bratem, słyszysz? Musimy temu zapobiec.

- OK - odparł. - Chodźmy więc na stanowiska.

Kiedy Aurelie Bredin wreszcie jako ostatnia w kolejce podeszła i położyła książkę na stoliku, przy którym siedział Robert Miller z Adamem i ze mną po bokach, serce zaczęło mi bić jak szalone.

Na moment odwróciła głowę w bok i popatrzyła na mnie chłodno spod ściągniętych brwi. Mruknąłem: Bonsoir, ona jednak nie zaszczyciła mnie żadnym słowem. Bez wątpienia była na mnie zła, a jej małe perłowe kolczyki w kształcie łezki zakołysały się bojowo, gdy odwracała głowę. Następnie pochyliła się do Roberta Millera i jej mina się rozpogodziła.

- Jestem Aurelie Bredin - powiedziała, a ja cicho jęknąłem.

Dentysta uśmiechnął się do niej uprzejmie, niczego nie rozumiejąc.

- Ma pani szczególne życzynie? - spytał jak stary wróbel.

- Nie. - Pokręciła głową i uśmiechnęła się, a potem popatrzyła na niego znacząco.

Robert Miller alias Sam Goldberg również się uśmiechnął, widocznie rozkoszował się uwagą, jaką darzyła go ta piękna kobieta z wysoko upiętymi włosami. Przysunął do siebie otwartą książkę i zastanowił się przez chwilę.

- A więc napiszemy „Dla Aurelie Bredin z bardzo serdecznymi pozdrowieniami od Roberta Millera", będzie dobrze?

Nachylił się do przodu i skupił całkowicie na podpisie.

- Proszę bardzo - powiedział, podnosząc wzrok. Aurelie Bredin znów się uśmiechnęła i zamknęła książkę, nie zaglądając do niej.

Spojrzenie Sama zatrzymało się przez kilka sekund na jej ustach, po czym powiedział:

- Czy mogę pani powiedzieć komplement, mademoiselle? Ma pani naprawdę przepiękne zęby. - Z uznaniem pokiwał głową.

Zaczerwieniła się i roześmiała.

- Takiego komplementu jeszcze nigdy nie słyszałam - stwierdziła zdziwiona. Następnie powiedziała coś, co sprawiło, że skamieniałem ze strachu.

- Jaka szkoda, że nie mógł pan przyjść do Coupole, ja też tam byłam.

Teraz Sam Goldberg się zdziwił. Dosłownie widać było, jak jego mózg pracuje. Nie byłem pewny, czy nasz dentysta nie skojarzył w pierwszym momencie nazwy Coupole z jakimś lokalem, w którym występowały długonogie tancerki z pióropuszami na pupach, w każdym razie patrzył na Aurelie Bredin szklistym wzrokiem, po czym powiedział ostrożnie:

- O tak. Coupole! Koniecznie muszę tam zajrzeć. Lovely place, very lovely!

Aurelie Bredin była wyraźnie poirytowana, róż na policzkach zrobił się o ton ciemniejszy, ale podjęła jeszcze jedną próbę.

- W zeszłym tygodniu dostałam pański list, Mr Miller - powiedziała cicho i zagryzła dolną wargę. - Tak bardzo się ucieszyłam, że mi pan odpisał.

Popatrzyła na niego wyczekująco.

Tego nie było w naszym scenariuszu. Na czole Sama Goldberga wystąpiły czerwone plamy, a mnie oblał pot. Nie byłem zdolny wykrztusić choćby jednego zdania, bezradnie

przysłuchiwałem się więc, jak dentysta dukał z zakłopotaniem:

- Well... to... zrobiłem to z przyjemnością, dużą przyjemnością... wie pani... ja... ja... - szukał słów, które nie przychodziły mu do głowy.

Rzuciłem błagalne spojrzenie Adamowi. Ten popatrzył na zegarek i nachylił się do brata.

- Sorry, Mr Miller, ale naprawdę musimy już iść - powiedział. - Mamy jeszcze kolację.

- Tak - wszedłem mu w słowo, a moje zdrętwienie ustąpiło miejsca panicznemu pragnieniu odseparowania dentysty od Aurelie Bredin. - Naprawdę jesteśmy spóźnieni.

Chwyciłem Sama Goldberga za ramię i dosłownie podniosłem go z krzesła.

- Przykro mi, ale musimy już iść. - Przepraszająco skinąłem głową w stronę Aurelie Bredin. - Wszyscy już czekają.

- Ach, monsieur Chabanais - powiedziała, jakby dopiero co mnie zauważyła. - Dziękuję bardzo za zaproszenie na spotkanie.

Jej zielone oczy zabłysły, kiedy cofnęła się o krok, aby nas przepuścić.

- Miło było pana zobaczyć, Mr Miller - stwierdziła, podając skonsternowanemu Samowi dłoń. - Mam nadzieję, że nie zapomni pan o naszym spotkaniu.

Znów się uśmiechnęła i odgarnęła kosmyki włosów, które wysunęły się spod klamry. Sam popatrzył na nią oniemiały.

- Au revoir, mademoiselle - wykrztusił wreszcie i zanim zdążył cokolwiek dodać, wepchnęliśmy go w tłum gości, którzy zakładali płaszcze i rozmawiali.

- Kim... kim jest ta kobieta? - spytał cicho, raz po raz odwracając głowę w stronę Aurelie Bredin, która stała ze

swoją książką przy stoliku i patrzyła za nim, dopóki nie opuściliśmy księgarni.

Rozdział 11

Było dobrze po północy, kiedy poprosiłam Bernadette, aby zamówiła mi taksówkę. Po pamiętnym wieczorze autorskim w librairie Capricorne wstąpiłyśmy do niej do domu na kieliszek wina. Było mi to potrzebne.

Muszę przyznać, że byłam dość zmieszana, patrząc w ślad za Robertem Millerem, który wciąż się za mną oglądał, zanim w towarzystwie André Chabanais'go i jakiegoś innego mężczyzny w jasnobrązowym garniturze nie wyszedł z księgarni.

- Wiesz, czego nie rozumiem? - powiedziała Bernadette, kiedy zdjęłyśmy buty i rozsiadłyśmy się wygodnie na jej wielkiej sofie. - Ty piszesz list, on pisze list, a potem gapi się na ciebie jak na jakieś zjawisko, kompletnie nie reaguje i zachowuje się tak, jakby nigdy w życiu nie słyszał twojego nazwiska. Uważam, że to dość dziwne.

Skinęłam głową.

- Też nie bardzo potrafię to sobie wytłumaczyć - odparłam, próbując raz jeszcze przypomnieć sobie wszystkie szczegóły krótkiej rozmowy z Robertem Millerem. - Wiesz, sprawiał wrażenie takiego... takiego osłupiałego. Prawie jakby myślami był zupełnie gdzie indziej. Może po prostu nie spodziewał się, że przyjdę na spotkanie autorskie.

Bernadette upiła łyk wina i sięgnęła do misy z orzechami makadamia.

- Hm - powiedziała, gryząc w zamyśleniu. - Ale nie był przecież pijany, prawda? I dlaczego miałby być osłupiały? Jest przecież autorem i nie powinien się tak dziwić, kiedy kobieta, która uważa, że napisał świetną książkę, i która chce go nawet zaprosić na kolację, przychodzi na jego wieczór autorski.

Milczałam, a w duchu uzupełniłam: i wysłał mu nawet swoje zdjęcie. Tego jednak Bernadette nie wiedziała, a ja nie miałam zamiaru jej o tym opowiadać.

- Kiedy wspomniałam, że jesteśmy umówieni, to też tak dziwnie popatrzył.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

- A może był zakłopotany, ponieważ obok stali inni ludzie z wydawnictwa, jak sądzisz?

- Uważam to raczej za mało prawdopodobne... wcześniej przecież wcale nie był nieśmiały. Przypomnij sobie, jak odparowywał pytania!

Bernadette zdjęła klamrę z włosów i rozpuściła je. Jasne kosmyki lśniły w blasku lampy stojącej obok sofy. Przyglądałam się jej, jak gładzi włosy palcami.

- Wyglądam inaczej, kiedy mam upięte włosy? - spytałam.

Popatrzyła na mnie.

- Ja rozpoznałabym cię zawsze. - Roześmiała się. - Dlaczego pytasz? Dlatego że kobieta z książki, która jest do ciebie podobna, ma rozpuszczone włosy? - Wzruszyła ramionami i odchyliła się na oparcie. - Wspominał w liście o tym wieczorze autorskim? - spytała.

Pokręciłam głową.

- Nie, ale być może wszystko się na siebie nałożyło. Pisząc list, prawdopodobnie nie znał jeszcze szczegółów, to możliwe. - Również sięgnęłam do miski, wybierając z niej garść orzechów. - Jednak prawdziwą bezczelnością jest to, że ten cały Chabanais ani słowem nie wspomniał mi o spotkaniu. - Rozgryzłam orzech. - I nawet patrzył z poczuciem winy, kiedy się pojawiłam.

- Może po prostu zapomniał.

- Tak, zapomniał! - rzuciłam zdenerwowana. - I to po tym szalonym wieczorze, który spędziliśmy wspólnie w Coupole? Gdzie ściągnął mnie specjalnie z powodu Millera? Przecież wiedział, że to dla mnie ważne.

Oparłam się plecami o poręcz sofy. Gdyby nie Bernadette, w ogóle nie dowiedziałabym się o tym, że Robert Miller był w Paryżu. Mieszkała na Ile Saint - Louis, często kupowała książki u sympatycznego monsieur Chagalla, który w rzeczywistości nazywał się Pascal Fermier, i całkiem przypadkiem zauważyła rano plakat w oknie wystawowym jego księgarni.

W to zimne poniedziałkowe przedpołudnie byłyśmy umówione na spacer w ogrodach Tuileries i pierwsze pytanie, jakie zadała mi Bernadette, brzmiało, czy wybieram się na wieczór autorski Roberta Millera i czy może pójść ze mną.

- Ostatecznie też chciałabym zobaczyć twojego cudownego autora - oświadczyła, biorąc mnie pod rękę. A ja wykrzyknęłam:

- To niemożliwe! Dlaczego ten głupek z wydawnictwa nic mi nie powiedział?

Po południu pojechałam do librairie Capricorne po bilety na wieczór autorski. Mam szczęście, że restauracja jest dzisiaj zamknięta, pomyślałam, wchodząc po schodach stacji metra.

Kilka minut później stałam przed drzwiami małej księgarni, do której weszłam po raz pierwszy kilka tygodni temu, uciekając przed zatroskanym policjantem.

- A więc znów się widzimy - powiedział monsieur Chagall, kiedy zbliżyłam się do kasy. Rozpoznał mnie natychmiast.

- Tak - odparłam. - Ta powieść bardzo mi się podobała. Uznałam za dobry znak to, że Robert Miller będzie miał spotkanie akurat w tej księgarni, w której znalazłam jego książkę.

- Lepiej się pani już czuje? - spytał stary księgarz. - Wtedy wyglądała pani na taką zagubioną.

- Bo taka byłam - przyznałam - ale ostatnio wiele się wydarzyło. Wiele miłych rzeczy - dodałam. - A wszystko zaczęło się od tej książki.

W zamyśleniu przyglądałam się czerwonemu winu, które kołysało się w moim kieliszku.

- Wiesz, Bernadette, myślę, że ten Chabanais jest po prostu bardzo humorzasty - powiedziałam. - Czasem bywa niezmiernie szarmancki, wręcz przechodzi sam siebie, powinnaś go była widzieć w Coupole, a potem, ni stąd ni zowąd, robi się nieprzyjemny i ponury. Albo każe mówić, że go nie ma.

Po południu zadzwoniłam do wydawnictwa, aby podziękować mu „za pamięć" i poinformować, że sama kupiłam już bilety. Odebrała, niestety, tylko sekretarka, która zbyła mnie i na pytanie, kiedy wróci szef redakcji, wyjaśniła mi opryskliwie, że monsieur Chabanais nie ma teraz w ogóle czasu.

- W każdym razie wygląda sympatycznie - zauważyła Bernadette.

- Tak, to prawda - przyznałam, mając przed oczyma jasnoniebieskie oczy Anglika, który patrzył na mnie tak bezradnie, gdy zagadnęłam go o niedoszłe spotkanie w Coupole. - Mimo brody.

Bernadette wybuchnęła śmiechem.

- Miałam na myśli tego Chabanais'go! Rzuciłam w nią poduszką. Skuliła się szybko.

- Ale Anglik też jest niezły. I był naprawdę zabawny, muszę przyznać - dodała.

- Tak, prawda? - Usiadłam. - Wieczór autorski był bardzo wesoły. Prawi jednak dość dziwne komplementy. - Wtuliłam się w poduchy na sofie. - „Ma pani naprawdę przepiękne zęby", powiedział, co o tym sądzisz? Gdyby powiedział

„oczy" albo „ma pani piękne usta" - pokręciłam głową. - Przecież nie mówi się kobiecie, że ma przepiękne zęby.

- Może Anglicy są inni - odparła Bernadette. - W każdym razie jego zachowanie wobec ciebie wydaje mi się dziwne. Albo ten facet ma pamięć dziurawą jak sito, albo, no nie wiem, w pobliżu była jego żona i miał coś do ukrycia.

- Mieszka sam, słyszałaś przecież - powiedziałam. - Poza tym Chabanais mówił, że żona go zostawiła.

Przyjaciółka popatrzyła na mnie swoimi dużymi ciemnoniebieskimi oczami i zmarszczyła czoło.

- Coś tu się nie zgadza - stwierdziła. - Być może istnieje jakieś bardzo proste wytłumaczenie.

Westchnęłam.

- Zastanów się, Aurelie. Co dokładnie powiedział ci na koniec ten Miller? - spytała.

- Cóż, na koniec wszystko potoczyło się błyskawicznie, ponieważ Chabanais i ten drugi facet poganiali do wyjścia. Ochraniali go jak polityka. - Pomyślałam chwilę. - Dukał coś o pisaniu listu, że chętnie to zrobił, a potem powiedział: Au revoke. Do widzenia.

- No, przynajmniej tyle - uznała Bernadette i opróżniła swój kieliszek.

Kiedy wkrótce potem siedziałam w taksówce i jechałam wzdłuż oświetlonego bulwaru Saint - Germain, otworzyłam ponownie książkę, w której Robert Miller wpisał dedykację:

Dla Aurelie Bredin z bardzo serdecznymi pozdrowieniami od Roberta Millera

Przejechałam palcami po podpisie i długo wpatrywałam się w zamaszyste, okrągłe litery, jakby były kluczem do tajemnicy Millera.

I rzeczywiście były. Tylko że w tej chwili jeszcze tego nie wiedziałam.

Rozdział 12

Zawsze robiła na mnie szczególne wrażenie scena ze starego, czarno - białego filmu Komedianci: ostatnie ujęcie, w którym zrozpaczony Baptiste biegnie za Garance, swoją wielką miłością, i gubi ją w tłumie ludzi świętujących na ulicy karnawał. Upada, nie jest w stanie się przebić, zostaje otoczony przez śmiejącą się i tańczącą ciżbę. Nieszczęśliwy, zagubiony człowiek pośród radosnych, swawolnie świętujących ludzi - jest to obraz, który niełatwo zapomnieć i który znów stanął mi przed oczami, kiedy po wieczorze autorskim siedziałem z Samem Goldbergiem i innymi w alzackiej restauracji niedaleko księgarni.

Tęgi gospodarz posadził nas przy dużym stole w tylnej części lokalu i zadowolony ustawiał przed nami kieliszki i sztućce. Wszyscy wydawali się zadowoleni i w dobrych humorach, pili, żartowali i świętowali, dentysta zachowywał się jak Everybody's Darling, a na koniec wszyscy szczęśliwie zjednoczyli się w piciu wina - tylko ja byłem nieszczęsnym Baptistem, który siedział między pozostałymi jak kosmita, ponieważ jego sprawy nie ułożyły się tak cudownie.

- Rany, ale była zła - szepnął do mnie Adam, gdy wychodziliśmy z librairie Capricorne, a jego brat dopytywał się, kim była ta piękna kobieta w czerwonej sukience.

Adam wyjaśnił mu, że na wieczory autorskie często przychodzą zachwycone fanki, które robią do autora piękne oczy.

- Wow! - wykrzyknął dentysta i dodał, że zawód pisarza zawsze bardziej mu się podobał. - Może naprawdę powinienem napisać książkę, jak myślicie?

- Na litość boską, ani się waż! - rzucił Adam. Milczałem i w ciągu wieczoru milczałem coraz bardziej. W każdym razie pokpiłem sprawę z Aurelie Bredin

- jako miły szef redakcji André Chabanais, który zawsze był na miejscu gotów do pomocy. A teraz jeszcze fantastyczny Robert Miller dał plamę na całej linii.

Po katastrofalnym występie, jaki wykonał nasz właściwie - nie - autor, nie byłem już taki pewny, czy nie ucierpiała na tym znacząco atrakcyjność Anglika. „O tak, Coupole. Lovely place, very lovely!". Musiała wziąć go za idiotę. A potem wyskoczył jeszcze z tymi zębami! Pozostawała jedynie nadzieja, że Aurelie nie odstąpi od zaproszenia Roberta Millera do swojej restauracji. Wtedy mianowicie nie miałbym już żadnych szans.

Wpatrywałem się w swój talerz, a głosy innych docierały do mnie jak z oddali.

W pewnym momencie zwrócił na to uwagę nawet Jean - Paul Monsignac, który świetnie bawił się rozmową z naszym autorem. Podniósł kieliszek i patrząc w moją stronę, spytał:

- Co się dzieje, André? Nic pan nie mówi! Usprawiedliwiłem się bólem głowy.

Najchętniej od razu poszedłbym do domu, miałem jednak wrażenie, że powinienem mieć na oku Roberta Millera.

Adam, jedyna osoba, z którą mógłbym chcieć porozmawiać, siedział przy drugim końcu stołu. Od czasu do czasu rzucał mi pocieszające spojrzenie, a kiedy kilka godzin później wyszliśmy wreszcie z restauracji, obiecał zajrzeć do mnie następnego dnia rano, jeszcze przed powrotem do Anglii.

- Ale sam - powiedziałem. - Musimy pogadać.

Kiedy rozległ się dzwonek, miałem akurat podrzeć swój drugi list od Roberta Millera do Aurelie Bredin, Wyrzuciłem kopertę do kosza i wcisnąłem guzik otwierający drzwi. Treść listu potwierdzającego kolację w Temps des Cerises, który chciałem dać Adamowi, właściwie straciła na aktualności po wydarzeniach wczorajszego wieczoru. Przeleżałem bezsennie

pół nocy, zastanawiając się, co powinienem zrobić. I wpadłem na pewien pomysł.

Po wejściu do mojego mieszkania Adam zobaczył chaos w przedpokoju, gdzie leżały odłamki lustra, częściowo zmiecione wczoraj na kupkę.

- Och, co tu się stało? - spytał. - Miałeś atak wściekłości?

- Nie. Wczoraj rano lustro samo pękło, jakby mi było mało wszystkiego! - wyjaśniłem.

- Siedem lat nieszczęścia - powiedział Adam i uśmiechnął się.

Zdjąłem swój płaszcz z wieszaka i otworzyłem drzwi.

- Obyś się mylił - mruknąłem. - Chodźmy gdzieś na śniadanie, w domu niczego nie mam.

Przeszliśmy parę kroków do Vieux Colombier, minęliśmy bar i usadowiliśmy się na tyłach lokalu, gdzie stały drewniane ławy i wielkie stoły. Jakże często siedzieliśmy tu z Adamem, dyskutując o projektach wydawniczych i zmianach w naszym życiu.

- Adam, jesteś moim przyjacielem - oświadczyłem, kiedy kelner przyniósł nam śniadanie.

- No tak - odparł. - Wykrztuś to wreszcie. Chodzi o ten list do mademoiselle Bredin, który mam wysłać? Nie ma sprawy. Widziałem tę małą i przynajmniej mogę zrozumieć, dlaczego tak zbzikowałeś na jej punkcie.

- Nie - powiedziałem. - Z tym listem to nie jest dobry pomysł, nie po wczorajszym wieczorze. Poza tym za długo to potrwa. Chcę doprowadzić sprawę do końca.

- Aha - mruknął Adam, wbijając zęby w bagietkę z szynką. - A jak mogę ci w tym pomóc? - spytał, przeżuwając.

- Musisz do niej zadzwonić - oświadczyłem. - Jako Robert Miller.

Omal się nie udławił.

- You are crazy, man - powiedział po chwili.

- Nie, nie jestem szalony. - Pokręciłem głową. - Ty i Sam macie prawie identyczne głosy, musiałbyś tylko lekko kaleczyć francuski, a to nie takie trudne. Proszę, musisz oddać mi tę przysługę.

Następnie wyjaśniłem mu swój plan. Adam miał zadzwonić wieczorem z Anglii do Temps des Cerises, przeprosić Aurelie Bredin i powiedzieć, że był po prostu totalnie poruszony, kiedy ją zobaczył, a otaczało go przecież tyle osób, nie chciał powiedzieć nic niestosownego.

- Opowiedz jej taką bajeczkę, oczaruj wdziękiem dżentelmena i postaraj się, aby Robert Miller został zrehabilitowany. Dasz radę. - Wypiłem swoje espresso. - Ważne jest, abyś zaklepał termin. Powiedz jej, że cieszysz się na kolację we dwoje. Zaproponuj szesnasty grudnia, ponieważ będziesz wtedy w Paryżu i zarezerwujesz dla niej cały wieczór.

Szesnasty grudnia był idealny z dwóch powodów. Po pierwsze Aurelie Bredin miała tego dnia urodziny, po drugie będzie to poniedziałek, a dowiedziałem się, że jej restauracja w poniedziałki jest zamknięta. Zazwyczaj zamknięta.

Zwiększało to prawdopodobieństwo, że znajdę się z nią sam na sam w Temps des Cerises.

- Aha, Adam, i coś jeszcze. Daj jej do zrozumienia, że powinna zachować to spotkanie dla siebie. Powiedz, że ten redaktor, gdyby się dowiedział, iż autor jest w mieście, na pewno chętnie przyłączyłby się do nich. To na koniec jeszcze bardziej uwiarygodni całą sprawę.

Jeżeli bowiem doszłoby do spotkania szesnastego grudnia (co po prostu optymistycznie zakładałem), to wieczorem Adam zadzwoni jeszcze raz. Tym razem jednak już jako Adam Goldberg, który w imieniu Millera odwoła wizytę.

Powód odwołania był genialny - gratulowałem sobie w duchu pomysłu, na który wpadłem nocą o wpół do trzeciej -

ponieważ urazi dumę Aurelie Bredin i odbierze jej możliwość ponownego kontaktu z Robertem Millerem. Co jednak nie będzie takie złe, ponieważ wybawca, który pocieszy ją w samotności i smutku, będzie już czekał pod restauracją.

- Mon ami, sporo na siebie bierzesz, to wszystko brzmi jak scenariusz kiepskiego amerykańskiego filmu. Wiesz, że takie plany nigdy nie wychodzą, prawda? - roześmiał się Adam.

Pochyliłem się do przodu i wbiłem w niego natarczywe spojrzenie.

- Adam, to naprawdę poważna sprawa. Jeżeli czegoś w życiu chcę, to właśnie tej kobiety. Potrzebuję tylko spędzić z nią niezakłócony wieczór. Muszę dostać prawdziwą szansę, rozumiesz? I jeśli w tym celu będę musiał trochę zmienić fakty, nie cofnę się przed tym. Nie obchodzą mnie nudni Amerykanie, my, Francuzi, nazywamy to corriger la fortune.

Odchyliłem się na oparcie i przez ciemnozielone żelazne podpory przy oknach kawiarni popatrzyłem na paryski ranek.

- Szczęście trzeba tylko czasami lekko popchnąć we właściwym kierunku.

Rozdział 13

- Mademoiselle Bredin, mademoiselle Bredin! - zawołał ktoś za mną, kiedy wyszłam z domu i skierowałam się do kamiennego przejścia, prowadzącego na bulwar Saint - Germain. Odwróciłam się. Ujrzałam wysokiego mężczyznę w zimowym płaszczu i czerwonym szaliku, który wyłonił się z ciemności.

Było późne popołudnie, właśnie szłam do restauracji. A mężczyzną był André Chabanais.

- Co pan tu robi? - spytałam.

- Co za przypadek, wracam właśnie ze spotkania.

- Wskazał na Procope i uśmiechnął się. - Moje biuro stopniowo zapełnia się manuskryptami i książkami, właściwie nie mogę tam już przyjąć więcej niż jednej osoby.

- Machnął skórzaną teczką. - Jaka miła niespodzianka.

- Następnie rozejrzał się. - Mieszka pani naprawdę w ładnej okolicy.

Skinęłam głową i niewzruszona szłam dalej. Moja radość ze spotkania szefa redakcji była raczej umiarkowana. Kroczył obok mnie.

- Mogę pani kawałek potowarzyszyć?

- Właśnie pan to robi - odparłam poirytowana i przyśpieszyłam kroku.

- Ojej, wciąż jeszcze gniewa się pani na mnie za wczorajszy wieczór, tak? - spytał.

- Dotąd nie usłyszałam jeszcze żadnych przeprosin - powiedziałam, skręcając na bulwar. - Najpierw zaprasza mnie pan do Coupole, a potem nawet nie informuje, że Miller ma spotkanie autorskie. Co to za gra, monsieur Chabanais?

W milczeniu szliśmy obok siebie.

- Proszę posłuchać, mademoiselle Bredin, naprawdę bardzo mi przykro. Termin spotkania zaskoczył nas

wszystkich i oczywiście chciałem panią poinformować... ale niestety coś mi wypadło, a na koniec po prostu zapomniałem.

- Chce mi pan wmówić, że nie znalazł trzydziestu sekund na powiedzenie: „Mademoiselle Bredin, wieczór autorski Millera jest w poniedziałek o dwudziestej"? A na koniec pan zapomniał? Co to za usprawiedliwienie? Człowiek nie zapomina o rzeczach, które są dla niego ważne. - Rozgniewana szłam dalej. - I na dodatek kazał pan mówić, że go nie ma, kiedy zadzwoniłam do wydawnictwa.

Chwycił mnie za ramię.

- Nie, to nieprawda! Przekazano mi, że pani dzwoniła, ale mnie naprawdę w tym czasie nie było.

Strąciłam jego dłoń.

- Nie wierzę w ani jedno pańskie słowo, monsieur Chabanais. Sam pan opowiadał mi w Coupole, jak każe pan sekretarce spławiać uciążliwych petentów, stoi pan obok i daje znaki... A przecież tym właśnie dla pana jestem, prawda? Uciążliwą petentką!

Sama nie wiem, dlaczego tak bardzo się zdenerwowałam. Może dlatego, że wczorajszy wieczór autorski zakończył się rozczarowaniem i winę za to przypisywałam szefowi redakcji, chociaż on, szczerze mówiąc, nie miał na to wpływu.

- Moja matka miała wczoraj wypadek, całe popołudnie spędziłem w szpitalu - powiedział André Chabanais. - Taka jest prawda, a pani absolutnie nie jest dla mnie uciążliwą petentką, mademoiselle Bredin. Przystanęłam.

- O mój Boże - powiedziałam skonsternowana. - To... bardzo mi przykro z tego powodu.

- Wierzy mi pani teraz? - spytał i popatrzył mi prosto w oczy.

- Tak - skinęłam głową i w końcu zakłopotana odwróciłam wzrok. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku... z pańską matką - wykrztusiłam.

- W miarę. Przewróciła się na ruchomych schodach i złamała nogę. - Potrząsnął głową. - Wczorajszy dzień nie był dla mnie najszczęśliwszy, wie pani?

- A więc jest nas już dwoje - stwierdziłam. Uśmiechnął się.

- Mimo wszystko to oczywiście niewybaczalne, że nie poinformowałem pani o wieczorze.

Ruszyliśmy ponownie wzdłuż oświetlonych wystaw bulwaru, ustąpiliśmy przed grupą Japończyków, oprowadzanych po mieście przez przewodniczkę z czerwonym parasolem.

- Jak dowiedziała się pani o wieczorze autorskim?

- Moja przyjaciółka mieszka na Ile Saint - Louis - powiedziałam. - Zobaczyła plakat. I na szczęście w poniedziałki mam wolne.

- To Bogu dzięki - odparł. Zatrzymałam się na światłach.

- A więc tutaj nasze drogi się rozchodzą - stwierdziłam i wskazałam w stronę rue Bonaparte. - Idę tędy.

- Do restauracji? - André Chabanais również się zatrzymał.

- Zgadł pan.

- Zajrzę kiedyś do Temps des Cerises - powiedział. - To naprawdę bardzo romantyczne miejsce.

- Proszę to zrobić - odparłam. - Może z matką, kiedy wyjdzie ze szpitala.

Skrzywił się.

- Żałuje mi pani jakiejkolwiek przyjemności, tak? Uśmiechnęłam się, a światła zmieniły się na zielone.

- Muszę już iść, monsieur Chabanais - powiedziałam i ruszyłam.

- Niech pani poczeka! Proszę powiedzieć, czy istnieje coś, czym mógłbym się zrehabilitować za swoje zaniedbanie - zawołał, gdy weszłam na pasy.

- Proszę coś wymyślić! - odkrzyknęłam. Przebiegłam przez ulicę i jeszcze raz do niego pomachałam, zanim skręciłam w kierunku rue Princesse.

- Co robisz w Boże Narodzenie? - spytał Jacquie, kiedy pomagałam mu w kuchni w przygotowaniu boeuf bourguignon, który dziś mieliśmy w menu. Paul, zastępca szefa kuchni, był już wprawdzie zdrowy, ale miał przyjść dzisiaj później.

Usmażyliśmy mięso porcjami na dwóch patelniach, aby pięknie zbrązowiało, a teraz przekładałam je do wielkiego rondla i posypywałam mąką.

- Nie mam pojęcia - odparłam.

Dopiero w tej chwili zdałam sobie sprawę, że to będą pierwsze święta, w które naprawdę będę sama. Dziwna myśl. Restauracja też będzie zamknięta od dwudziestego trzeciego grudnia. Otwieraliśmy dopiero w drugim tygodniu stycznia. Mieszałam drewnianą łyżką w garnku, czekając, aż mąka zwiąże się z tłuszczem. Następnie zalałam wszystko burgundem. Rozległ się krótki syk, buchnął przyjemny zapach mocnego czerwonego wina, kawałki mięsa zaczęły się gotować w ciemnym sosie.

Jacquie podszedł do mnie z pokrojoną marchewką oraz grzybami i zsunął je z dużej drewnianej deski.

- Mogłabyś pojechać ze mną do Normandii - powiedział. - Będę u siostry, ona ma dużą rodzinę i w święta zawsze dużo tam się dzieje, zaglądają przyjaciele, sąsiedzi...

- To bardzo miło z twojej strony, Jacquie, ale nie wiem... W ogóle się nad tym nie zastanawiałam. W tym roku i tak wszystko jest inaczej...

Poczułam, że w gardle rośnie mi wielka klucha. Odkaszlnęłam. Nie rób się teraz sentymentalna, to do niczego nie prowadzi, skarciłam się.

- Jakoś się urządzę. Przecież nie jestem już małą dziewczynką - powiedziałam, widząc oczyma wyobraźni, jak siedzę samotnie przed buche de Noel, przepyszną roladą czekoladowo - biszkoptową, którą jada się w święta na deser, a tato z wielkim szumem podawał ją zawsze na stół akurat wtedy, kiedy wszyscy oświadczali, że zaraz pękną z przejedzenia.

- Dla mnie na zawsze pozostaniesz małą dziewczynką

- odparł Jacquie i objął mnie swoim ciężkim ramieniem.

- Czułbym się jakoś lepiej, gdybyś wybrała się ze mną nad morze, Aurelie. Co chcesz robić sama tu, w Paryżu, gdzie ciągle pada? Boże Narodzenie w samotności to nic miłego.

Zatroskany potrząsnął głową, a jego biała czapka kucharska zachwiała się niebezpiecznie.

- Kilka dni na tym cudownie czystym powietrzu i kilka spacerów po plaży dobrze ci zrobi. Poza tym obiecałem, że będę gotować i twoja pomoc bardzo by mi się przydała.

- Popatrzył na mnie. - Obiecaj, że się nad tym zastanowisz, Aurelie... dobrze?

Skinęłam głową wzruszona.

- Obiecuję - odparłam zachrypniętym głosem. Stary dobry Jacquie!

- A wiesz, co jest najlepsze tam, na dole? - spytał, a ja z uśmiechem wpadłam mu w słowo:

- Można patrzeć bardzo daleko! Spróbowałam sos wielką drewnianą łyżką.

- Spokojnie można dodać jeszcze wina - stwierdziłam i wlałam trochę burgunda. - No, to do pieca! - Spojrzałam na zegarek. - Och, muszę nakrywać. - Zdjęłam fartuszek, chustkę z głowy i wstrząsnęłam włosami. Następnie podeszłam do lusterka na ścianie obok drzwi kuchennych i pociągnęłam usta szminką.

- Ładniejsza nie będziesz - powiedział Jacqui, a ja wyszłam na salę.

Kilka minut później zjawiła się Suzette i razem rozłożyłyśmy serwety na stołach, ustawiłyśmy kieliszki do wina i wody oraz ułożyłyśmy białe płócienne serwetki. Rzuciłam okiem na rezerwacje. W najbliższych tygodniach czekało nas mnóstwo pracy, koniecznie musiałam zwerbować jeszcze jedną osobę do obsługi.

W grudniu szło jak z płatka i w naszej małej restauracji prawie każdego wieczoru był komplet.

- Dzisiaj mamy jedną imprezę bożonarodzeniową, szesnaście osób - powiedziałam do Suzette - ale bezproblemowo, mają specjalne menu.

Dziewczyna skinęła głową i zsunęła stoły pod ścianą.

- Przy deserze musimy zwrócić uwagę, aby wszyscy dostali crepes Suzette jednocześnie. Jacqui wyjdzie z kuchni i będzie flambirować na wózku.

Zawsze szczególną atrakcją był moment, kiedy szef kuchni zjawiał się osobiście przy stole i na oczach gości podpalał crepes Suzette w miedzianej patelni, z rozmachem filetował pomarańcze, kroił je w plastry, posypywał płatkami migdałów i polewał grand manier. Pół restauracji przyglądało się, jak niebieskawe płomienie buchają w górę przez kilka sekund.

Sprawdzałam akurat sztućce, kiedy rozległ się dzwonek telefonu.

- Odbierz, Suzette - powiedziałam. - I nie przyjmuj już rezerwacji na dzisiejszy wieczór.

Kelnerka podeszła do telefonu, który stał przy kasie na tyłach restauracji.

- Le Temps des Cerises, bonsoir - zaćwierkała do słuchawki, intonując bonsoir jak pytanie. - Oui, monsieur,

chwileczkę - powiedziała, kiwając na mnie. - Do ciebie, Aurelie. - Podała mi słuchawkę.

- Tak, słucham? - odezwałam się, niczego nie podejrzewając.

- Ehe... Bong soir, mywię z mademoiselle Aurelie Bredin? - spytał głos z niewątpliwie angielskim akcentem.

- Tak. - Poczułam, jak krew uderza mi do głowy. - Tak, tu Aurelie Bredin.

Odwróciłam się do drewnianej lady, na której leżała książka rezerwacji.

- Och, mademoiselle Bredin, jestem taki szczynśliwy, że panią zastałem, tu Robert Miller, znalazłem tylko numer restauracji. Nie przeszkadzam pani przypadkiem?

- Nie - powiedziałam, a serce omal mi nie wyskoczyło.

- Nie, nie, wcale pan nie przeszkadza, otwieramy restaurację dopiero za pół godziny. Czy pan... jest jeszcze w Paryżu?

- Niestety, nie - odparł. - Mysiałem wracać zaraz następnego rynka do Inglii. Proszę posłychać, mademoiselle Bredin...

- Tak? - wykrztusiłam, przyciskając słuchawkę do ucha.

- Okrypnie mi przykro z powodu wczyrajszego wieczoru - powiedział. - Ja... ojej!... dosływnie byłem jak rażony piorunem, gdy stanęła pani przyde mną, tak nie wiadomo skąd. Mogłem tylko na panią patrzyć, była pani tak pinkna w tym czerwonym sukni, jak z innej gylaktyki...

Odetchnęłam głęboko i zagryzłam wargę.

- A ja już myślałam, że pan całkiem o mnie zapomniał - wyznałam z ulgą.

- Nie, nie! - wykrzyknął. - Pryszę, nie może pani tak myśleć! Pymiętam wszystko, pani pinkny list, zdjęcie!

W pirwszym momencie nie mogłem uwirzyć, że to naprawdę pani, Aurelie. Byłem taki rozkojarzony przez te

wszystkie ludzie, którzy coś ode mnie chcieli, a mój rydaktor i agent ciągle tak patrzyli i wszystko spychali, co mówiliśmy. Nagle straciłem pewność, co mogę powidzieć.

- Westchnął. - A teraz bardzo się biję z myślmi, że pani ma mnie za wielki idiot...

- Ależ nie - zapewniłam, czując, że płoną mi uszy.

- Wszystko w porządku.

- Mój Boże, byłem styknięty. Proszę, mysi mi pani wybaczyć. Nie lubię tyle osób, wie pani - powiedział skruszony. - Nich pani się nie gniewa.

Mon Dieu, był słodki!

- Naturalnie nie gniewam się na pana, Mr Miller - pośpieszyłam z odpowiedzią.

Usłyszałam za sobą hałas i zobaczyłam Suzette, która słuchała naszej rozmowy z rosnącym zainteresowaniem. Postanowiłam ją zignorować i nachyliłam się nad książką rezerwacji.

Robert Miller odetchnął z ulgą.

- To bardzo miło z pani strony, Aurelie, mogę mówić Aurelie?

- Tak, oczywiście.

Skinęłam głową i mogłabym tak rozmawiać przez całą wieczność.

- Aurelie... mogę w ogóle mieć nadzieję na kolycję z panią? A może nie chce pani już mnie zaprysić do swojej słodkiej małej restyuracji?

- Chcę, oczywiście, że tego chcę! - wykrzyknęłam i popatrzyłam prosto w pytające oczy Suzette, która przez cały czas wynajdywała sobie jakieś prace za moimi plecami.

- Musi pan po prostu powiedzieć, kiedy przyjedzie.

Robert Miller milczał przez chwilę, słyszałam szelest papieru.

- Da radę szesnastego grudnia? - powiedział wreszcie.

- Tego dnia mam co rybić niedaleko Paryża, ale wiczór należy do pani.

Zamknęłam oczy i uśmiechnęłam się. Szesnastego grudnia miałam urodziny. I był to poniedziałek. Wyglądało na to, że wszystkie ważne rzeczy w moim życiu dzieją się ostatnio w poniedziałki.

W poniedziałek znalazłam w małej księgarni książkę Millera. W poniedziałek spotkałam w La Palette niewiernego Claude'a z jego ciężarną przyjaciółką. W poniedziałek na spotkaniu autorskim, o którym dowiedziałam się w ostatnim momencie, zobaczyłam po raz pierwszy Roberta Millera. I w poniedziałek, na który przypadną moje urodziny, odbędzie się prywatna kolacja z arcyciekawym autorem. Jeśli tak dalej pójdzie, to pewnego poniedziałku wyjdę za mąż, innego umrę, a Mrs. Dinsmore będzie podlewać mój grób konewką.

Uśmiechnęłam się.

- Hallo, mademoiselle Aurelie? Jest pani tam jeszcze?

- W głosie Millera brzmiał niepokój. - Jeżeli poniedziałek nie jest dla pani dobry, to poszukamy inny termin. Ale kolacja musi się odbyć, nalygam na to.

- Kolacja się odbędzie. - Roześmiałam się szczęśliwa.

- W poniedziałek, szesnastego grudnia, o ósmej. Cieszę się na spotkanie, monsieur Miller!

- Tak bardzo jak ja się cieszę, pani nie może się cieszyć - powiedział.

A potem dodał coś jeszcze z wahaniem:

- Mogę panią prosić o pewną drybnostkę, mademoiselle Aurelie? Niech pani nic nie mówi André Chabanais'mu o naszym spytkaniu. On jest bardzo miły, ale czysami taki... jak to się mówi... zaborczy. Kiedy wie, że jestem w Paryżu, chce mnie widzieć i wtedy nie mamy dość czasu dla siebie...

- Proszę się nie martwić, Mr Miller. Będę milczeć jak grób.

Gdy odłożyłam słuchawkę, Suzette popatrzyła na mnie zdziwiona.

- Mon Dieu, kim był ten mężczyzna? - spytała. - Oświadczył ci się czy co?

Uśmiechnęłam się.

- To był mężczyzna, który będzie tu moim gościem szesnastego grudnia - powiedziałam. - I to moim jedynym gościem!

Z tymi tajemniczymi słowami zostawiłam zdumioną Suzette i poszłam otworzyć restaurację.

Spotkanie z Robertem Millerem pozostanie moją słodką tajemnicą.

Nie bez powodu Paryż jest nazywany miastem świateł. Uważam, że szczególnie w grudniu zasługuje na to miano.

Mimo że listopad był szary, deszczowy i każdego dnia człowieka ogarniało uczucie, że już nigdy nie będzie tak naprawdę jasno, to w grudniu Paryż zamienił się jak co roku w morze lśniących świateł. Dosłownie miało się wrażenie, że nad miastem przeleciała jakaś wróżka, oprószając domy gwiezdnym pyłem. A kiedy popołudniem i wieczorem jechało się przez Paryż, świątecznie udekorowane ulice jaśniały w ciemnościach jak srebrno - biała bajka.

Sękate drzewa na Polach Elizejskich przystrojone były tysiącem drobnych światełek; dzieci i dorośli zdumieni zatrzymywali się przed wystawami Galeries Lafayette, Printemps czy małego, ale eleganckiego domu towarowego Bon Marché i podziwiali lśniące dekoracje. Na uliczkach i szerokich bulwarach widziało się ludzi z papierowymi torbami, ozdobionymi kokardami i tasiemkami, w które zapakowane były świąteczne prezenty. Przed muzeami nie stały już długie kolejki - nawet w Luwrze w ostatnie weekendy przed Bożym Narodzeniem można było bez trudu dotrzeć do Mony Lisy i podziwiać jej nieprzenikniony

uśmiech. A nad wszystkim jaśniała wieża Eiffla - ten potężny, a jednocześnie filigranowy symbol miasta, mekka wszystkich zakochanych, którzy po raz pierwszy odwiedzali Paryż.

Dwa razy poszłam tam z małą Marie pojeździć na łyżwach. Patiner sur La Tour Eiffel głosił błękitny plakat, na którym widniała narysowana biała wieża Eiffla, a przed nią staromodna para łyżwiarzy. Marie upierała się, abyśmy weszły na pierwszy poziom po żelaznych schodach. Już od lat nie byłam na wieży i podczas wspinaczki raz po raz się zatrzymywałam, aby spojrzeć w dół przez wielkie żelazne podpory, które z bliska naprawdę wydawały się ogromne. Zimne powietrze i wysiłek zapierały mi dech w piersiach. Kiedy jednak dotarłyśmy na górę i kręciłyśmy nasze rundki po lodzie, wręcz fruwałyśmy z czerwonymi policzkami i lśniącymi oczami nad migoczącym światłami miastem, ogarnęło mnie na chwilę uczucie, że sama znów jestem dzieckiem.

Coś jest w świętach Bożego Narodzenia, co raz po raz każe zajrzeć nam w głąb siebie, w nasze wspomnienia i pragnienia, w naszą dziecięcą duszę. Ona wciąż jeszcze otwiera szeroko oczy ze zdumienia, stojąc przed tajemniczymi drzwiami, za którymi czeka cud.

Szeleszczący papier, szeptane słowa, płonące świece, ozdobione okna, zapach cynamonu i goździków, życzenia napisane na karteczce lub wypowiedziane prosto do nieba, w nadziei, że może się spełnią - Boże Narodzenie, czy się tego chce, czy nie chce, budzi to wieczne pragnienie cudowności. A cudowność ta nie jest niczym, co można by zdobyć lub zatrzymać, do nikogo nie należy, ale co roku się pojawia, jak coś, co dostaje się w prezencie.

Zamyślona oparłam głowę o szybę taksówki, która właśnie przejeżdżała nad Sekwaną, i popatrzyłam na rzekę, w której połyskiwało słońce. Na kolanach trzymałam owinięty w

bibułę czerwony płaszcz. Bernadette zaprosiła mnie na śniadanie i podarowała mi go na urodziny.

Ogólnie rzecz biorąc, szesnasty grudnia zaczął się bardzo obiecująco - rozpoczął się właściwie wieczorem poprzedniego dnia, kiedy po wyjściu ostatnich gości o wpół do pierwszej wznieśliśmy toast szampanem z okazji moich trzydziestych trzecich urodzin: Jacquie, Paul, Claude, Marie i szesnastolatek Pierre, nasz nowy pomocnik kuchenny, najmłodszy z nas wszystkich, Suzette, przez cały wieczór robiąca aluzje, że czeka mnie jeszcze jakaś niespodzianka, i Juliette Meunier, która od drugiego grudnia pomagała prawie co wieczór w obsłudze.

Jacqui przygotował wyśmienity tort czekoladowy z malinami, on również w imieniu wszystkich wręczył mi duży bukiet kwiatów. Były też paczuszki zawinięte w kolorowy papier: gruby szal z dopasowanymi rękawiczkami z włóczki od Suzette, notesik z orientalnym wzorem od Paula, a od Jacqui aksamitny woreczek z muszelkami, w którym znajdował się bilet na pociąg.

Była to piękna, niemalże rodzinna chwila, kiedy staliśmy wszyscy w pustej restauracji i witaliśmy szampanem nowy rok mojego życia. A gdy około drugiej w nocy przykryłam się kołdrą, zasnęłam z myślą, że wieczorem czeka mnie ekscytująca randka z przystojnym pisarzem, którego tak naprawdę nie znałam, ale miałam nadzieję poznać.

Taksówkarz przejechał przez próg spowalniający i papier, w który zawinięty był płaszcz, zaszeleścił.

- Zwariowałaś! - wykrzyknęłam, rozpakowując spory pakunek, który leżał na stole śniadaniowym. - Czerwony płaszcz! Jesteś naprawdę szalona, Bernadette, przecież jest o wiele za drogi!

- Ma ci przynieść szczęście - odparła, kiedy ze łzami w oczach rzuciłam się jej na szyję. - Dziś wieczorem... i zawsze, kiedy go założysz.

I tak się stało, że wczesnym popołudniem szesnastego grudnia stanęłam w karmazynowym płaszczu przed restauracją Temps des Cerises, która w poniedziałki zazwyczaj była zamknięta - poszukiwaczka przygód, spowita zapachem Heliotrop i barwą szczęścia.

Pół godziny później byłam już w kuchni i przygotowywałam jedzenie. Była to moja kolacja urodzinowa, ale o wiele bardziej było to menu, którym chciałam podziękować, że pewien bardzo nieszczęśliwy listopadowy dzień zakończył się zamyślonym uśmiechem - uśmiechem, który utoruje drogę czemuś nowemu.

I wreszcie była to naturalnie pierwsza kolacja z Robertem Millerem.

Długo się zastanawiałam, jakimi kulinarnymi rozkoszami zaimponować angielskiemu pisarzowi - i ostatecznie zdecydowałam się na menu d'amour, które zostawił mi ojciec.

Nie było to oczywiście najbardziej wyrafinowane menu kuchni francuskiej, miało jednak dwie niepodważalne zalety: było lekkie i umiałam je znakomicie przyrządzić, tak że podczas posiłku będę mogła poświęcić całą uwagę mężczyźnie, którego przybycia - przyznaję - oczekiwałam w napięciu.

Przewiązałam biały fartuch i zaczęłam wypakowywać z torby zakupy zrobione w południe na targu: świeżą roszponkę, dwa selery naciowe, pomarańcze, orzechy makadamia, małe białe pieczarki, pęczek marchwi, czerwone cebule, lśniące, niemal czarne bakłażany, dwa błyszczące granaty, jagnięcinę i boczek. Ziemniaki, śmietana, pomidory, przyprawy i bagietki były zawsze w kuchennej spiżarni, a lekko gorzki mrożony krem pomarańczowy z cynamonem, który wraz z gateaux au

chocolat stanowił ukoronowanie mojego menu d'amour, przygotowałam już poprzedniego wieczoru.

Na przystawkę podam roszponkę ze świeżymi pieczarkami, awokado, orzech makadamia i pokrojonym w drobną kostkę, mocno podsmażonym boczkiem. A wszystko polane - i to będzie wyjątkowe - przepysznym ziemniaczanym sosem winegret taty.

Najpierw musiałam jednak zająć się ragoût z jagnięciny, ponieważ im dłużej dusiło się w piekarniku w niewielkiej temperaturze, tym delikatniejsze było mięso.

Wypłukałam różową jagnięcinę i ostrożnie osuszyłam ściereczką, zanim ją pokroiłam w kostkę, zrumieniłam na oliwie i odłożyłam na bok. Następnie zblanszowałam pomidory we wrzącej wodzie, zdjęłam z nich skórkę i usunęłam gniazda nasienne.

Pomidory trafią do rondla na koniec, razem z białym winem, aby ich silny aromat nie zdominował pozostałych warzyw. Przyniosłam sobie kieliszek i wlałam trochę wina Pinot Blanc, którego użyję również do gotowania.

Nucąc, rozkroiłam granat i widelcem wyjęłam pestki. Potoczyły się w moim kierunku niczym lśniące czerwone perełki. Byłam przyzwyczajona do szybkiego gotowania, kiedy jednak - jak tego dnia - miałam dużo czasu na przygotowanie potraw, gotowanie stawało się zajęciem niemal poetyckim, w którym mogłam się całkowicie zatracić. Początkowe zdenerwowanie mijało stopniowo z każdym ruchem ręki i o ile na początku wyobrażałam sobie, jak będzie przebiegał ten wieczór z Robertem Millerem, zastanawiałam się, o co go zapytam, po jakimś czasie odprężyłam się, a moje policzki płonęły.

Wyśmienity aromat jagnięcego ragoût wypełniał kuchnię. Pachniało tymiankiem i czosnkiem. Drobne listki roszponki leżały umyte i oczyszczone na dużym stalowym sicie,

pieczarki były pokrojone w cieniutkie plasterki, a awokado w kosteczkę. Spróbowałam sosu winegret i ustawiłam gâteaux au chocolat, które czekały na metalowym ruszcie na dopieczenie. Następnie zdjęłam fartuch i odwiesiłam go na hak. Było tuż po wpół do siódmej i wszystko było gotowe. Butelka szampana chłodziła się w lodówce od kilku godzin. Pozostało mi już tylko czekać.

Przeszłam do sali restauracyjnej, gdzie nakryłam stolik w niszy pod oknem. Dolna część okna była zasłonięta białą ażurową firanką z bawełny, aby uchronić gościa i mnie przed spojrzeniami przechodniów. Na stole stał srebrny świecznik na jedną świecę, a w odtwarzaczu CD tkwiła płyta z francuskimi chansons.

Sięgnęłam po butelkę Pinot Blanc i dolałam sobie jeszcze trochę wina. Potem podeszłam z kieliszkiem do stołu i wyjrzałam w noc.

Ulica była ciemna i pusta. Nieliczne sklepiki, które się przy niej znajdowały, były już zamknięte. W szybie ujrzałam swoje odbicie. Wyglądałam jak pełna radosnego oczekiwania młoda kobieta w zielonej jedwabnej sukience bez rękawów, która powoli unosiła teraz rękę, aby rozwiązać wstążkę, trzymającą w ryzach jej włosy. Uśmiechnęłam się i kobieta w szybie też się uśmiechnęła. Możliwe, że decyzja o ponownym włożeniu tej sukienki była dziecinna, miałam jednak uczucie, iż była to jedyna sukienka, którą tego wieczoru chciałam mieć na sobie.

Uniosłam kieliszek w stronę kobiety z lśniącymi włosami w oknie.

- Wszystkiego dobrego z okazji urodzin, Aurelie - powiedziałam cicho. - Oby ten dzień był wyjątkowy!

I nagle przyłapałam się na myśli o tym, jak daleko zajdą sprawy tego wieczoru.

Pół godziny później - stałam akurat uzbrojona w dwie wielkie rękawice i wsuwałam gorący ruszt z rondlem pełnym ragout do piekarnika - usłyszałam, że ktoś głośno puka w okno restauracji. Zaskoczona zdjęłam rękawice i wybiegłam z kuchni. Czy to możliwe, aby Robert Miller pojawił się na spotkaniu godzinę za wcześnie?

W pierwszej chwili zobaczyłam przed szybą tylko ogromny bukiet herbacianych róż. Dopiero później mężczyznę zza bukietu, który radośnie do mnie machał. Tym mężczyzną nie był jednak Robert Miller.

Rozdział 14

Odkąd dwa tygodnie temu Aurelie Bredin, machając do mnie, wbiegła na przejście dla pieszych i kilka sekund później zniknęła w uliczce za nim, marzyłem o tej chwili i jednocześnie bałem się jej. Nie wiem, ile razy oczyma wyobraźni oglądałem wieczór szesnastego grudnia.

Myślałem o nim, kiedy odwiedzałem maman w szpitalu, siedziałem na konferencji w wydawnictwie i rysowałem ludziki w notatniku, mknąłem metrem pod miastem, przeglądałem przepiękne albumy w swojej ulubionej księgarni Assouline, spotykałem się z przyjaciółmi w La Palette. I naturalnie wieczorem, kiedy leżałem już w łóżku.

Gdziekolwiek byłem, dokądkolwiek szedłem, wszędzie towarzyszyła mi myśl o tym dniu. Traktowałem go jak aktor premierę swojej sztuki teatralnej.

Nieraz trzymałem już w dłoni słuchawkę, aby usłyszeć głos Aurelie Bredin i zupełnie mimochodem zaprosić ją na kawę, ale zawsze rezygnowałem w obawie przed tym, że da mi kosza. Ona w każdym razie nie odezwała się od dnia, w którym „przypadkowo" spotkałem ją pod domem i Adam Goldberg jako Mr Robert Miller zadzwonił do restauracji, aby się z nią umówić.

Kiedy ruszyłem w drogę do Temps des Cerises, z bukietem kwiatów i butelką crémant, byłem podniecony jak nigdy wcześniej. A teraz stałem pod oknem i usiłowałem przybrać normalny i niezbyt uroczysty wyraz twarzy. Pomysł, aby spontanicznie zajrzeć do restauracji po pracy i pogratulować (krótko) Aurelie Bredin z okazji urodzin (o których przypadkiem sobie przypomniałem), powinien sprawiać jak najbardziej naturalne wrażenie.

Zastukałem więc głośno w szybę, wiedząc, że zastanę piękną restauratorkę samą, a moje serce biło przynajmniej tak samo głośno.

Zobaczyłem zaskoczoną twarz. Kilka sekund później otwarły się drzwi Temps des Cerises i Aurelie Bredin popatrzyła na mnie pytająco.

- Monsieur Chabanais, co pan tutaj robi?

- Składam pani życzenia z okazji urodzin - odparłem, wyciągając bukiet w jej stronę. - Wszystkiego najlepszego, niech spełnią się wszystkie pani życzenia.

- Och, dziękuję, to bardzo uprzejme z pana strony, monsieur Chabanais.

Wzięła kwiaty w obydwie ręce, a ja skorzystałem z okazji i minąwszy ją, wkroczyłem do restauracji.

- Mogę wejść na chwilę?

Kątem oka zauważyłem jedyny stół w niszy pod oknem, który był nakryty, i usiadłem na drewnianym krześle w pobliżu wejścia.

- Wie pani, kiedy zajrzałem dzisiaj do kalendarza, pomyślałem nagle... szesnasty grudnia, przecież coś wtedy się wydarzyło. I wtedy sobie przypomniałem. Uznałem, że może się pani ucieszy, jeśli zajrzę tu z bukietem kwiatów.

Uśmiechnąłem się ujmująco i postawiłem na stole obok siebie butelkę crémant.

- Groziłem, że pewnego dnia zajrzę do pani restauracji, pamięta pani? - Rozłożyłem ramiona. - Et voilà, oto jestem.

- Tak... jest pan.

Nie było po niej widać szaleńczej radości z mojej nagłej wizyty. Popatrzyła zakłopotana na okazałe róże, powąchała je i powiedziała niepewnie:

- To... to cudowny bukiet. Monsieur Chabanais... tylko... restauracja jest dzisiaj właściwie zamknięta.

Klepnąłem się dłonią w czoło.

- Coś takiego, zupełnie zapomniałem. Mam więc szczęście, że panią w ogóle tutaj zastałem. - Wyprostowałem się.

- Ale co w takim razie pani tu robi? W urodziny? Chyba nie dorabia pani potajemnie, co? - Roześmiałem się.

Odwróciła się i przyniosła duży szklany wazon z bufetu.

- Nie, oczywiście, że nie.

Zauważyłem, że jej twarz lekko poróżowiała, kiedy szła do kuchni po wodę do wazonu. Wróciła i postawiła róże na drewnianej ladzie bufetu, na którym stały również kasa i telefon.

- Taak, cóż... bardzo dziękuję, monsieur Chabanais - powiedziała.

Wstałem.

- Czy to znaczy, że wyrzuca mnie pani, nie dając nawet szansy wypicia toastu za pani zdrowie? To przykre.

Uśmiechnęła się.

- Obawiam się, że na to nie będzie już czasu. Przychodzi pan naprawdę trochę nie w porę, monsieur Chabanais. Przykro mi - dodała jeszcze raz z ubolewaniem i złożyła dłonie.

Udałem, że dopiero teraz zauważyłem jedyny nakryty stół pod oknem.

- Och - powiedziałem. - Oh la la! Kogoś pani oczekuje. To mi wygląda na romantyczny wieczór.

Popatrzyłem na nią. Jej ciemnozielone oczy błyszczały.

- No, ktokolwiek to jest, powinien się uważać za szczęściarza. Wygląda pani dzisiaj szczególnie pięknie, Aurelie.

- Przejechałem dłonią po butelce, która wciąż jeszcze stała na stole. - Kiedy zjawi się pani gość?

- O ósmej - powiedziała, odrzucając włosy do tyłu. Zerknąłem na zegarek. Kwadrans po siódmej. Za kilka minut zadzwoni Adam.

- Ach, mademoiselle Bredin, kieliszek za pani zdrowie, na stojąco! - poprosiłem. - Przecież jest dopiero kwadrans po

siódmej. Za dziesięć minut już mnie nie będzie. Otworzę butelkę.

Uśmiechnęła się, a ja wiedziałem, że nie odmówi.

- No dobrze - westchnęła. - Dziesięć minut. Podważyłem korek, a on wyskoczył z charakterystycznym dźwiękiem z szyjki butelki.

Napełniłem winem musującym dwa kieliszki, które Aurelie wyjęła z witryny.

- A więc jeszcze raz wszystkiego najlepszego! To dla mnie zaszczyt - powiedziałem. Stuknęliśmy się kieliszkami. Piłem cremant dużymi łykami i próbowałem zachować spokój, mimo że serce waliło mi jak młotem i bałem się, że je słychać. Rozpoczęło się końcowe odliczanie. Zaraz zadzwoni telefon, a potem zobaczymy, czy rzeczywiście będę skazany na odejście. Popatrzyłem w swój kieliszek i znów w piękną twarz Aurelie. Aby przerwać milczenie, powiedziałem:

- Nie można pani spuścić z oczu nawet na dwa tygodnie, prawda? Ledwie się człowiek obejrzy, a pani już ma nowego wielbiciela.

Zaczerwieniła się i pokręciła głową.

- Jak to? - zdziwiłem się. - Znam go może?

- Nie - odparła.

I wtedy zadzwonił telefon. Oboje spojrzeliśmy na bufet, ale Aurelie nie ruszyła się nawet, aby podejść do aparatu.

- To prawdopodobnie ktoś, kto chce zarezerwować stolik - stwierdziła. - Nie odbiorę teraz, poza tym jest włączona sekretarka.

Usłyszeliśmy kliknięcie, zapowiedź restauracji i wreszcie rozległ się głos Adama.

- Dobry wieczór, mówi Adam Goldberg, to wiadomość dla Aurelie Bredin - powiedział bez ogródek. - Jestem agentem Roberta Millera i dzwonię w jego imieniu - kontynuował, a ja spostrzegłem, że Aurelie zbladła. -

Wolałbym przekazać to pani osobiście, ale nie mam wyjścia. Otóż Miller prosił mnie, abym odwołał państwa dzisiejsze spotkanie. Mam pani powiedzieć, że bardzo mu przykro. - Słowa Adama padały w pomieszczeniu niczym kamienie. - On... jak mam to powiedzieć... on jest totalnie rozbity. Wczoraj wieczorem niespodziewanie odwiedziła go żona i... cóż... wciąż jeszcze u niego jest i wygląda na to, że już zostanie. Mają sobie dużo do powiedzenia, jak sądzę. - Adam zamilkł na chwilę. - Jest mi nieprzyjemnie, że muszę panią zanudzać prywatnymi sprawami Millera, ale on chciał, żeby pani wiedziała, iż... hm, odwołał spotkanie z ważnej przyczyny. Prosił, aby pani przekazać, że bardzo mu przykro i liczy na wyrozumiałość. - Adam znów zamilkł na kilka sekund, po czym pożegnał się i rozłączył.

Aurelie Bredin stała jak skamieniała i tak mocno ściskała swój kieliszek, że bałem się, iż szkło rozpryśnie się zaraz na drobne kawałki.

Patrzyła na mnie, a ja na nią, przez chwilę żadne z nas nie wykrztusiło słowa.

Potem otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie wydobyła z siebie głosu. Zamiast tego jednym haustem opróżniła cały kieliszek i przycisnęła go do piersi. Wbiła wzrok w podłogę.

- Taaak... - odezwała się podejrzanie drżącym głosem. Odstawiłem kieliszek i w tym momencie poczułem się jak ostatni łajdak. Potem jednak pomyślałem Le roi est mort, vive le roi i postanowiłem działać.

- Chciała się pani spotkać z Millerem? - spytałem zakłopotany. - Sama, w pani restauracji? W pani urodziny?

- Milczałem przez chwilę. - Czy to nie nazbyt wielki zaszczyt? Przecież pani go w ogóle nie zna.

Popatrzyła na mnie w milczeniu, widziałem, jak w jej oczach zbierają się łzy. Wtedy odwróciła się ode mnie gwałtownie i wbiła wzrok w okno.

- Mój Boże, Aurelie, ja... nie mam pojęcia, co powiedzieć. To po prostu... straszne, potworne.

Stanąłem za nią. Płakała cicho. Ostrożnie położyłem dłonie na drżących ramionach.

- Bardzo mi przykro. Boże, tak bardzo mi przykro, Aurelie - powiedziałem i ze zdumieniem stwierdziłem, że to prawda.

Jej włosy pachniały delikatnie wanilią, a ja najchętniej odgarnąłbym je na bok i pocałował ją w kark. Zamiast tego gładziłem ją uspokajająco po ramionach.

- Proszę, Aurelie, niech pani nie płacze - szepnąłem.

- Wiem, wiem... to boli, kiedy człowiek zostaje wystawiony do wiatru... ale już dobrze, wszystko jest dobrze...

- Przecież Miller do mnie zadzwonił. Chciał mnie koniecznie zobaczyć i mówił takie miłe rzeczy przez telefon... - zaszlochała. - To ja tutaj wszystko przygotowuję, rezerwuję dla niego swój wolny wieczór... Po jego liście myślałam, że jestem dla niego... kimś szczególnym... Robił aluzje, rozumie pan? - Odwróciła się nagle i popatrzyła na mnie załzawionymi oczami. - A teraz ni stąd, ni zowąd wraca jego żona, a ja czuję się.... czuję się... czuję się okropnie!

Ukryła twarz w dłoniach, a ja wziąłem ją w ramiona.

Minęła dłuższa chwila, zanim Aurelie się uspokoiła. Trwałem przy niej ochoczo, pocieszałem, podawałem chusteczkę za chusteczką i żywiłem gorącą nadzieję, że nigdy się nie dowie, dlaczego zjawiłem się akurat w momencie, w którym w Temps des Cerises włączyła się automatyczna sekretarka, a Robert Miller katapultował się w nieosiągalną dal.

W końcu - tymczasem siedzieliśmy już naprzeciwko siebie - podniosła na mnie wzrok i stwierdziła:

- Poczęstuje mnie pan papierosem? Myślę, że dobrze mi teraz zrobi.

- Tak, oczywiście.

Wyjąłem paczkę gauloise'ów. Poczęstowała się jednym i popatrzyła na mnie zamyślona.

- Ostatniego gauloise'a wypaliłam z Mrs. Dinsmore, na cmentarzu! - Uśmiechnęła się i powiedziała raczej do siebie: - Czy kiedykolwiek się dowiem, o co właściwie chodziło z tą powieścią?

Podsunąłem jej płonącą zapałkę.

- Możliwe - mruknąłem oględnie i spojrzałem na jej usta, które na moment znalazły się bardzo blisko mojej twarzy. - Ale nie dziś wieczorem.

Odchyliła się na oparcie krzesła i wydmuchała dym w powietrze.

- Kolację z autorem mogę chyba wybić sobie z głowy.

Współczująco pokiwałem głową i pomyślałem, że owszem, miała szanse na kolację z autorem, tyle że nienazywającym się Miller.

- Wie pani co, mademoiselle Bredin? Proszę nie myśleć już o tym Millerze, który najwyraźniej sam nie wie, czego chce. I spojrzeć na wszystko trochę inaczej: przecież to książka jest najważniejsza. Pomogła pani zapomnieć o troskach, spadła z nieba, że się tak wyrażę, aby panią uratować. Uważam, że to wspaniałe.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Tak, może ma pan rację.

Następnie wyprostowała się i długo patrzyła na mnie w milczeniu.

- W pewnym sensie jestem bardzo zadowolona, że pan tu teraz jest, monsieur Chabanais - powiedziała wreszcie.

Sięgnąłem po jej dłoń.

- Moja droga Aurelie, nawet sobie pani nie wyobraża, jaki ja jestem zadowolony, że tu teraz jestem - odparłem zachrypłym głosem, po czym wstałem. - A teraz świętujmy pani urodziny - zaproponowałem. - Nie będzie przecież pani siedziała z nosem spuszczonym na kwintę, mowy nie ma.

Rozlałem resztę cremant, Aurelie opróżniła swój kieliszek jednym haustem i odstawiła go zdecydowanym ruchem.

- O, właśnie tak - powiedziałem, podnosząc ją z krzesła. - Czy mogę podprowadzić panią do naszego stolika, mademoiselle Bredin? Jeżeli mi pani zdradzi, gdzie przechowuje smakołyki, to zaopatrzę nas w napoje i jedzenie.

Oczywiście nie zrezygnowała z dokończenia potraw, ale przynajmniej mogłem udać się z nią do kuchni. Poleciła mi otworzyć czerwone wino i przełożyć sałatę do glinianej misy, podczas gdy sama przysmażała boczek na patelence. Jeszcze nigdy nie byłem w restauracyjnej kuchni, podziwiałem więc ośmiopalnikową kuchenkę, liczne garnki, patelnie i chochle, które stały wygodnie pod ręką lub wisiały.

Pierwszy kieliszek czerwonego wina wypiliśmy w kuchni, drugi - przy stole.

- Smakuje wybornie! - wykrzykiwałem raz po raz, zanurzając widelec w delikatnych listkach roszponki, które lśniły pod kawałeczkami boczku.

A kiedy Aurelie przyniosła z kuchni cały rondel z pachnącym jagnięcym ragout i postawiła go na stole, podszedłem do odtwarzacza CD, stojącego pod drewnianym bufetem, i włączyłem muzykę. Georges Brassens śpiewał przymilnym głosem Je m'suis fait tout petit, a ja pomyślałem, że każdy facet raz w swoim życiu spotyka kobietę, której chętnie da się poskromić.

Jagnięcina rozpływała się w ustach, wyznałem: „Czysta poezja!", a Aurelie powiedziała mi, że przepis i w ogóle całe

menu dzisiejszego wieczoru jest autorstwa jej ojca, który zmarł w październiku, o wiele za wcześnie.

- Przyrządził je po raz pierwszy, kiedy... kiedy... - zaplątała się i nagle zaczerwieniła. Nie wiedziałem, dlaczego.

- W każdym razie przed wieloma laty - dokończyła i sięgnęła po kieliszek z winem.

Podczas gdy jedliśmy ragout, opowiedziała mi o Claudzie, który tak okrutnie ją okłamał, i o historii czerwonego płaszcza, który dostała na urodziny od swojej przyjaciółki Bernadette, „tej blondynki, z którą byłam na wieczorze autorskim, przypomina pan sobie, monsieur Chabanais?".

Patrzyłem w jej zielone oczy i nie pamiętałem kompletnie niczego, ale ochoczo pokiwałem głową i powiedziałem:

- To chyba bardzo miłe, kiedy ma się taką dobrą przyjaciółkę. Wypijmy za Bernadette!

Wypiliśmy więc za Bernadette, a potem, na moje życzenie, za piękne oczy Aurelie. Zachichotała i stwierdziła:

- Robi się pan banalny, monsieur Chabanais!

- Absolutnie nie - zaoponowałem. - Jeszcze nigdy nie widziałem takich oczu, wie pani? Nie są po prostu zielone, są jak... jak dwa cenne opale, a teraz, w blasku świecy widzę w pani oczach morze, które migoce w oddali...

- Mój Boże - westchnęła wyraźnie pod wrażeniem.

- To najpiękniejsze słowa, jakie kiedykolwiek słyszałam o swoich oczach.

A potem opowiedziała mi o Jacquie, rubasznym szefie kuchni o złotym sercu, który tęsknił za bezkresnym normandzkim morzem.

- Ja też mam złote serce - wtrąciłem i przyłożyłem jej dłoń do swojej piersi. - Czuje pani?

Uśmiechnęła się.

- Tak, monsieur Chabanais, myślę, że naprawdę pan je ma - powiedziała poważnie, trzymając przez chwilę dłoń na moim

bijącym sercu. Następnie zerwała się z miejsca i odrzuciła włosy do tyłu. - A teraz, mon cher ami, przyniesiemy gateaux au chocolat. To moja specjalność. Jacquie zawsze powtarza, że gateaux au chocolat są słodkie jak miłość.

Roześmiana pobiegła do kuchni.

- Wierzę mu na słowo!

Chwyciłem ciężki rondel i poniosłem go za nią. Byłem odurzony winem, obecnością Aurelie i całym tym wspaniałym wieczorem, o którym marzyłem, aby nigdy się nie skończył.

Aurelie odstawiła talerze na blat i otworzyła ogromną lodówkę ze stali szlachetnej, aby wyjąć z niej mrożony krem pomarańczowy. Zapewniła mnie, że jest po prostu genialny do ciepłych czekoladowych ciasteczek (C'est tout à fait génial!, powiedziała) - to urzekające zestawienie słodkiej czekolady z delikatnie gorzkim smakiem pomarańczy. Słuchałem w skupieniu tych wywodów i byłem zachwycony brzmieniem jej głosu. Na pewno miała rację we wszystkim, co mówiła, ale myślę też, że w tym momencie po prostu wszystko wydawało mi się urzekające.

Z restauracji dobiegły mnie dźwięki La fée clochette, piosenki, którą bardzo lubiłem. Nuciłem ją cicho, kiedy piosenkarz wyliczał, ile whisky by wypił i ile papierosów wypalił, gdyby udało mu się zaciągnąć do łóżka tę cudowną dziewczynę, której wciąż szukał.

Je ferai cent mille guinguettes, je boirai cent mille whiskies

Je fumerai cent mille cigarettes pour la ramener

dans mon lit Mais j'ai bien peur que cette chérie n'existe juste

que dans ma tête

Mon paradis, ma fabulette, mon Saint - Esprit Ma fée clochette!

Znalazłem swoją Fée clochette! Stała na wyciągnięcie ręki i z zapałem opowiadała o ciasteczkach czekoladowych.

Aurelie zamknęła drzwi lodówki i odwróciła się do mnie. Stałem za nią tak blisko, że teraz się zderzyliśmy.

- Hopla - powiedziała. A potem popatrzyła mi prosto w oczy. - Mogę zadać panu jedno pytanie, monsieur Chabanais? - szepnęła.

- Może pani pytać, o co zechce - odparłem również szeptem.

- Kiedy nocą schodzę po schodach, nigdy się nie oglądam, ponieważ się boję, że coś za mną czyha. - Oczy miała szeroko otwarte, a ja zanurzyłem się cały w ich łagodnej zielonej toni. - Uważa pan, że to śmieszne? - spytała.

- Nie - mruknąłem i pochyliłem się do niej. - Nie, wcale nie uważam, żeby to było śmieszne. Przecież każdy wie, że w ciemnościach na schodach nie należy odwracać się za siebie.

A potem ją pocałowałem.

To był bardzo długi pocałunek. W pewnym momencie, kiedy nasze usta oderwały się od siebie na chwilę, Aurelie szepnęła:

- Obawiam się, że krem pomarańczowy się roztapia. Całowałem ją w ramiona, szyję, gryzłem delikatne w płatki uszu, aż jęknęła i zanim ponownie zwróciłem się ku jej ustom, powiedziałem:

- A ja się obawiam, że będziemy musieli się z tym pogodzić.

A potem oboje przez długi, długi czas nie mówiliśmy nic więcej.

Rozdział 15

Moje urodziny zakończyły się nuit blanche, białą nocą, nocą, która nie chciała się skończyć.

Było grubo po północy, kiedy André pomógł mi założyć czerwony płaszcz i objęci ruszyliśmy chwiejnym krokiem przez ciche ulice miasta. Przystawaliśmy co parę metrów i całowaliśmy się, potrzebowaliśmy niesamowicie dużo czasu, aby wreszcie stanąć pod drzwiami mojego mieszkania. Ale tej nocy czas nie miał żadnego znaczenia.

Kiedy się pochyliłam, żeby otworzyć drzwi, André pocałował mnie w kark. Gdy ciągnęłam go za rękę przez przedpokój, objął mnie od tyłu i chwycił za piersi. A kiedy stanęliśmy w sypialni, zsunął ramiączka mojej sukienki i nieskończenie delikatnym gestem ujął w dłonie moją głowę.

- Aurelie - powiedział i nagle pocałował mnie tak gwałtownie, że zakręciło mi się w głowie. - Moja piękna, piękna wróżka.

Tej nocy nie było ani jednej chwili, w której tak naprawdę oddalilibyśmy się od siebie. Wszystko było dotykiem, wszystko chciało zostać odkryte. Czy na mapie naszych ciał znalazłoby się choć jedno miejsce, które zostało pominięte, nieobsypane czułościami, niezdobyte z radością? Nie sądzę.

Nasze ubrania zsunęły się z cichym szelestem na parkiet, a kiedy opadliśmy na łóżko i zatraciliśmy się w nim na długie godziny, moją ostatnią myślą było: ten André Chabanais jest właściwym niewłaściwym.

Gdy się obudziłam, leżał obok mnie z głową wspartą na ręce i się uśmiechał.

- Wyglądasz tak ślicznie, kiedy śpisz - powiedział. Popatrzyłam na niego, próbując utrwalić w pamięci obraz tego ranka, gdy po raz pierwszy obudziliśmy się obok siebie. Jego szeroki uśmiech, brązowe oczy z czarnymi rzęsami, ciemne, lekko falujące włosy w totalnym nieładzie, brodę, która wcale

nie zasłaniała całej twarzy i była dużo miększa, niż myślałam, jasną bliznę nad lewą brwią, ślad po płocie z drutu kolczastego, na który wpadł jako chłopiec - a za drzwiami balkonowymi z zaciągniętymi do połowy zasłonami ciche podwórko o poranku, gałęzie wielkiego kasztanowca, fragment nieba. Uśmiechnęłam się i na moment zamknęłam oczy. Delikatnie pogładził palcem moje usta.

- O czym myślisz? - spytał.

- Myślałam właśnie, że chciałabym zatrzymać tę chwilę - odparłam, przytrzymałam jego palec wargami i pocałowałam kilka razy. Następnie z westchnieniem opadłam na poduszkę. - Jestem taka szczęśliwa - powiedziałam. - Tak absolutnie szczęśliwa.

- Jak miło - szepnął i wziął mnie w ramiona. - Ja również, Aurelie. Moja Aurelie. - Pocałował mnie i przez dłuższą chwilę leżeliśmy w milczeniu, tuląc się do siebie.

- Nigdy już stąd nie wstanę - mruknął i pogładził mnie po plecach. - Po prostu zostaniemy w łóżku, dobrze?

Uśmiechnęłam się.

- Nie musisz iść do wydawnictwa? - spytałam.

- Jakiego wydawnictwa? - wymamrotał, a jego dłoń wsunęła się między moje nogi. Zachichotałam. - Powinieneś przynajmniej ich poinformować, że resztę dnia zamierzasz spędzić w łóżku. - Popatrzyłam na mały zegarek, który stał na stoliku nocnym. - Prawie wpół do jedenastej.

Westchnął i z żalem cofnął rękę.

- Lubi pani psuć zabawę, mademoiselle Bredin, zawsze to podejrzewałem - powiedział i uszczypnął mnie w czubek nosa. - No dobrze, zadzwonię teraz do madame Petit i powiem, że przyjdę później. Albo nie, jeszcze lepiej: powiem, że niestety nie mogę dzisiaj przyjść. A potem urządzimy sobie cudowny dzień, co o tym myślisz?

- Uważam, że to znakomity pomysł - oświadczyłam. - Ty załatwisz swoje sprawy, a ja przygotuję kawę.

- Tak zrobimy. Nie chciałbym jednak odstępować cię choćby na krok...

- Nie na długo - odparłam, owijając się krótką granatową bonżurkę i przeszłam do kuchni.

- Ale zaraz ją zdejmiesz - zawołał za mną, a ja wybuchnęłam śmiechem.

- Chyba nigdy nie masz dość!

- Nie - przytaknął. - Ciebie nigdy nie mam dość! A ja ciebie, pomyślałam.

Przygotowałam dwie duże filiżanki café crème, podczas gdy André telefonował. Później zniknął w łazience. Ostrożnie zaniosłam kawę do sypialni. Odsunęłam na bok książkę Roberta Millera, która wciąż leżała na nocnym stoliku, i postawiłam tam filiżanki.

Czy to możliwe, że menu d'amour istotnie podziałało? Zamiast z angielskim autorem zjadłam je z francuskim redaktorem i nagle zaczęliśmy na siebie patrzeć zupełnie innymi oczami - prawie jak Tristan i Izolda, którzy przez pomyłkę wypili napój miłosny i nie mogli już bez siebie żyć. Dobrze pamiętałam wrażenie, jakie wywarła na mnie ta opera, gdy byłam dzieckiem. Zabrał mnie na nią tata. A historia czarodziejskiego napoju podobała mi się szczególnie.

Uśmiechając się, zaczęłam zbierać części garderoby, które leżały porozrzucane po pokoju, i przewieszać je przez oparcie krzesła obok łóżka. Kiedy podniosłam marynarkę André, coś upadło na podłogę. Portfel. Otworzył się i część zawartości wypadła. Monety potoczyły się po parkiecie.

Przyklękłam, żeby je pozbierać. Z łazienki dobiegał zadowolony śpiew André. Uśmiechnęłam się, schowałam monety do zapinanej przegródki i chciałam właśnie poprawić papiery, które wysunęły się z portfela, gdy zauważyłam

zdjęcie. W pierwszej chwili pomyślałam, że to zdjęcie André, i wyjęłam je zaciekawiona. I wtedy moje serce stanęło na moment, który wydał mi się wiecznością.

Znałam to zdjęcie. Była na nim kobieta w zielonej sukience, która uśmiechała się do obiektywu. To było moje zdjęcie.

Przez kilka sekund wpatrywałam się w nie, niczego nie rozumiejąc, a potem moje myśli ruszyły całą kaskadą, setki migawek ułożyły się w całość.

Zdjęcie załączyłam do listu, którego adresatem był Robert Miller. Tymczasem znajdowało się w portfelu André. André, który zbył mnie na korytarzu wydawnictwa. André, który wrzucił odpowiedź od Roberta Millera do mojej skrzynki pocztowej w domu, ponieważ autor rzekomo zgubił mój adres. André, który śmiejąc się i żartując, siedział w Coupole i doskonale wiedział, że Robert Miller nigdy się tam nie pojawi. André, który słowem nie wspomniał o wieczorze autorskim - i który nie zdążył na czas odciągnąć mnie od wyraźnie skonsternowanego Millera. André, który pojawił się z bukietem kwiatów w Temps des Cerises, akurat w chwili, gdy na polecenie Millera zadzwonił jego agent, aby odwołać spotkanie.

Miller?! Ha!

Kto wie, kim był mężczyzna, który dzwonił do mnie na zlecenie monsieur Chabanais'go. A list od Roberta Millera? Jak autor mógł mi odpowiedzieć, skoro nigdy nie otrzymał mojego listu?

Nagle przypomniało mi się coś jeszcze. Coś, co zauważyłam już po spotkaniu autorskim, ale nie potrafiłam tego właściwie przyporządkować.

Upuściłam zdjęcie i podbiegłam do stolika nocnego. Leżała tam książka, a w niej list od Millera. Drżącymi rękami wyjęłam zapisane ręcznie strony.

„Bardzo oddany, Robert Miller". Wyszeptałam zakończenie listu, pośpiesznie otwierając książkę i wpatrując się w dedykację. „Dla Aurelie Bredin z bardzo serdecznymi pozdrowieniami od Roberta Millera". Robert Miller podpisał się dwa razy. Jednak podpis na dedykacji bardzo różnił się od podpisu w liście. Odwróciłam kopertę, do której była przyklejona żółta karteczka od André Chabanais'go, i jęknęłam. To André napisał list od Millera, a ja przez cały czas byłam okłamywana!

Oszołomiona usiadłam na łóżku. Przypomniałam sobie, jak wczoraj wieczorem w restauracji patrzył na mnie dobrodusznie swoimi brązowymi oczami, jak powiedział: „Tak bardzo mi przykro, Aurelie", i poczułam, że budzi się we mnie wściekłość. Ten facet wykorzystał moją łatwowierność, sprawił sobie przyjemność, wodził mnie za nos, uknuł tę intrygę, aby zaciągnąć mnie do łóżka, a ja dałam się nabrać.

Popatrzyłam w okno, za którym promienie słońca wciąż jeszcze padały na podwórko, jednak piękny obraz szczęśliwego poranka został bezpowrotnie zniszczony.

André Chabanais okłamał mnie, tak samo jak Claude, ale nie pozwolę się więcej okłamywać, nigdy więcej! Zacisnęłam dłonie w pięści i zrobiłam kilka krótkich wdechów i wydechów.

- No, serduszko, dzień należy do nas.

André wszedł do pokoju. Owinął się dużym ciemnoszarym ręcznikiem, a z jego włosów kapały krople wody. Wbiłam wzrok w podłogę.

- Aurelie? - podszedł bliżej, stanął przede mną i położył dłonie na moich ramionach. - Mój Boże, jesteś taka blada. Źle się czujesz?

Zdjęłam jego dłonie i podniosłam się powoli.

- Tak - odezwałam się drżącym głosem. - Źle się czuję. Bardzo źle się czuję.

Popatrzył na mnie skonsternowany.

- Co się stało, Aurelie...? Kochanie, mogę coś dla ciebie zrobić?

Odgarnął mi kosmyk włosów z twarzy. Odtrąciłam jego rękę.

- Tak - powiedziałam groźnie. - Nigdy więcej mnie nie dotykaj, słyszysz, nigdy więcej! - Przestraszony cofnął się.

- Ale Aurelie, co się dzieje? - wykrzyknął. Poczułam narastającą we mnie falę wściekłości.

- Co się dzieje? - spytałam niebezpiecznie cicho. - Chcesz wiedzieć, co się dzieje?

Podeszłam do miejsca, w którym upuściłam zdjęcie, jednym ruchem podniosłam je z podłogi i podsunęłam mu pod nos.

- To się dzieje! - wrzasnęłam i rzuciłam się do stolika nocnego. - I jeszcze to się dzieje!

Sięgnęłam po sfałszowany list i cisnęłam go André pod nogi. Jego twarz poczerwieniała.

- Aurelie... proszę... Aurelie - wyjąkał.

- Co?! - krzyknęłam. - Chcesz mi wcisnąć jeszcze jedno kłamstwo? A może wystarczy? - Wzięłam książkę Roberta Millera i miałam wielką ochotę walnąć go nią. - Jedyne, co w tej całej zakłamanej historii jest prawdziwe, to ta książka. A ty, André Chabanais, szefie redakcji Éditions Opale, ty jesteś dla mnie najgorszym draniem. Jesteś jeszcze gorszy od Claude'a. On przynajmniej miał powód, aby mnie oszukać, ale ty... ty... ty sprawiłeś sobie po prostu przyjemność...

- Nie, Aurelie, było zupełnie inaczej... proszę... - zawołał zrozpaczony.

- Tak - powiedziałam. - Rzeczywiście było inaczej. Otworzyłeś mój list, zamiast przekazać go dalej. Przysłałeś mi fałszywy list, a potem, w Coupole, prawdopodobnie śmiałeś

się do rozpuku, kiedy nie chciałam rozmawiać z tobą o liście. Wszystko bardzo sprytnie uknute, gratuluję!

- Zrobiłam krok w jego stronę i popatrzyłam z pogardą.

- W całym swoim życiu nie poznałam jeszcze człowieka, który tak obłudnie napawałby się nieszczęściem drugiej osoby. - Widziałam, jak się wzdrygnął. - A teraz musisz mi wyjaśnić jeszcze tylko jedno: mianowicie naprawdę mnie interesuje, jak to wszystko uknułeś. Kto zadzwonił wczoraj wieczorem do restauracji? Kto?

- To rzeczywiście był Adam Goldberg. Jest moim przyjacielem - powiedział skruszony.

- Ach, jest twoim przyjacielem? No to wspaniale! Ilu takich przyjaciół jeszcze masz, co? Ilu śmieje się w kułak już teraz z głupiej, naiwnej panienki, hein, zdradzisz mi może?

Wpadałam w coraz większą furię. André uniósł ręce w obronnym geście i szybko je opuścił, kiedy z bioder zsunął mu się ręcznik.

- Nikt się z ciebie nie śmieje, Aurelie. Proszę, nie myśl o mnie tak źle... ja, wiem, okłamałem cię, okropnie cię okłamałem, ale... nie dało się inaczej, musisz mi uwierzyć! Byłem w strasznych opałach. Proszę! Mogę ci to wyjaśnić...

Przerwałam mu w pół zdania.

- Wiesz co, André Chabanais? Rezygnuję z twoich wyjaśnień. Od początku nie chciałeś, abym spotkała się z Robertem Millerem, zawsze stawałeś pomiędzy i wszystko utrudniałeś, ale nagle, nagle przyszło ci do głowy coś znacznie lepszego, prawda? - Potrząsnęłam głową. - Jak można wymyślić coś tak perfidnego?

- Aurelie, zakochałem się w tobie i to jest prawda - powiedział.

- Nie - odparłam. - Tak nie traktuje się kobiety, którą się kocha. - Zebrałam jego rzeczy z krzesła i rzuciłam mu je w twarz. - Masz - powiedziałam. - Ubierz się i po prostu wyjdź!

Podniósł ubrania i popatrzył na mnie z nieszczęśliwą miną.

- Proszę, daj mi szansę, Aurelie.

Ostrożnie zrobił krok w moją stronę i spróbował mnie objąć. Odwróciłam się i skrzyżowałam przed sobą ramiona.

- Wczoraj... to było najpiękniejsze, co kiedykolwiek przeżyłem... - powiedział przymilnym głosem.

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

- C'est fini! - wykrztusiłam gniewnie. - To koniec! Skończyło się, zanim tak naprawdę się zaczęło. I dobrze. Nie lubię zadawać się z kłamcami!

- Nie kłamałem naprawdę - szepnął.

- Jak można nie kłamać naprawdę? To śmieszne! - odparłam wzburzona. Najwyraźniej wymyślił sobie teraz nową taktykę.

André stał przede mną owinięty w ciemnoszary ręcznik.

- Ja jestem Robertem Millerem - rzucił rozpaczliwie. Wybuchnęłam śmiechem, nawet w moich uszach ten dźwięk zabrzmiał skrzekliwie. Następnie zmierzyłam go wzrokiem od stóp do głów i powiedziałam:

- Uważasz mnie za aż tak głupią? Ty jesteś Robertem Millerem? Wiele już słyszałam, ale to bezczelne kłamstwo to jest naprawdę szczyt. Za wysoki poziom absurdu. - Wzięłam się pod boki. - Masz pecha, bo widziałam Roberta Millera, prawdziwego Roberta Millera, na wieczorze autorskim! Czytałam wywiad z nim w „Le Figaro". Ale ty jesteś Robertem Millerem, jasne! - Głos mi się załamał. - Wiesz co, André Chabanais? Jesteś po prostu żałosny! Nie dorastasz temu Millerowi do pięt, taka jest prawda. A teraz idź sobie wreszcie! Nie chcę już niczego słuchać, wszystko, co mówisz, pogarsza tylko sprawę!

- Ale zrozum, Robert Miller nie jest Robertem Millerem! - zawołał. - To był... to był... dentysta!

- Wynoś się! - wrzasnęłam i zasłoniłam uszy. - Zniknij z mojego życia, André Chabanais, nienawidzę cię!

Kiedy już bez słowa i czerwony jak burak wyszedł z mieszkania, rzuciłam się z płaczem na łóżko. Jeszcze przed godziną byłam najszczęśliwszą osobą w Paryżu, jeszcze przed godziną myślałam, że to początek czegoś cudownego - a teraz wszystko przybrało katastrofalny obrót.

Popatrzyłam na dwie filiżanki pełne kawy przy moim łóżku i ponownie zalałam się łzami. Czy bycie zdradzaną miałam wpisane w swój los? Czy moje szczęście zawsze musiało kończyć się kłamstwem?

Wyjrzałam na podwórko. Zapotrzebowanie na mężczyzn, którzy mnie oszukiwali, miałam w każdym razie zaspokojone. Westchnęłam głęboko. Otwierało się przede mną długie, samotne życie. Jeżeli tak dalej pójdzie, to skończę jako zgorzkniała starucha, snująca się po cmentarzach i sadząca kwiaty na obcych grobach. Tyle że nie będę taka pogodna jak Mrs. Dinsmore.

Nagle zobaczyłam nas wszystkich siedzących w Coupole, w urodziny Mrs. Dinsmore, słyszałam, jak wykrzykuje z zadowoleniem: „Dziecko, to jest dokładnie ten właściwy!".

Opadłam na poduszkę i płakałam dalej. Jedna nieszczęśliwa myśl rodzi drugą, więc natychmiast przypomniało mi się, że wkrótce Boże Narodzenie. To będą najsmutniejsze święta w moim życiu. Wskazówka małego budzika na stoliku nocnym przesunęła się do przodu, a moje serce poczuło się nagle tak stare.

Po jakimś czasie w końcu wstałam i odniosłam filiżanki do kuchni. Pogładziłam przyczepione na ścianie karteczki z myślami, a jedna z nich spadła na podłogę.

„Smutek to kraina, w której zawsze pada i pada, a mimo to nic nie rośnie", przeczytałam. Bezsprzecznie tak właśnie było.

Wszystkie moje łzy nie cofną tego, co się stało. Sięgnęłam po karteczkę i ostrożnie przyczepiłam ją z powrotem do ściany.

A potem zadzwoniłam do Jacquie, aby mu powiedzieć, że dokonano zamachu na moje serce i że pojadę z nim na święta nad morze.

Rozdział 16

Kiedy rozległo się nieśmiałe pukanie i do środka weszła mademoiselle Mirabeau, siedziałem - jak prawie zawsze w ostatnich dniach - pochylony przy biurku, z głową wspartą ciężko na dłoniach.

Po niechlubnym wyjściu z mieszkania Aurelie Bredin czułem się jak uderzony obuchem w głowę. Chwiejnym krokiem doszedłem do domu, stanąłem przed lustrem w łazience i zbeształem się za to, że byłem takim wielkim idiotą i kretynem, który wszystko zepsuł. Wieczorem za dużo wypiłem i nocą prawie nie spałem. Nieustannie próbowałem dodzwonić się do Aurelie, ale u niej w domu stale włączała się automatyczna sekretarka, a w restauracji odbierała jakaś kobieta, która udzielała mi stereotypowego wyjaśnienia, że mademoiselle Bredin nie życzy sobie ze mną rozmawiać.

Raz odebrał mężczyzna (myślę, że był to ten prostacki kucharz). Ryknął do słuchawki, że jeśli nie przestanę się naprzykrzać mademoiselle Aurelie, to przyjdzie osobiście do wydawnictwa i z dużą przyjemnością da mi w mordę.

Wysłałem do Aurelie trzy mejle, raz dostałem zwięzłą odpowiedź, w której informowała mnie, iż mogę sobie oszczędzić trudu pisania kolejnych listów, ponieważ od teraz będzie kasowała każdy bez czytania.

Przez te ostatnie przedświąteczne dni byłem zrozpaczony tak, jak tylko mężczyzna może być zrozpaczony. Wyglądało na to, że bezpowrotnie straciłem Aurelie, nawet jej zdjęcie mi nie zostało, a ostatnie spojrzenie, jakie mi rzuciła, było tak pełne pogardy, że na samą myśl o nim przechodziły mnie zimne dreszcze.

- Monsieur Chabanais?

Zmęczonym ruchem uniosłem głowę i popatrzyłem w kierunku mademoiselle Mirabeau.

- Idę po kanapkę, mam panu coś przynieść? - spytała.

- Nie, nie jestem głodny - powiedziałem. Florence Mirabeau zbliżyła się ostrożnie.

- Monsieur Chabanais?

- Tak, o co chodzi?

Zwróciła do mnie swoją drobną mimozowatą twarz.

- Okropnie pan wygląda, monsieur Chabanais - stwierdziła i dodała: - Proszę mi wybaczyć, że to mówię. A może jednak zje pan kanapkę... żeby sprawić mi przyjemność.

Westchnąłem ciężko.

- No dobrze, dobrze - mruknąłem.

- Z kurczakiem, szynką czy tuńczykiem?

- Obojętnie. Proszę przynieść mi cokolwiek.

Pół godziny później pojawiła się z bagietką z tuńczykiem i świeżo wyciśniętym jus d'orange. Bez słowa postawiła zakupy na moim biurku.

- Przyjdzie pan wieczorem na spotkanie bożonarodzeniowe?

Był piątek, Wigilia wypadała w najbliższy wtorek i Editions Opale od przyszłego tygodnia do Nowego Roku było zamknięte. W ostatnich latach utarło się, że pracownicy wydawnictwa spotykali się w ostatni dzień pracy, wieczorem w brasserie Lipp, aby stosownie zakończyć rok. Zawsze była to bardzo wesoła impreza, podczas której wiele się jadło, śmiało i rozmawiało. Nie byłem w nastroju na tak dużą porcję dobrego humoru. Pokręciłem głową.

- Przykro mi, nie idę.

- Och - powiedziała. - Czy to z powodu pańskiej matki? Złamała sobie przecież nogę, prawda?

- Nie, nie - odparłem.

Dlaczego miałbym kłamać? W ostatnich tygodniach tyle nakłamałem, że zupełnie straciłem na to ochotę.

Maman już od pięciu dni była z powrotem w Neuilly, całkiem zgrabnie kuśtykała po domu o kulach i planowała le réveillon, ucztę bożonarodzeniową.

- Z tą złamaną nogą nie jest aż tak źle - powiedziałem.

- Ale... to o co w takim razie chodzi? - mademoiselle Mirabeau nie odpuszczała.

Popatrzyłem na nią.

- Popełniłem ogromny błąd - odparłem, kładąc dłoń na piersi. - A teraz... Co mam powiedzieć... Myślę, że mam złamane serce.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale to nie zabrzmiało jak mój najlepszy żart.

- Och - wykrztusiła mademoiselle Mirabeau.

Poczułem jej współczucie, które niczym ciepła fala rozeszło się po pokoju. A potem powiedziała coś, co pozostało mi w głowie długo po tym, gdy cicho zamknęła za sobą drzwi:

- Kiedy człowiek popełni błąd, powinien go naprawić najszybciej jak to możliwe.

Nieczęsto się zdarzało, aby wydawca pojawiał się w biurach swoich pracowników, kiedy jednak to robił, można było mieć pewność, że chodzi o coś ważnego. Godzinę po rozmowie z Florence Mirabeau drzwi mojego pokoju otworzył Jean - Paul Monsignac, wszedł do środka i z hukiem usiadł na krześle, które stało przed biurkiem.

Popatrzył na mnie przenikliwie swoimi błękitnymi oczami i powiedział:

- Co to ma znaczyć, André... Słyszę właśnie, że nie przyjdzie pan dziś wieczorem na spotkanie wigilijne.

Zacząłem kręcić się niespokojnie na krześle.

- Eee... nie - wykrztusiłem.

- Czy można wiedzieć, dlaczego?

Impreza wigilijna w brasserie Lipp była dla Monsignaca świętością i oczekiwał, że zobaczy tam wszystkie swoje owieczki.

- Cóż, ja... po prostu nie jestem w nastroju, szczerze mówiąc - oświadczyłem.

- Mój drogi André, nie jestem głupi. Myślę, że każdy, kto ma oczy, widzi, że ostatnio nie jest pan w najlepszej formie. Nie przychodzi pan na konferencje wydawnicze, informuje pan o tym o jedenastej, nie podając przyczyny, następnego dnia pojawia się pan z grobową miną i prawie nie opuszcza swojej jaskini. Co się dzieje? Nie znałem pana z tej strony. - Monsignac w zamyśleniu mierzył mnie wzrokiem.

Wzruszyłem ramionami i milczałem. Co miałem mu powiedzieć? Gdybym wyłożył szefowi kawę na ławę, to miałbym kolejny problem.

- Może pan ze mną o wszystkim rozmawiać, André, mam nadzieję, że wie pan o tym?

Uśmiechnąłem się nienaturalnie.

- To bardzo miło z pana strony, monsieur Monsignac, obawiam się jednak, że akurat z panem nie mogę o tym rozmawiać.

Zdumiony odchylił się na oparcie, założył nogę na nogę i złapał obiema rękami kostkę obleczoną w granatową skarpetę.

- Teraz mnie pan zaciekawił. Dlaczego nie może pan o tym ze mną rozmawiać? Co za bzdury?

Popatrzyłem za okno, gdzie czubek wieży kościoła Saint - Germain wbijał się w różowe niebo.

- Ponieważ wtedy prawdopodobnie stracę swoją pracę - odparłem ponuro.

Monsignac roześmiał się głośno.

- Ależ mój drogi André, cóż takiego złego pan uczynił? Zwinął pan srebrną łyżeczkę? Wsunął rękę pod spódnicę jakiejś pracownicy? Zdefraudował pieniądze?

Zaczął kiwać się na krześle.

I wtedy przypomniały mi się słowa mademoiselle Mirabeau. Postanowiłem wyjaśnić sytuację.

- Chodzi o Roberta Millera. W tej kwestii byłem... cóż, nie byłem z panem szczery, monsieur Monsignac.

Spojrzał uważnie i pochylił się do przodu.

- Tak? - spytał. - Co z tym Millerem? Jakieś problemy z Anglikiem? No już, niech pan mówi!

Przełknąłem ślinę. Nie było łatwo wyznać mu prawdę.

- Spotkanie autorskie było genialne. Mon Dieu, uśmiałem się do łez - kontynuował Monsignac. - A więc co z tym facetem? Chciał niedługo przysłać swoją nową powieść.

Jęknąłem cicho i ukryłem twarz w dłoniach.

- Co się dzieje? - spytał zaalarmowany. - André, niech pan nie będzie melodramatyczny, tylko po prostu mi powie, co się stało. Miller będzie pisał dla nas dalej czy może wystąpiły jakieś problemy między wami? Poróżniliście się?

Ledwie zauważalnie pokręciłem głową.

- Konkurencja go podkupiła?

Wciągnąłem głęboko powietrze i spojrzałem Monsignacowi prosto w oczy.

- Proszę mi obiecać, że pan teraz się nie wścieknie i nie zacznie krzyczeć.

- Tak, obiecuję... ale niech pan wreszcie mówi!

- Nie będzie żadnej nowej powieści autorstwa Roberta Millera - powiedziałem i zrobiłem krótką pauzę. - Z bardzo prostej przyczyny: Robert Miller w rzeczywistości nie istnieje.

Monsignac popatrzył na mnie, niczego nie rozumiejąc.

- Teraz naprawdę gada pan jak szaleniec, André. Co się dzieje, ma pan gorączkę? Stracił pan pamięć? Robert Miller był w Paryżu, zapomniał pan już?

Skinąłem głową.

- O to właśnie chodzi. Mężczyzna na wieczorze autorskim nie był Robertem Millerem. To dentysta, który udawał Millera, aby pójść nam na rękę.

- Nam?

- No tak, Adamowi Goldbergowi i mnie. Dentysta jest jego bratem. Nazywa się Sam Goldberg i nie mieszka samotnie z psem w wiejskiej chacie, tylko z żoną i dziećmi w Devonshire. Z książkami ma do czynienia tyle co ja ze złotymi plombami. Wszystko zostało zainscenizowane, rozumie pan? Żeby sprawa nie wyszła na jaw.

- Ale... - Błękitne oczy Monsignaca zamigotały niepewnie. - Kto tak naprawdę napisał książkę?

- Ja - powiedziałem.

I wtedy Jean - Paul Monsignac jednak krzyknął.

Niedobrą cechą monsieur Monsignaca jest to, że w zdenerwowaniu przeistacza się w furię.

- To potworne! Oszukał mnie pan, André. Ufałem panu, dałbym sobie rękę uciąć za pańską uczciwość. Wyprowadził mnie pan w pole, a to nie obędzie się bez konsekwencji. Jest pan zwolniony! - wrzasnął i wzburzony zerwał się z krzesła.

Dobrą cechą monsieur Monsignaca jest to, że uspokaja się równie szybko, co denerwuje, i że ma wspaniałe poczucie humoru.

- Nie do wiary - powiedział po dziesięciu minutach, w ciągu których widziałem się już jako bezrobotnego redaktora, którego w branży wytyka się palcami. - Nie do wiary, jak sprytnie obydwaj to przygotowaliście. Całą prasę wodziliście za nos. Dobry numer, trzeba przyznać. - Pokręcił głową i nagle wybuchnął śmiechem. - Szczerze mówiąc, zdziwiłem się, kiedy ten Miller mówił na spotkaniu, że bohaterem jego nowej powieści będzie dentysta. Dlaczego od początku zwyczajnie mi pan nie powiedział, że się za tym wszystkim kryje? Mój Boże, nie wiedziałem, że umie pan tak świetnie

pisać. A pisze pan naprawdę dobrze - powtórzył jeszcze raz i przejechał dłonią po siwych włosach.

- To był spontaniczny pomysł. Chciał pan Stephena Clarke'a, pamięta pan? Wtedy nie było na rynku żadnego Anglika, który pisałby zabawnie o Paryżu. Nie chcieliśmy też pana nabierać czy szkodzić wydawnictwu. Pamięta pan, że opłata licencyjna za tę powieść była bardzo skromna. Już dawno się zwróciła.

Monsignac skinął głową.

- Żaden z nas nie przypuszczał, że książka będzie się tak dobrze sprzedawać, że ktoś kiedykolwiek zainteresuje się „autorem" - kontynuowałem.

- Bon - odparł Monsignac, który przez cały czas chodził tam i z powrotem po moim biurze, a teraz ponownie usiadł. - To więc sobie już wyjaśniliśmy. A teraz pogadajmy jak mężczyzna z mężczyzną. - Skrzyżował ramiona na piersi i popatrzył na mnie surowo. - Cofam wypowiedzenie, André. Za karę przyjdzie pan dzisiaj do brasserie Lipp, zrozumiano?

Z ulgą pokiwałem głową.

- Chciałbym, aby mi pan teraz wyjaśnił, co ma wspólnego ta cała intryga z pańskim złamanym sercem. Mademoiselle Mirabeau martwi się o pana. A ja odnoszę wrażenie, że zaraz dotrzemy do sedna sprawy.

Rozparł się wygodnie na krześle, zapalił cygaretkę i czekał.

To była długa historia. Na dworze zapalały się pierwsze latarnie, kiedy wreszcie przestałem mówić.

- Nie wiem, co robić, monsieur Monsignac - zakończyłem smutno. - Nareszcie znalazłem kobietę, jakiej zawsze szukałem, a teraz ona mnie nienawidzi! Nawet gdybym zdołał jej udowodnić, że autor o nazwisku Miller nie istnieje, to myślę, że na nic by się to zdało. Jest na mnie tak niesamowicie

wściekła... tak zraniona w swoich uczuciach... Nie wybaczy mi tego... nigdy...

- Bla, bla, bla - przerwał mi monsieur Monsignac. - Co pan wygaduje, André? Patrząc na dotychczasowy przebieg tej historii, to jeszcze nic straconego. Proszę uwierzyć człowiekowi, który ma trochę większe doświadczenie życiowe niż pan. - Strząsnął popiół i zaczął machać nogą. - Wie pan, André, w trudnych czasach radziłem sobie zawsze dzięki trzem zdaniom. Je ne vois pas la raison, je ne regrette rien i wreszcie: Je m'en fous! Nie widzę powodu, nie mam żalu, nic mnie to nie obchodzi - uśmiechnął się. - Obawiam się jednak, że w pańskim przypadku nie pomogą ani Wolter, ani Edith Piaf, a już na pewno nie Canaille. W pańskim przypadku, mój drogi przyjacielu, pomoże tylko jedno: prawda. I to cała prawda. - Wstał i podszedł do mojego biurka. - Proszę pójść za moją radą i spisać tę całą historię tak, jak mi ją pan opowiedział, od pierwszego momentu, kiedy ujrzał pan ją przez szybę tej restauracji, do naszej dzisiejszej rozmowy. A potem proszę przesłać Aurelie manuskrypt z uwagą, że jej ulubiony autor napisał nową powieść i bardzo zależy mu na tym, aby ona przeczytała go jako pierwsza. Poklepał mnie po ramieniu.

- To niewiarygodna historia, André. Jest po prostu wspaniała! Proszę ją spisać, niech pan zacznie od jutra albo jeszcze lepiej dzisiaj w nocy! Proszę pisać tak, jakby od tego zależało pańskie życie. Proszę wpisać się w serce tej kobiety, którą uwiódł pan już swoją pierwszą powieścią.

Podszedł do drzwi i odwrócił się jeszcze raz.

- I obojętnie, jak ta sprawa się zakończy - mrugnął do mnie - zrobimy z tego Roberta Millera!

Rozdział 17

Są autorzy, którzy całymi dniami cyzelują pierwsze zdanie swojej powieści. Pierwsze zdanie musi brzmieć, potem reszta układa się jakby sama, mawiają. Myślę, że prowadzone są nawet badania nad początkami powieści, ponieważ zdanie otwierające książkę jest jak pierwsze spojrzenie między ludźmi, którzy jeszcze się nie znają. Istnieją też tacy autorzy, którzy nie potrafią zacząć, nie znając ostatniego zdania. O Johnie Irvingu mówi się na przykład, że w myślach przemierzał swoją książkę od ostatniego rozdziału do początku. 1 dopiero potem brał się do pisania. Ja natomiast piszę tę historię, nie znając jej zakończenia, ba, nie mając najmniejszego wpływu na jej zakończenie.

Prawda jest taka, że zakończenia tej historii jeszcze nie ma.

Ostatnie zdanie bowiem musi napisać kobieta, którą zobaczyłem pewnego wiosennego wieczoru, około półtora roku temu, za oknem małej restauracji z obrusami w czerwono - białą kratę, mieszczącej się przy rue Princesse w Paryżu.

To jest kobieta, którą kocham.

Uśmiechała się za szybą, a jej uśmiech oczarował mnie tak bezgranicznie, że go skradłem. Wypożyczyłem go sobie. Nosiłem go ze sobą. Nie wiem, czy jest możliwe, aby ktoś zakochał się w uśmiechu. W każdym razie ten uśmiech zainspirował mnie do napisania pewnej historii - historii, w której wszystko było zmyślone, nawet jej autor.

I wtedy wydarzyła się rzecz niewiarygodna. Rok później, pewnego naprawdę paskudnego listopadowego dnia, kobieta o pięknym uśmiechu stanęła przede mną, zupełnie jakby spadła z nieba. Cudowne i jednocześnie tragiczne w tym spotkaniu było to, że chciała ode mnie coś, czego nie mogłem jej dać. Miała tylko jedno życzenie - była nim opętana jak księżniczki z baśni o Sinobrodym, które koniecznie chciały otworzyć

zakazane drzwi - i akurat to życzenie było nie do spełnienia. A może jednak? Od tamtej pory sporo zaszło, były chwile piękne i straszne, i o nich właśnie chciałbym opowiedzieć. Po tych wszystkich kłamstwach wyjawić całą prawdę.

Przedstawiam tę historię taką, jaką rzeczywiście była, piszę ją jak żołnierz, który następnego dnia musi wyruszyć do walki, jak chory, który nie wie, czy ujrzy jutro wschód słońca, jak kochający, który całe swoje serce składa w delikatnych dłoniach tej kobiety, z nieśmiałą nadzieją, że zostanie wysłuchany.

Od mojej rozmowy z wydawcą minęły trzy dni. Potrzebowałem trzech dni, aby przelać na papier pierwsze zdania, później wszystko poszło z zawrotną szybkością.

Przez następne tygodnie pisałem jak sterowany jakąś siłą wyższą. Pisałem, jakby chodziło o moje życie, powtarzając trafne wyrażenie wydawcy. Opowiedziałem o barze, w którym zrodził się błyskotliwy pomysł, o pięknym zjawisku na korytarzu wydawnictwa, o liście do angielskiego pisarza w mojej przegródce pocztowej, który niecierpliwie otworzyłem - i o całej reszcie, która wydarzyła się potem, w ciągu tych ekscytujących, nadzwyczajnych tygodni.

Święta przyszły i minęły. Zabrałem podręczny komputer i notatki do maman do Neuilly, gdzie spędzałem Boże Narodzenie, i kiedy w Wigilię zgromadziliśmy się całą rodziną przy stole w salonie i wychwalaliśmy leżące na naszych talerzach foie gras z kandyzowaną cebulą, maman po raz pierwszy miała rację, mówiąc, że schudłem i na pewno nie dojadam.

Czy w ogóle coś jadłem w ostatnich tygodniach? Musiałem, jednak nie mogłem sobie tego przypomnieć. Dobry Monsignac dał mi wolne do końca stycznia - oddelegował mnie do zadania specjalnego, jak oświadczył pozostałym.

Wstawałem rano, zakładałem coś na siebie i człapałem z filiżanką kawy i papierosami do biurka.

Nie odbierałem telefonu, nie otwierałem drzwi, kiedy rozlegał się dzwonek, nie oglądałem telewizji, nieprzeczytane gazety piętrzyły się na stoliku przy kanapie, a w niektóre późne popołudnia przemierzałem quartier, aby zaczerpnąć świeżego powietrza i kupić najpotrzebniejsze rzeczy.

Byłem jakby nie z tego świata, jeżeli w tym czasie nastąpiły jakieś klęski żywiołowe, to pozostały przeze mnie niezauważone. Niczego w tych tygodniach nie wiedziałem, poza jednym: że muszę pisać.

Stałem przed lustrem w łazience, widziałem przelotnie odbicie bladego mężczyzny o zmierzwionych włosach i z podkrążonymi oczami.

To mnie nie interesowało.

Czasami chodziłem po pokoju, aby rozruszać kości, a kiedy pisanie mi nie szło, wkładałem CD French Café do odtwarzacza. Zaczynała się od Fibre de verre i kończyła na Ma fée clochette. Słuchałem wyłącznie tej jednej płyty, nie potrafię wyjaśnić, dlaczego akurat jej.

Zafiksowałem się na niej jak człowiek dotknięty autyzmem, który musi liczyć wszystko, co wpadnie mu w ręce. To był mój rytuał - kiedy rozbrzmiewały pierwsze takty, czułem się pewniej, a po drugiej czy trzeciej piosence znów zanurzałem się w historii. Muzyka stawała się podkładem uskrzydlającym moje myśli krążące jak białe mewy nad bezkresnym morzem.

Od czasu do czasu szybowały niżej, tuż nad powierzchnią wody, wtedy słuchałem Coralie Clément La Mer Opale i widziałem przed sobą zielone oczy Aurelie Bredin. Albo słuchałem Brigitte Bardot Un jour comme un autre i myślałem o tym, jak Aurelie została porzucona przez Claude'a.

Za każdym razem, gdy rozbrzmiewała Ma fée clochette, wiedziałem, że znów minęła godzina, a moje serce robiło się ciężkie i jednocześnie czułe na wspomnienie o tym zaczarowanym wieczorze w Le Temps des Cerises.

Wieczorami wyłączałem lampkę na biurku i szedłem spać - nierzadko wstawałem jeszcze raz, ponieważ sądziłem, że akurat przyszedł mi do głowy fantastyczny pomysł, który często następnego rana okazywał się jednak nie dość fantastyczny.

Godziny stawały się dniami, a podobne dni zlewały się ze sobą w transatlantyckie granatowe morze, którego fale niczym się od siebie nie różnią, a wzrok utkwiony jest w nikłej linii rysującej się na horyzoncie, gdzie podróżnik spodziewa się lądu.

Myślę, że tak szybko nie napisano jeszcze żadnej książki. Napędzało mnie pragnienie odzyskania Aurelie. Tęsknie marzyłem o chwili, kiedy złożę jej u stóp manuskrypt.

W ostatnich dniach stycznia skończyłem pracę.

Tego dnia, gdy wieczorem położyłem manuskrypt pod drzwiami mieszkania Aurelie Bredin, zaczął padać śnieg. Śnieg w Paryżu jest taką rzadkością, że większość ludzi się z niego cieszy.

Snułem się ulicami niczym skazaniec bez dozoru, podziwiałem wystawy w oświetlonych witrynach sklepowych, wciągałem kuszący zapach crêpes świeżo smażonych na straganie za kościołem Saint - Germain i zdecydowałem się na gaufre'a, którego kazałem grubo posmarować kremem z kasztanów.

Płatki śniegu sypały cicho, białe punkciki w ciemnościach, a ja myślałem o manuskrypcie, który owinąłem w papier i który Aurelie znajdzie tej nocy pod swoimi drzwiami.

Ostatecznie wyszło dwieście osiemdziesiąt stron. Długo się zastanawiałem, jakim tytułem powinienem opatrzyć

powieść, którą chciałem odzyskać dziewczynę o zielonych oczach.

Wypisywałem bardzo sentymentalne, romantyczne, ba, wręcz kiczowate tytuły, wszystkie jednak skreśliłem ze swojej listy. A potem zdecydowałem się na prosty i wzruszający tytuł Koniec historii.

Obojętnie, jak zaczyna się jakaś historia, obojętnie, jakimi krętymi ścieżkami i dróżkami podąża, ostatecznie liczy się tylko jej koniec.

Mój zawód polega na lekturze wielu książek oraz manuskryptów i muszę przyznać, że zawsze najbardziej fascynują mnie te powieści, których zakończenie pozostaje otwarte lub jest wręcz tragiczne. Tak, właśnie o takich książkach człowiek myśli trochę dłużej, podczas gdy te ze szczęśliwym finałem szybko popadają w zapomnienie.

Jednak między literaturą a rzeczywistością musi istnieć jakaś różnica, ponieważ przyznam, że kiedy kładłem brązową paczuszkę na zimnej kamiennej posadzce pod drzwiami Aurelie, wyrzekłem się wszelkich intelektualnych roszczeń. Wznosiłem błagalne modły do nieba, prosząc o szczęśliwe zakończenie.

Do manuskryptu dołączyłem otwarty list, w którym napisałem:

Droga Aurelie,

wiem, że wykreśliłaś mnie ze swojego życia i nie chcesz mieć ze mną do czynienia, respektuję Twoje życzenie.

Dzisiaj składam Ci pod drzwiami nową książkę Twojego ulubionego autora.

To świeży, niezredagowany jeszcze manuskrypt, który nie ma odpowiedniego zakończenia, ale wiem, że Cię zainteresuje, ponieważ zawiera odpowiedzi na Twoje pytania, dotyczące pierwszej powieści Roberta Millera. Mam nadzieję,

że w ten sposób przynajmniej trochę uda mi się naprawić to, co zepsułem.

Brak mi Ciebie,

André

Tej nocy po raz pierwszy spałem głęboko i mocno. Obudziłem się z poczuciem, że zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy. Pozostawało mi tylko czekać.

Zapakowałem kopię manuskryptu dla monsieur Monsignaca, a następnie, po ponad pięciu tygodniach nieobecności, ruszyłem w drogę do wydawnictwa. Wciąż jeszcze sypał biały puch, śnieg leżał na dachach domów, odgłosy miasta były przytłumione. Samochody nie jeździły po bulwarach tak szybko, jak zwykle, również ludzie na chodnikach spowolnili kroki. Świat, tak mi się wydawało, jakby trochę wstrzymał oddech, a mnie, o dziwo, przepełniał wielki spokój. Moje serce było białe jak pierwszego dnia.

W wydawnictwie witano mnie wylewnie. Madame Petit przyniosła mi nie tylko pocztę (całą stertę), lecz również kawę. Mademoiselle Mirabeau z zaczerwienionymi policzkami wetknęła głowę przez drzwi i pożyczyła mi szczęśliwego nowego roku. Na jej palcu dostrzegłem nowy lśniący pierścionek. Michelle Auteuil pozdrowiła mnie majestatycznie, gdy spotkaliśmy się na korytarzu, zniżyła się nawet do „Ca va, André?" Gabrielle Mercier westchnęła z ulgą, dobrze, że znów tu jestem, bo wydawca doprowadzi ją do szaleństwa. A Jean - Paul Monsignac zamknął za sobą drzwi, kiedy wszedł do mojego biura, i stwierdził, że wyglądam jak autor, który właśnie ukończył książkę.

- A jak ktoś taki wygląda? - zapytałem.

- Totalnie wykończony, ale z tym wyjątkowym błyskiem w oczach - odparł. Następnie popatrzył na mnie badawczo.

- I co? - spytał.

Podałem mu kopię manuskryptu.

- Nie mam pojęcia, czy to jest dobre - powiedziałem - ale dałem z siebie wszystko.

Monsignac uśmiechnął się.

- To zawsze dobrze rokuje. Trzymam za pana kciuki, przyjacielu.

- Cóż, zaniosłem go dopiero wczoraj wieczorem, nieszybko się coś wydarzy... jeśli w ogóle.

- Oby się pan nie zdziwił, André - powiedział. - Ja w każdym razie jestem bardzo ciekaw lektury.

Popołudnie mijało. Przeglądałem pocztę, odpowiadałem na mejle, wyglądałem przez okno, za którym z nieba wciąż sypały białe płatki. A potem zamknąłem oczy, myślałem o Aurelie i miałem nadzieję, że moje myśli również z zamkniętymi oczami osiągną swój cel.

Było wpół do piątej, na dworze zapadły już ciemności, kiedy rozległ się telefon i Monsignac poprosił, abym przyszedł do jego gabinetu.

Gdy wszedłem, stał przy oknie i wpatrywał się w ulicę. Na jego biurku leżał manuskrypt.

Odwrócił się.

- Ach, André, proszę wejść, proszę wejść - powiedział i zaczął kołysać się na palcach, jak to było w jego zwyczaju. Wskazał na manuskrypt. - To, co pan tam napisał... - popatrzył na mnie surowo, a ja nerwowo zacisnąłem usta - ...jest niestety bardzo dobre. Niech pańskiemu agentowi nie przyjdzie przypadkiem do głowy, aby pójść do innych wydawnictw i rozpocząć aukcję, w przeciwnym razie pan stąd wyleci, zrozumiano?

- C'est bien compris - odparłem z uśmiechem. - To mnie naprawdę bardzo cieszy, monsieur Monsignac.

Odwrócił się ponownie do okna i przywołał mnie machnięciem ręki.

- Założę się, że to tutaj jeszcze bardziej pana ucieszy - powiedział, wskazując na ulicę.

Popatrzyłem na niego pytająco. Tylko przez sekundę myślałem, że ma na myśli płatki śniegu, które nadal wirowały za szybą. Moje serce nagle zaczęło bić jak szalone i najchętniej objąłbym starego Monsignaca.

Na ulicy, po drugiej stronie budynku, w którym mieściło się Editions Opale, chodziła tam i z powrotem kobieta. Była ubrana w czerwony płaszcz i raz po raz spoglądała w stronę bramy wejściowej wydawnictwa, zupełnie jakby na kogoś czekała.

Nie miałem nawet czasu, żeby coś na siebie zarzucić. Puściłem się pędem po schodach tak, jak stałem, otworzyłem ciężkie drzwi portalu i przebiegłem przez ulicę.

Stanąłem przed nią, oddychając tak szybko, że przez chwilę brakowało mi powietrza.

- Przyszłaś! - wykrztusiłem, a potem powtórzyłem to jeszcze raz.

Mój głos był całkiem ochrypły, tak bardzo cieszyłem się na jej widok.

- Aurelie... - zacząłem i popatrzyłem na nią pytająco. Płatki śniegu spadały na nią, oprószając jej długie włosy niczym małe białe kwiaty migdałowca.

Uśmiechnęła się, a ja sięgnąłem po jej dłoń odzianą w kolorową wełnianą rękawiczkę, i poczułem wielką ulgę w sercu.

- Wiesz co? Druga książka Roberta Millera podoba mi się nawet troszkę bardziej od pierwszej - powiedziała, a jej zielone oczy zalśniły.

Roześmiałem się cicho i wziąłem ją w ramiona.

- Czy to ma być ostatnie zdanie? - spytałem. Aurelie powoli pokręciła głową.

- Nie, myślę, że nie - odparła.

Przez chwilę patrzyła na mnie tak poważnie, że pełen niepokoju zacząłem szukać odpowiedzi w jej oczach.

- Kocham cię, głuptasie - szepnęła.

A potem zarzuciła mi ramiona na szyję i wszystko utonęło w miękkim płaszczu z karmazynowej wełny i jednym jedynym pocałunku, który nie chciał się skończyć.

Takie zdanie w jakiejkolwiek powieści uznałbym oczywiście za zbyt konwencjonalne, ale tu, w prawdziwym życiu, na tej zaśnieżonej uliczce wielkiego miasta, które nosi miano miasta miłości, uczyniło ono ze mnie najszczęśliwszego mężczyznę w Paryżu.

Posłowie

Kiedy autor stawia ostatnią kropkę, to czuje ulgę, że już po wszystkim. (Dziękuję za wysłuchanie, Jean!). I jednocześnie z tego samego powodu ogarnia go wielki smutek. Pisanie ostatnich linijek powieści zawsze oznacza bowiem pożegnanie z bohaterami, którzy towarzyszyli mu przez dłuższy czas. Mimo że są (bardziej lub mniej) wytworem wyobraźni, to jednak sercu autora są bardzo bliscy.

Patrzę na Aurelie i André, którzy po zawirowaniach i komplikacjach jednak się odnaleźli, wzdycham wzruszony, robię się lekko sentymentalny i życzę im obojgu dużo szczęścia.

Wiele w mojej książce zostało zmyślone, niejedno jest prawdziwe. Wszystkie kawiarnie, bary, restauracje i sklepy istnieją naprawdę, menu d'amour zawsze jest godne wypróbowania, dlatego załączyłem przepisy, podobnie jak przepis na curry d'agneau z Coupole (w oryginale oraz tak, jak przyrządziłaby to danie Aurelie).

Restauracji Le Temps des Cerises Czytelnik szukałby jednak daremnie przy rue Princesse.

Mimo że w trakcie pisania miałem - przyznaję - przed oczami konkretną restaurację z obrusami w czerwono - białą kratę, niech miejsce to pozostanie w fantazji, niech będzie miejscem, gdzie spełniają się życzenia i wszystko staje się możliwe.

Uśmiech kobiety jest darem niebios, to początek każdej historii miłosnej i gdybym mógł wyrazić jakieś życzenie, to brzmiałoby ono tak: oby moja droga przyjaciółka U. jeszcze przez długie lata mogła nosić swój nowy zimowy płaszcz i oby ta książka dla przychylnych jej czytelniczek i czytelników kończyła się właśnie tak, jak się zaczyna: uśmiechem.

Menu d'amour Aurelie
(dla dwóch osób)
SAŁATA Z ROSZPONKI
Składniki:
• 100 g roszponki
• 1 awokado
• 100 g małych pieczarek
• 1 czerwona cebula
• 1 mączysty ziemniak
• 10 orzechów makadamia
• 60 g boczku pokrojonego w kosteczkę
• 2 do 3 łyżek octu jabłkowego
• 100 ml wywaru warzywnego
• J łyżka płynnego miodu
• 3 łyżeczki oliwy
• odrobina masła • sól
• pieprz

Roszponkę oczyścić, umyć i osuszyć. Pieczarki umyć, odciąć kapelusze i pokroić w plasterki. Awokado obrać i pokroić w kostkę. Rozgrzać patelnię i podsmażyć na niej na złotobrązowo orzechy z odrobiną masła. Cebulę obrać, przekroić na pół i posiekać w cienkie plasterki. Ziemniaka gotować ze skórką do miękkości.

Boczek smażyć na patelni, aż będzie chrupki. Następnie zagotować wywar warzywny, dodać do niego ocet, sól, pieprz, łyżkę miodu i oliwę. Ziemniak obrać, dodać do sosu, rozgnieść go widelcem i wszystko ubić trzepaczką na jednolitą masę.

Ułożyć na talerzu roszponkę, pieczarki, awokado, cebulę i orzechy. Posypać podsmażonym boczkiem i skropić letnim sosem. Serwować zaraz po przygotowaniu.

Ragoût z jagnięciny z pestkami granatu i zapiekanymi ziemniakami

Składniki:

• 400 g udźca jagnięcego
• 2 marchewki
• 2 łodygi selera naciowego
• 1 czerwona cebula
• 200 g pomidorów
• 1 duży bakłażan
• 2 granaty
• 2 ząbki czosnku
• 3 łyżki masła
• pęczek tymianku
• 1 łyżka mąki
• ¼ l wytrawnego białego wina
• 400 g małych ziemniaków (nierozgotowujących się)
• 2 jajka
• ¼ l śmietany

Mięso oczyścić z tłuszczu, a następnie pokroić w kostkę. Obrać marchew, seler umyć i oczyścić, umyć bakłażana i wszystko pokroić w drobną kostkę. Obrać cebulę i czosnek, posiekać. Granaty przepołowić, wyjąć pestki i odstawić.

Pomidory włożyć na krótko do gorącej wody, spłukać zimną i obrać. Usunąć pestki, a miąższ pokroić w kostkę.

Warzywa (poza pomidorami) poddusić na patelni na maśle. Doprawić solą, pieprzem i listkami tymianku.

Jagnięcinę mocno podsmażyć w rondlu na oleju, doprawić solą i pieprzem. Następnie oprószyć mąką, wymieszać i zalać winem. Dodać warzywa, przykryć i dusić w piekarniku w temperaturze 150 stopni przez dwie godziny. W razie potrzeby podlewać winem. Pestki granatu oraz pomidory dodać pod sam koniec.

Podczas gdy jagnięcina się dusi, umyć ziemniaki, obrać i pokroić w cieniutkie plasterki (lub zetrzeć na tarce do ogórków). Wysmarować naczynie żaroodporne (najlepiej okrągłe) masłem i ułożyć w nim plasterki ziemniaków, posypać solą i pieprzem. Na koniec roztrzepać jajka ze śmietaną, masę doprawić i zalać nią ziemniaki. Na wierzchu ułożyć wiórki masła. Piec w temperaturze 180 stopni przez około 40 minut.

Gâteau au chocolat z mrożonym kremem pomarańczowym

Składniki:

• 100 g delikatnej gorzkiej czekolady, zawierającej co najmniej 70 procent kakao

• 2 jajka

• 35 g masła (solonego)

• 35 g brązowego cukru

• 25 g mąki

• 1 opakowanie cukru waniliowego

• 4 kostki czekolady dodatkowo

Czekoladę i masło roztopić w kąpieli wodnej. Jajka ubić, dodać cukier i cukier waniliowy. Mąkę wsypać do roztopionej czekolady.

Dwie foremki wysmarować masłem i oprószyć mąką. Następnie wypełnić je ciastem do jednej trzeciej wysokości, na wierzchu położyć po dwie kostki czekolady i zalać resztą ciasta.

Piec w rozgrzanym piekarniku w temperaturze 220 stopni przez 8 - 10 minut. Gâteaux au chocolat powinny być upieczone tylko z zewnątrz, a w środku płynne. Posypać cukrem pudrem i serwować letnie.

Do nich podaje się mrożony krem pomarańczowy. Oto przepis:

Składniki:

• 3 pomarańcze malinowe

• 2 żółtka

• 100 g cukru pudru

• szczypta soli

• 2 opakowania cukru waniliowego

• ¼ l śmietany

Żółtka z cukrem, szczyptą soli i 3 łyżkami gorącej wody ubić mikserem na gęstą masę. Następnie dodać sok wyciśnięty z 2 pomarańczy. Śmietanę ubić z cukrem waniliowym na

sztywno i połączyć z kremem. Przelać do formy i mrozić przez noc. Podawać z gateau au chocolat, przyozdabiając wszystko plasterkami pomarańczy.

Bon appetit!

Curry d'agneau z La Coupole

Przepis z 1927 roku (dla 6 osób)

Składniki:

• 3,5 kg udźca lub łopatki

• 100 ml oleju słonecznikowego

• 3 jabłka Golden Delicious (Aurelie bierze 5 jabłek)

• 1 banan (Aurelie bierze 4 banany)

• 3 łyżeczki curry (Aurelie używa indyjskiej mieszanki curry i zaleca spróbować, czy 3 łyżeczki wystarczą)

• 1 łyżeczka mielonej słodkiej papryki

• 30 g wiórków kokosowych (i dodatkowo miseczka do postawienia na stole)

• 3 posiekane ząbki czosnku

• 250 g pokrojonej w kostkę cebuli (można spokojnie dodać podwójną ilość cebuli, zaleca Aurelie, wtedy potrawa będzie bardziej soczysta)

• 1/2 łyżki soli morskiej

• 20 g mąki

• 50 ml fondu jagnięcego

• 200 g pomidorów

• 50 g natki pietruszki (najlepiej pęczek)

• 500 g ryżu basmati

• 50 g masła

• 1 bukiet garni: liść laurowy, notka pietruszki, tymianek, chutney z mango, ziele angielskie, owocowo - warzywny relish

Mięso lekko podsmażać na oleju przez około 5 minut, dodać podzielone na cząstki jabłka i pokrojony banan, następnie posiekaną cebulę i czosnek.

Gotować przez 5 minut, dodać curry, mieloną paprykę i wiórki kokosowe.

Dobrze wymieszać i oprószyć mąką. Zalać wodą lub fondem jagnięcym.

Dodać bukiet garni, sól i gotować na małym ogniu przez godzinę do półtorej, dopóki mięso nie będzie prawie miękkie. (Można też przełożyć wszystko do rondla i dusić w piekarniku w niższej temperaturze, ok. 180 stopni, wtedy mięso będzie bardzo delikatne i nie trzeba będzie przecierać warzyw).

Wyjąć mięso z sosu, a sos przetrzeć przez sito. (Nie jest to konieczne, jeśli lubimy czuć drobne kawałeczki poszczególnych składników). Następnie ponownie włożyć mięso do sosu i gotować na wolnym ogniu jeszcze pół godziny.

Do mięsa podawać ryż z duszonymi na maśle jabłkami, pokrojonymi pomidorami i posiekaną natką pietruszki. Dodatkowo w miseczkach podać chutney z mango, ziele angielskie i relish.